JULIA PRZYŁĘBSKA
CZŁOWIEK WOLNOŚCI
RELACJA Z WIELKIEJ GALI

AMERYKANIE WYJAŚNIĄ KATASTROFĘ SMOLEŃSKĄ NAWET BEZ WRAKU SAMOLOTU

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 8 (273) 2018
19–25 lutego
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

PROF. KRYSTYNA PAWŁOWICZ:

TA WALKA O POLSKĘ JEST NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

MOCNY WYWIAD O TVN, TVP, PiS, OPOZYCJI, SĄDACH, UNII EUROPEJSKIEJ I DOBREJ ZMIANIE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
08
9 772544 269809

SIECI

JUŻ 26 LUTEGO W TYGODNIKU
I W KAŻDY OSTATNI PONIEDZIAŁEK MIESIĄCA PRZEZ CAŁY ROK

Bohaterowie Niepodległej

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • gen. Józef Haller • Walery Sławek • inż. Eugeniusz Kwiatkowski • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • gen. Kazimierz Sosnkowski • Wojciech Kossak • Jan Kiepura • Janusz Kusociński • ks. Adam Sapieha • Władysław Grabski • Wincenty Witos • Wojciech Korfanty • Roman Dmowski

MECENAS DODATKU

PZU

PARTNERZY DODATKU

ALIOR BANK

LOTOS

„Bohaterowie Niepodległej" to autorska opowieść o pokoleniu, które wywalczyło Polsce byt po ponad stuleciu niewoli, opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci. Będzie to swego rodzaju unikalny Słownik Niepodległej – zbiór esejów o postaciach i ich walce o Niepodległość.

Tomasz Łysiak – pisarz, dziennikarz, publicysta, autor powieści „Cytadela"

eprasa.pl 0e6beb08e8

Bohater z przeceny

Niektórzy ludzie upadają bardzo nisko. Władysław Frasyniuk – w PRL uważany przez niektórych za legendę opozycji – stoczył się dziś do roli prowokatora, któremu zależy jedynie na tym, aby uchodzić w świecie za rzekomą ofiarę politycznych represji.

Wielka to zaiste odwaga przeciwstawiać się władzy, która nie tylko unika konfrontacji z ewidentnymi awanturnikami, lecz stara się odnosić do zatrzymanych – jak wynika z relacji Frasyniuka – z największą uprzejmością i kurtuazją. Przypominają się w tym kontekście publikowane w internecie obrazki z niedawnych zatrzymań Obywateli RP, którzy robili sobie rozradowane selfiki w policyjnym radiowozie, trzymając nogi na suficie. Niechby tak spróbowali z zomowcami za PRL.

Dziś odwagą wykazuje się nie Frasyniuk, nie opozycja, lecz ci, którzy potrafią się jej przeciwstawić. To np. sędziowie, którzy mimo środowiskowej presji są gotowi wziąć udział w reformie wymiaru sprawiedliwości. Albo – nie szukając daleko od samego Frasyniuka – ci, którzy – jak onegdaj młoda reporterka TVP nagrywająca materiał z antypisowskiej demonstracji – ryzykują, że podczas manifestacji zostaną pobici przez zaprzyjaźnionych z nim osiłków.

Trudno uznać, że dzisiejsza władza jest represyjna, a jej oponenci to gołąbki. Jeśli już, to jest raczej odwrotnie. I nie wiem, czy to jest powód do szczególnej dumy.

Konrad Kołodziejski

Czyja jest Warszawa?

Ruszyła budowa pomników smoleńskich na pl. Piłsudskiego. Wszystkie ofiary tragedii zostaną upamiętnione naprzeciw hotelu Viktoria, a śp. prezydent Lech Kaczyński przy budynku garnizonu.

Sprawa wywołuje wręcz furię opozycji, która zapowiada zburzenie monumentów po przejęciu władzy i podnosi dwa zarzuty: po pierwsze, pomniki nie powinny powstać bez zgody warszawiaków, a po drugie, rządzący znów bezwzględnie narzucili swoją wolę, nie oglądając się na nic.

W kwestii pierwszej sprawa jest jasna: Warszawa to stolica Polski i w tym sensie należy do wszystkich Polaków. Gdyby mieszkańcy miasta mieli prawo weta wobec pomników, oznaczałoby to, że kilka procent ludności naszego kraju może decydować o polityce pamięci całego narodu. Byłby to oczywisty absurd.

W sprawie rzekomej bezwzględności władzy trzeba przypomnieć, że komitet budowy pomników chciał upamiętnić ofiary tragedii na Krakowskim Przedmieściu, w bezpośredniej bliskości Pałacu Prezydenckiego. Wskazano nawet konkretne lokalizacje. Po bezskutecznych zabiegach stało się jednak jasne, że władze stolicy nawet nie myślą o rzeczowej rozmowie, oczywiście z powodów politycznych. Dopiero w tej sytuacji zdecydowano się na pl. Piłsudskiego. Zdecydowano się na lokalizację inną niż planowana właśnie z myślą o unikaniu konfrontacji.

A co do zapowiedzi PO, że pomniki zostaną rozebrane, to można z pełnym przekonaniem powiedzieć, iż stanie się odwrotnie: Platformy nie będzie, a one będą trwały, ciesząc wszystkich ludzi dobrej woli.

Jacek Karnowski

42/0118/F, 44/0118/F

SIECI spis treści

34 Z prof. Ryszardem Terleckim *rozmawia Jacek Karnowski*

38 Pozbyliśmy się złudzeń *Stanisław Janecki*

74 Kałuża Merkel *Piotr Cywiński*

CZŁOWIEK WOLNOŚCI 2017

6 **WOLNOŚĆ TO NIEUSTANNE ZADANIE** Marcin Fijołek, Bronisław Wildstein

NA POCZĄTEK

12 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI** Robert Mazurek, Igor Zalewski
14 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA** Sygnalista
15 **IDEA NARODOWA** Wojciech Reszczyński
16 **BALLADA O KULAWYM ANIELE** Wojciech Wencel
17 **CHURCHILL NASZ WSPÓŁCZESNY** Dariusz Karłowicz
18 **BĄDŹMY PONAD** Krzysztof Feusette
19 **TRENDY I OWĘDY** Ryszard Makowski
19 **KORSUN CHILI KORSUN** Michał Korsun, Paweł Korsun
20 **STRACH BUFETOWEJ** Jan Pietrzak
21 **USTAWA REPRYWATYZACYJNA!!!** Bronisław Wildstein
22 **OGNIEM NA WPROST** Andrzej Rafał Potocki
23 **JEST Z KOGO BRAĆ PRZYKŁAD** Marta Kaczyńska
24 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY** Dorota Łosiewicz
25 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU** Dominik Zdort
26 **FELIETONY** Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

28 **Z PROF. KRYSTYNĄ PAWŁOWICZ** rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

33 **POŻEGNANIE ANTONIEGO KRAUZEGO** Maciej Pawlicki
34 **Z PROF. RYSZARDEM TERLECKIM** rozmawia Jacek Karnowski
38 **POZBYLIŚMY SIĘ ZŁUDZEŃ** Stanisław Janecki
41 **GRA MARCEM** Konrad Kołodziejski
44 **WYJAŚNIMY TO BEZ WRAKU** Marek Pyza, Marcin Wikło
49 **Z MARCINEM MASTALERKIEM** rozmawia Marcin Fijołek
52 **KTO SIĘ BOI NORMALIZACJI?** Piotr Skwieciński
56 **POST TO DUCHOWA SYTOŚĆ** Rozmowa Doroty Łosiewicz z Markiem Zarembą

SIECI KULTURY

59 **HISTORIA MODNIE UBRANA** Jolanta Gajda-Zadworna
62 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM** Piotr Zaremba
64 **POŻEGNANIE MIECZYSŁAWA ŚWIĘCICKIEGO** Krzysztof Logan Tomaszewski
65 **TEATR I MUZYKA** Przemysław Skrzydelski, Adam Ciesielski
66 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY** Wojciech Stanisławski
68 **POLECA I ODRADZA** Łukasz Adamski

HISTORIA

70 **O DOBRYCH I ZŁYCH LEKCJACH HISTORII** Piotr Zaremba

ŚWIAT

74 **KAŁUŻA MERKEL** Piotr Cywiński
78 **DOOKOŁA EUROPY** z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

80 **Z KRZYSZTOFEM TCHÓRZEWSKIM** rozmawia Maciej Wośko

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: MAŁGORZATA SADOWSKA** Jolanta Gajda-Zadworna
89 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA** Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

90 **ZMIANA ALGORYTMU** Piotr Skwieciński
91 **FELIETONY** Witold Gadowski, Lech Makowiecki
92 **SALONOWIEC** Wiktor Świetlik
93 **WIATYK I ARKA** Aleksander Nalaskowski
94 **JADŹWINGOWIE Z MARSZAŁKOWSKIEJ** Robert Mazurek
95 **FELIETONY** Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
98 **POKONANI PRZEZ FIKCJĘ?** Andrzej Zybertowicz

27/0118/F

eprasa.pl 0e6beb08e8

Chwila ODPOCZYNKU?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 0e6beb08e8

Wolność to nieustanne zadanie

Przyznawany przez tygodnik „Sieci" tytuł Człowieka Wolności tym razem trafił do Julii Przyłębskiej. Prezes Trybunału Konstytucyjnego odebrała statuetkę podczas uroczystej gali, która odbyła się w ubiegłym tygodniu w warszawskim hotelu Marriott

Gośćmi uroczystości byli m.in. laureaci nagrody z poprzednich lat (w tym prezes PiS Jarosław Kaczyński), wicepremier Beata Szydło, marszałkowie Sejmu i Senatu Marek Kuchciński oraz Stanisław Karczewski, a także ministrowie i parlamentarzyści.

Dziękując za wyróżnienie, Julia Przyłębska podkreśliła, że dedykuje je śp. prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu. „Kiedyś ważny polityk powiedział, że Polska to brzydka panna i w zasadzie nie ma wielkiego wyboru, że jej wolność jest ograniczona. Ale pojawił się mąż stanu i przedefiniował pojęcie naszej wolności. Kiedy bowiem Lech Kaczyński, prezydent RP, stanął na placu w Tbilisi i zabrał głos w imieniu naszym i wielu narodów, okazało się, że Polska to nie tylko dzielna, lecz także mądra i piękna panna. Lech Kaczyński w każdym obszarze swojej działalności dawał nam inspirację, jak najlepiej korzystać z wolności" – mówiła prezes TK.

Symbolicznym nawiązaniem były słowa Przyłębskiej skierowane do obecnych na gali więźniarek niemieckiego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück – Marianny Bogusz i Wandy Rosiewicz. „Już od dłuższego czasu mówię Wam, że jesteście Panie dla mnie przykładem wolności. Mimo faktycznego zniewolenia nie utraciłyście nigdy wewnętrznej wolności i dzięki niej udało Wam się przeżyć naprawdę trudny czas" – mówiła laureatka nagrody.

W przemówieniu prezes Trybunału Konstytucyjnego nie mogło zabraknąć wątku związanego z wymiarem sprawiedliwości: „Roszczenie, żeby władza sądownicza nie podlegała ocenom i krytyce, jest roszczeniem całkowicie nieuzasadnionym. Tę zasadę trzeba przyjąć w naszym kraju, w przeciwnym razie nie osiągniemy tego, do czego szczerze dążymy, a mianowicie uczciwego w ludzkich wymiarach państwa" – stwierdziła Julia Przyłębska. Podziękowała też za zaangażowanie i pracę sędziom TK, w tym niedawno zmarłym – śp. Leszkowi Morawskiemu i Henrykowi Ciochowi.

„Wolność jest darem, ale również nieustannym zadaniem. Dlatego nagrodę odbieram jako zobowiązanie" – podkreśliła laureatka.

Statuetkę Człowieka Wolności 2017 przekazali Romuald Orzeł, prezes zarządu spółki Fratria, oraz Jacek i Michał Karnowscy. Jak uzasadniał Jacek Karnowski, redaktor naczelny „Sieci", nagroda przyznawana przez tygodnik przeznaczona jest dla osób, które przyczyniają się do walki o polską wolność. „Nagroda dla prezes Przyłębskiej to nagroda za walkę o normalność. Za walkę, która wymagała wielkiej odwagi, sprawności, wyczucia, ale także za wielką klasę, która ułatwia to działanie" – zaznaczył. Jacek Karnowski odniósł się też do szerszego wymiaru zmian w naszym kraju, w który wpisuje się także praca Przyłębskiej jako prezes TK. „Pamiętamy czasy, kiedy rządzący w Polsce mówili, że interesuje nas tylko tu i teraz. Dziś jest inaczej. Bardzo ważne, że Polaków udaje się przekonywać do tej moralności. Jeśli nasze media mogły się do tego przyczynić, to dla nas wielki zaszczyt. Tu chodzi o Polskę, o troska o tę wspólnotę, która nie jest partyjna" – ocenił naczelny „Sieci".

Laudację na cześć laureatki wygłosił Bronisław Wildstein. „Wybór Julii Przyłębskiej na prezesa Trybunału Konstytucyjnego to początek odbudowy wymiaru sprawiedliwości w Polsce" – podkreślił publicysta „Sieci". Pełny tekst laudacji mogą państwo znaleźć na kolejnych stronach.

Do wyboru Człowieka Wolności 2017 odniósł się także Jarosław Kaczyński: „To jest nagroda, która – można powiedzieć – się należała, bo to jest osoba, która wniosła w tym ostatnim okresie naprawdę bardzo dużo, jeśli chodzi o podjęcie się i przeprowadzenie tej wielkiej przemiany" – powiedział prezes Prawa i Sprawiedliwości. „Trybunał Konstytucyjny dzisiaj już pracuje dobrze, tak jak powinien, ale być może stanie przed nowymi wyzwaniami. Jestem pewien, że pani prezes da sobie z nimi radę, nawet jeśli będą bardzo trudne" – tłumaczył Kaczyński.

Uroczystość uświetnił koncert Marcina Wyrostka z zespołem, a galę poprowadzili prezenterzy telewizyjni Agata Konarska i Michał Adamczyk. Kuluarowe rozmowy gości prowadzone w foyer hotelu Marriott trwały do późnych godzin wieczornych.

Marcin Fijołek

37/0115/F, 39/0118/F, 31/0118/F, 52/0115/F, 55/0118/F, 56/0118/F, 63/0118/F, 67/0118/F, 70/0118/F, 71/0118/F, 27/0118/F, 36/0118/F, 73/0118/F, 13/0218/F.

PARTNER ZŁOTY: ORLEN
PARTNERZY STRATEGICZNI: ALIOR BANK, Bank Pekao, PZU, Energa, PGNiG
PARTNERZY GŁÓWNI: Bank Polski, synthos, TAURON

eprasa.pl 0e6beb08e8

Fot. Andrzej Wiktor

PARTNER:

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

PATRON MEDIALNY:

ORGANIZATORZY:

eprasa.pl 0e6beb08e8

Julia Przyłębska –

Uznanie Julii Przyłębskiej, prezesa Trybunału Konstytucyjnego, za Człowieka Wolności Roku 2017 jawi się jako oczywiste. Wyróżnienie naszego tygodnika przeznaczone jest dla patriotów zaangażowanych na rzecz narodu. Działalność taka kreuje jeden z istotniejszych, choć często pomijanych obecnie wymiarów wolności, czyli możliwość kształtowania rzeczywistości, w której żyjemy. To wolność pozytywna, która pozwala nam panować nad naszym losem, gdyż tylko zespołowo jesteśmy w stanie podejmować przedsięwzięcia w tym kierunku, to republikańskie nastawienie na tworzenie dobra wspólnego.

Wybór Julii Przyłębskiej na stanowisko prezesa Trybunału Konstytucyjnego to początek odbudowy wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Historia tej instytucji uznawanej współcześnie za kardynalny element sądownictwa jest stosunkowo niedługa. Jej wielka kariera wiąże się z doświadczeniem narodowego socjalizmu, którego dojście do władzy w Niemczech uznać można za samobójstwo demokracji. W celu uniemożliwienia tego typu nieszczęść stworzone zostały sądy konstytucyjne, które dbać miały, aby narody nie zakwestionowały podstawowych praw regulujących ich funkcjonowanie. Miały więc odgrywać specyficzną rolę i interweniować w wyjątkowych okolicznościach. Niestety, wyposażone w szczególne uprawnienia nie potrafiły oprzeć się pokusie ich rozszerzania i nadużywania. W III RP mieliśmy do czynienia ze szczególną egzemplifikacją tego zjawiska. Wpływ na to miał stan kadr sędziowskich, które w nową, demokratyczną rzeczywistość przemaszerowały w niezmienionym składzie z PRL.

Wprawdzie upłynęło od tego blisko 30 lat, co musiało zmienić ich personalia, ale w korporacji, która uzyskała pełnię władzy nad wymiarem sprawiedliwości, w tym kompetencje powoływania i kształtowania nowych adeptów, przetrwała instytucjonalna tożsamość. Jej podstawowym elementem była obrona status quo, który dawał sędziom niezwykłe uprawnienia.

System III RP to rodzaj oligarchii, czyli panowanie nielicznych w swoim interesie. Układ ten zagrożony jest procedurami

Bronisław Wildstein wygłosił laudację na cześć laureatki

Fot. Wojtek Dobrogoński

eprasa.pl 0e6beb08e8

Człowiek Wolności

wyborczymi, gdyż formalnie funkcjonuje w Polsce ustrój demokratyczny. W tej sytuacji bezpiecznikiem oligarchii pozostaje wymiar sprawiedliwości, który stanowi jej istotną część składową, a zwłaszcza jej ostatni bastion, Trybunał Konstytucyjny. Doświadczyliśmy tego w czasie dwulecia rządów PiS w latach 2005–2007. Głębsze zmiany blokowane były przez tę instancję, która, gdy zabrakło litery, potrafiła odwoływać się do „ducha konstytucji", a jej zapisy rozciągała dowolnie. Próbę otwarcia zawodów prawniczych zakwestionowała na mocy zapisu, że korporacje mają prawo się samoorganizować. Tak więc pod szyldem państwa prawa uzyskaliśmy państwo prawników, które stanowiło tak ścisły gorset dla demokracji, że realnie pozbawiało ją elementarnego sensu.

Podobnie miało być po ostatnich wyborach, dwa lata temu. Sejm poprzedni wybrał awansem pięciu kolejnych członków Trybunału Konstytucyjnego, pomimo że kadencje ich poprzedników kończyły się już po wyborach. Nowe ciało ustawodawcze nie zgodziło się na to ewidentne złamanie zasad, unieważniło

Nagrodę wręczyli prezes wydawnictwa Fratria Romuald Orzeł oraz Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci", i Michał Karnowski, wiceprezes zarządu Fratrii

Fot. Wojtek Dobrogojski

eprasa.pl 0e6beb08e8

wybór i powołało kolejnych pięciu sędziów. TK salomonowym wyrokiem zgodził się na powołanie dwóch, ale trzech odrzucił. Gdyby Sejm i prezydent zaakceptowali ten pseudokompromis, większość w TK jeszcze długo pozostawałaby wroga nowym rządom i, można mieć pewność, skutecznie je paraliżowała.

Jednym z dwojga sędziów, co do których wyboru nie podnoszono żadnego sprzeciwu, była Julia Przyłębska.

Mówiąc o nastawieniu korporacji, wskazuję postawę jego dominujących elit, co nie znaczy, że podzielają ją wszyscy sędziowie. Pozytywnym przykładem innego podejścia do prawa jest obecna prezes Trybunału. Nie jest profesorem, ale sędzią praktykiem. Nie kształtowały jej uniwersyteckie układy, ale konfrontacja z problemami ludzi, którzy próbują dochodzić swoich racji. Prawdopodobnie również dlatego uważa, że prawo powinno być elementem państwa, a sędziowie nie są „specjalną kastą", tylko pełnią służbę narodowi i obywatelom.

Prezes Przyłębska z powodzeniem sprawowała funkcje dyplomatyczne. Współpracowała z Instytutem Gaucka, a także uczestniczyła w negocjacjach z Niemcami w sprawie odszkodowań dla obywateli polskich za pracę przymusową w czasie II wojny światowej. Odznaczona została za to medalem Stowarzyszenia Żydów Kombatantów RP i Poszkodowanych w II Wojnie Światowej.

Obecna prezes w przeciwieństwie do swojego poprzednika nie uczestniczy w rozgrywkach partyjnych, nie deklaruje swoich sympatii ani antypatii w tej mierze. Zerwała z bizantyńskim stylem, który prezentowali jej poprzednicy, rozbudowanym ceremoniałem i ograniczyła koszty z tym związane. Niezależnie od oskarżeń o próbę rewanżu rozpoczęła audyt instytucji, którą przejęła.

Jej wybór na prezesa, tak jak i na sędziego TK, nie wywołał pierwotnie sprzeciwu. Nawet niechętny jej wiceprzewodniczący Trybunału prof. Stanisław Biernat stwierdził, że należy pogodzić się z nowym stanem rzeczy. Formalnie wszystko przebiegło bez zarzutu, a przecież obrońcy ancien régime'u chcieli prezentować się jako legaliści doskonali. Ale nie w wypadku, kiedy działało to na ich niekorzyść.

Ciekawe jest prześledzenie ataków na prezes Przyłębską po przejęciu przez nią przewodnictwa w TK. Np. była sędzia tej instytucji Ewa Łętowska stwierdziła, że nowa prezes ma „bardzo kruchą legitymację". Co to miało znaczyć, nie dowiedzieliśmy się. Andrzej Rzepliński posunął się dalej, stwierdzając, że Julia Przyłębska nie została wybrana prawidłowo, ponieważ... nie poinformowała w trakcie mianowania, że ileś lat wcześniej otrzymała negatywne opinie od wizytatorów sędziowskich. Były prezes nie dodał, że opinie te nie wpłynęły na awanse Przyłębskiej w poznańskim sądzie okręgowym. Konflikt obecnej prezes z częścią tamtejszego establishmentu wydaje o niej jak najlepsze świadectwo, gdyż był efektem jej nieustępliwości w tropieniu afery, w którą uwikłana była miejscowa socjeta.

Gala nagrody Człowiek Wolności 2017, która odbyła się w hotelu Marriott 12 lutego 2018 r.

Fot. Wojtek Dobrogojski

Fot. Wojtek Dobrogojski

Fot. Andrzej Wiktor

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0e6beb08e8

Uroczystość uświetnił koncert Marcina Wyrostka z zespołem

Fot. Wojtek Dobrogojski

Radykalną zmianę opinii na jej temat pouczająco prezentuje Andrzej Byrt, były ambasador w Niemczech, który w trakcie pracy prezes Przyłębskiej jako swojego podwładnego i bezpośrednio po jej zakończeniu, wystawiał entuzjastyczne rekomendacje przyszłej prezes, dziś natomiast mówi o niej wyłącznie źle.

Mnożące się zastrzeżenia, które obrońcy dawnego układu wysuwali przeciw niepochodzącej z ich szeregów przewodniczącej, z czasem przekształciły się w stałą kontestację. Teza, że Julia Przyłębska została wybrana niewłaściwie, powtarzana jest bez żadnego uzasadnienia. Podobno dlatego, że uchwała na ten temat nie została przedstawiona we właściwym czasie. Przyłębska precyzyjnie wyjaśniła wszystkie związane z tym nieporozumienia, ale nikt się tym nie przejął. Dziś z ust wiceprzewodniczącego KE Fransa Timmermansa słyszymy, że jej wybór był „nieprawny".

To jeszcze walka na poziomie polityczno-prawnym, jakkolwiek śladu w niej dobrej woli i poszanowania faktów. Towarzyszy temu jednak odrażająca nagonka osobista zarówno na prezes Przyłębską, jak i na jej męża. „Wyborcza" eksponuje sążnisty tekst na temat powiązań obecnej prezes z tajnymi służbami III RP. Clou wywodu mieści się w sformułowaniu, że nie ma na to dowodów, gdyż leżą one ukryte w archiwach tychże. Można mieć pewność, że nie będzie to ostatnia insynuacja ani jedyna kampania pomówień.

A Julia Przyłębska? Znosi to wszystko z podziwu godnym spokojem i zajmuje się swoimi obowiązkami. Jest prezesem Trybunału, któremu przywraca należną mu, niesłychanie znaczącą, ale również ustawowo ograniczoną rolę. Odgrywa rolę nie do przecenienia w odbudowie polskiego porządku prawnego, gwarancji naszej wolności.

A jej charakter najlepiej – a przy okazji niezwykle syntetycznie – ujął wybitny filozof Ryszard Legutko, mówiąc: „Dama o świetnym umyśle i wielkiej wrażliwości, a jednocześnie bardzo samodzielna, idąca pod prąd". Nic dodać.

Bronisław Wildstein

Człowiek Wolności tygodnika SIECI

To doroczny plebiscyt, w którym czytelnicy i kapituła honorują osoby szczególnie zasłużone w dziele troski o wolną Polskę.

W tym roku główną nagrodą została uhonorowana prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska.

W minionych latach tytuł Człowieka Wolności „Sieci" otrzymali prof. Krzysztof Szwagrzyk, historyk kierujący pracami na kwaterze „Ł", poeta i pisarz Jarosław Marek Rymkiewicz, prezydent RP Andrzej Duda oraz prezes PiS Jarosław Kaczyński.

W gronie laureatów, którzy w poprzednich edycjach plebiscytu otrzymali wyróżnienia, są: Dariusz Malejonek za projekt „Panny Wyklęte", Arkadiusz Gołębiewski za filmy „Kwatera »Ł«" i „Dzieci kwatery »Ł«" oraz Karolina i Tomasz Elbanowscy, organizatorzy akcji sprzeciwu wobec przymusu szkolnego dla sześciolatków.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Z życia koalicji

Monolog pewnego ministra: „Naprawdę nie wiem, czemu prezes jeszcze trzyma zarząd Polskiej Fundacji Narodowej? Chodzi o kasę na kampanię wyborczą? Ale przecież pieniądze mamy”. I cóż my tu możemy dodać?

Im bardziej Ewa Bugała przechodziła do Orlenu, tym bardziej jej w nim nie było – tak można by skomentować dwudniowy epizod gwiazdy TV Paździerz w branży paliwowej. W sumie szkoda. Nam najbardziej podobało się przypuszczenie, że skoro Bugała została dyrektorem w Orlenie, to Holecka dostanie prezesurę Tauronu.

Skoro już przy mediach paździerzowych jesteśmy, to radiowa Jedynka wciąż nie ma szefa. Najpierw pracowników postraszono, że przyjdzie do nich Robert Tekieli, ale dali na mszę i chyba nic z tego.

To może ***Mastalerek***? Facet ewidentnie zajęcia sobie znaleźć nie może, w każdym razie zarobkowego. Ostatnio w akcie jakiegoś nawrotu nałogu nie wychodzi z mediów. Jak się nie pojawiał przez dwa lata, tak teraz straszy niczym Zetafon, tylko częściej. Przekaz klarowny: opozycję wyśmiewamy, PiS chwalimy powściągliwie, ale za to Andrzej Duda to miodzio zupełne, śliczny, mądry i cacany. Marcin, trzeba sobie było posadę w kancelarii wcześniej załatwić, teraz to będzie jednak głupio wyglądało.

Najjaśniejszy Pan Premier w rozjazdach. Zaczęło się od tego, że pojechał do Libanu. Zasadniczo z Libanem łączy nas ostatnio coraz więcej. Choćby sympatia Izraela do obu państw.

À propos Izraela, to już nawet do ucha Prezesa dotarły pomruki pisowców oskarżających Ziobrę i Jakiego o wywołanie konfliktu z Izraelem. Już pisaliśmy, że powody mogły być dwa: albo są głupkami i nie rozumieją, co do nich izraelscy dyplomaci mówili, albo celowo chcą sprowadzić PiS na prawicowe manowce, bo walczą o schedę po Kaczorze. Efekt? Kaczyński się zdenerwował i być może chwilowo, ale spadły szanse Jakiego na warszawską prezydenturę.

W tej sytuacji nie dziwi balon próbny wypuszczony przez marszałka Senatu, który zaproponował tandem: on, Karczewski – prezydentem, Jaki – wiceprezydentem Warszawy. Jeden z Nowego Miasta nad Pilicą, drugi z Opola. A Garwolin?

Zresztą sprawa jest nieaktualna, bo Jaki błyskawicznie przekazał Karczewskiemu, żeby spadał na szczaw, on oczywiście pomoże starszemu panu, jeśli partia każe, no ale akurat straszliwie zarobiony będzie w resorcie. Ba, w końcu zostało jeszcze tyle państw do obrażenia.

Aha, utrącenie przez Kaczafiego reprywatyzacji to nie akcja represyjna wobec Jakiego, tylko – jak nam tłumaczą nasze rządowe wiewiórki – próba ratowania się nawet nie tyle przed Izraelem, ile przed Amerykanami, bo to oni najmocniej naciskali, by Żydów też reprywatyzacją objąć. Czy nie moglibyśmy pójść na jakiś kompromis? Na przykład oddamy Żydom połowę, ale dorzucimy Jakiego i Michała Boniego? Nieduzi, ale chwaccy.

Zasadniczo nie piszemy tu o nominacjach na wiceministrów. Nie piszemy również o pani Małgorzacie Golińskiej, posłance PiS ze Szczecinka, która ma być wiceministrem środowiska, a którą znajomy poseł opisał nam jako „miłą, grzeczną, wystraszoną”. Nas najbardziej bawi, że po tym jak Ministerstwu Środowiska odebrano połowę kompetencji, to będzie miało pięciu wiceministrów. To, zdaje się, i tak o jednego mniej niż za Szyszki. No tak, ale teraz nie będzie już potrzebny minister od lasów. Co najwyżej od tartaków.

PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Fratria

eprasa.pl 0e6beb0b8

Z życia opozycji

Policja odprowadziła ***Władysława Frasyniuka*** na przesłuchanie do prokuratury. Bo nie stawiał się na wezwania. Natychmiast pojawiły się porównania ze stanem wojennym i takie tam. Naszym zdaniem istnieje jedna wielka i zasadnicza różnica. Wtedy Frasyniuk bardzo nie chciał, żeby milicja go złapała. Teraz bardzo chciał.

Bo Frasyniuk marzy oczywiście o tym, żeby zostać męczennikiem, ofiarą faszystowsko-kaczystowskiego reżimu. Nie on jeden, ale chwilowo on jest najbliżej. Niestety prokuratura go wypuściła i nie torturowała. Tylko postawiła zarzut. Legenda podziemia będzie więc dalej pracować na miano męczennika. Obawiamy się, że podstępny i nieludzki reżim w końcu umorzy śledztwo ze względu na małą wagę przewinienia Frasyniuka. Bydlaki!

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

„Musimy znaleźć pałę na tego karakana!" – zaapelowała inna legenda podziemia przy okazji przesłuchania Frasyniuka. Jak się domyślamy, byłemu prezydentowi chodziło o Jarosława Kaczyńskiego. Lech Wałęsa domagał się również od swoich zwolenników zdecydowanego oporu. Niestety zwolennicy Lecha zostali już chyba wymordowani albo siedzą w łagrach, bo nikt nie zareagował.

Przykra przygoda zdarzyła się publicyście „Polityki" Wojciechowi Szackiemu. Otóż na Twitterze zażartował sobie, dość niewinnie, z ***Roberta Biedronia***. I superfajny prezydent Słupska natychmiast go zablokował. A to ci luzak dopiero!

Bogdan Borusewicz zagrzmiał ostrzegawczo, że w całym kraju ścigani są ludzie PO. Zapewne nawiązywał do zatrzymania przez ABW byłego wiceministra skarbu, który tak wspaniale odsprzedał Ciech Kulczykom. A może chodziło mu o prezydenta Adamowicza, którego dzieci dostały od dziadków 400 tys. zł kieszonkowego? A może o Hannę Gronkiewicz-Waltz, odpowiedzialną za liczne przewały w Warszawie? No faktycznie – wszystko to ludzie PO, ale lepiej chyba za głośno się tym nie chwalić.

Ludowiec od niedawna Misio Kamiński indagowany na okoliczność, czy jest jakaś partia, w której jeszcze nie był, odparł błyskotliwie: „Można zmieniać żony, to można i partie". Hm, w jego sytuacji politycznej optymalnym rozwiązaniem byłaby legalizacja wielożeństwa. To by sobie dopiero poszalał!

Rysiek Petru sprzeciwia się zjednoczeniu Nowoczesnej i Platformy Obywatelskiej. Rozumiemy, że taki właśnie jest plan Petru. Nie rozumiemy natomiast, dlaczego zdanie byłego szefa Nowoczesnej miałoby mieć jakiekolwiek znaczenie dla kogoś poza Joanną Schmidt.

A w ogóle fajnie by było, gdyby PO i Nowoczesna się połączyły. Byłoby to kropka w kropkę powtórzenie losów Unii Demokratycznej i Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Tylko przewodniczący Schetyna musi mieć wspólny gabinet z wiceprzewodniczącą Lubnauer. Dlaczego? Dla dobra światowej behawiorystyki.

Podobno Axel Springer nie jest zadowolony z wyników „Newsweeka" Tomasza Lisa. Naczelny tygodnika miał nawet dostać ultimatum: poprawa sprzedaży albo dymisja. Jeny, jak wywalą Lisa z „Newsweeka", to bidula będzie musiał się żywić parówkami z naTemat.pl. Tragedia pierwszego świata.

TYGODNIA

Zalewskiego

Fot. Andrzej Skwarczyński (x3)

eprasa.pl 0e6beb08e8

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Władysław Frasyniuk został obudzony, zakuty w kajdanki, przewieziony na przesłuchanie i wypuszczony. Drugą połowę dnia miał jeszcze cięższą, bo musiał odwiedzić z pół tuzina telewizji. Najpierw był wrzask, że dyktatura. Parę godzin później, że może tylko te kajdanki i wczesna pora były przesadą. Na koniec sam Frasyniuk przyznał, że w sumie nie jest to druga PRL. Czyli warto było. Krok po kroku dojdziemy do państwa prawa, o które „Władek" walczył w „Solidarności".

Adwokat Frasyniuka mec. Piotr Schramm szczerze stwierdził, że on ani jego klient niestety „nie mają pełnego komfortu, żeby przewidzieć, kto tę sprawę będzie rozpatrywał". A to wszystko dlatego, że minister Ziobro powymieniał szefów sądów. Ta szczera wypowiedź to kolejny wielki pożytek z tego zatrzymania.

Jeśli już o elitach III RP mowa, to utrwalamy dla potomności ***wypowiedź Roberta Smoktunowicza*** na temat redaktora Lisa: „Mam taki komentarz do różnych publikacji Tomasza Lisa. Nie jest on wart, żeby go cytować ani o nim mówić. Pozdrowienia, Tomku. W 25. rocznicę mojego świadkowania na twoim ślubie". Wszystko wraca.

Ponoć ***redaktor Lis*** dostał ultimatum od niemiecko-szwajcarskiego koncernu: albo szybko podniesie sprzedaż, albo do widzenia. Bo sprzedaż spada. I ponoć przy tej okazji u redaktora Lisa pojawiła się refleksja, że jednak za grubo jechał, ogłaszając, że żyjemy w Korei Północnej albo w byłej NRD. A przestrzegaliśmy: lemingi są emocjonalnie labilne, najpierw pójdą na marsz KOD, potem zagłosują na Morawieckiego. Mieliśmy rację.

Ale te ***sondaże*** to tak świetne, że aż nieco za świetne. W kampanii mogą się spłaszczyć. Tak przewiduje były rzecznik PiS Marcin Mastalerek, który uważa, że prawica „narkotyzuje się" wysokim poparciem i może za to zapłacić. Mastalerka warto słuchać, bo – jak powiedział nam człowiek godzien zaufania – przeprowadził kampanię nie tylko skuteczną, lecz i wzorowo wręcz uczciwą finansowo. Za co miał oberwać od tych, którzy tym razem nie zarobili.

A ***premier Morawiecki*** udzielił wywiadu niemieckiemu dziennikowi „Die Welt". „Wyborcza" skorzystała z szansy i również tenże wywiad wydrukowała tego samego dnia. W sumie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Czerska nie próbowała wyraźnie sugerować, że to wywiad... specjalnie dla niej. Do tego doszliśmy: „Wyborcza" chce (musi?) udawać, że ma wywiad z szefem pisowskiego rządu. Nic dziwnego, że wołają: dyktatura!

Jonny Daniels (to zarówno imię, nazwisko, jak i opis funkcji) przeprosił reżysera Grzegorza Brauna za nazwanie go idiotą w kontekście dyskusji o Marszu Niepodległości. „Moje przeprosiny nie są podyktowane faktem, że p. Braun jest Żydem, ale tym, że jest po prostu człowiekiem" – dodał zgrabnie. W IV RP dzieją się rzeczy, o których filozofom się nie śniło.

W związku z ***„wojną dziesięciodniową z Izraelem"*** jest jazda na Patryka Jakiego. Media liberalno-prorządowe forsują tezę, że Jaki wszystko uknuł, aby wpędzić w kłopoty nowy rząd. Ale Jaki musiałby być samobójcą, by tak zagrać, bo widać, że oberwał mocno. On kontekstu izraelskiego po prostu nie docenił, podobnie jak MSZ, które niby ostrzegało, ale tak cicho, że nikt nie słyszał. A tak w ogóle po szkodzie to wszyscy mądrzy.

Kampania przeciw Jakiemu chwilami pachnie groteską. W „Fakcie" przypisano mu nie tylko zbrodnie na froncie izraelskim, lecz nawet wsadzenie Ewy Bugały do Orlenu, choć – może ze wstydu – nie wyjaśniono, jaką niby ścieżką (Bugała była w TVP w ekipie bliskiej Macierewiczowi). Wychodzi na to, że jeśli ktoś ma jakiś problem, to jest okazja, by przypisać go Jakiemu. No i jeszcze może Świrskiemu.

Jaki prowadzi też ***sprawę reprywatyzacji***, ale ta ustawa nie przejdzie. Nie mówimy, że nigdy, ale poleży długo, bardzo długo. To już pewne. Dlaczego? Bo kolejnego zderzenia z Izraelem, USA i lobby żydowskim nie przeżyjemy. Co niestety jest prawdą. Teraz w PiS szukają sposobu na zablokowanie złodziejstwa w sądach. Mamy nadzieję, że tego pani Azari nie oprotestuje.

A na gali Człowieka Wolności tygodnika „Sieci" pięknie grał akordeonista Marcin Wyrostek z zespołem. Były to głównie wariacje na temat polskich tańców ludowych, z wyjątkiem kompozycji ostatniej, która nosiła tytuł „Tel Awiw–Warszawa" i czerpała z muzyki żydowskiej. Czy ktoś uwierzy organizatorom, że artysta sam to zaplanował? Ale w sumie pięknie wyszło.

Sygnalista

eprasa.pl 0e6beb08e8

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Idea narodowa

Najbardziej zaciekli krytycy nowelizacji ustawy o IPN, zgodnie z którą przypisywanie Narodowi Polskiemu i Państwu Polskiemu odpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez III Rzeszę Niemiecką, ma być karane, podnoszą argument, że w polskim prawie brak jest definicji narodu polskiego. To prawda. Nawet prof. Feliks Koneczny pisał o istnieniu wielu różnych definicji narodu i potwierdzał brak istnienia definicji zasadniczej.

Niemniej jednak warto wiedzieć, że w naszej konstytucji (art. 3) istnieje zapis o władzy zwierzchniej, która w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu, a Naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio. W preambule konstytucji zaś czytamy, że Naród Polski to wszyscy obywatele Rzeczypospolitej. A więc nawet gdyby ktoś nie odczuwał swoich więzi z narodem, a był polskim obywatelem, także jest (choćby teoretycznie) częścią narodu polskiego, bo są nim wszyscy obywatele. Oczywiście nikogo nie można przymusić do bycia częścią narodu polskiego. To kwestia dobrowolności, świadomości wyboru. Są tacy, którym wystarczy przynależność do państwa polskiego, o czym zaświadcza dowód osobisty lub paszport. Dla innych jednak jest to zbyt mało, gdyż czują szczególną, osobistą więź z własnym narodem. Zatem o przynależności do narodu decyduje wiele różnych przymiotów, głównie niematerialnych, w zasadzie uczuciowych. Trudno więc o definicję, ale spróbujmy, choć to niełatwe.

Naród nie może się ukształtować bez społeczeństwa, które wcześniej nadaje narodowi pewien duchowy kierunek rozwoju

Przed wojną w wielkich skupiskach obywateli polskich wyznania mojżeszowego byli tacy, którzy czuli się częścią narodu polskiego, i tacy, którzy tę więź odrzucali na rzecz więzi z narodem żydowskim. Szczególnie tragiczny był los obywateli niemieckich żydowskiego pochodzenia zamieszkujących III Rzeszę Hitlera, gdyż czuli swój związek uczuciowy (podobny język) z narodem niemieckim, a zostali z niego wykluczeni i skazani na śmierć.

A więc to nie tylko język stanowi o kryterium narodowym, choć jak pisze Feliks Koneczny – nie może być narodu bez własnego języka, a gdy go straci, przestaje być narodem. Można traktować swój język za ojczysty, ale jeszcze ważniejsze jest to, co się w tym języku wyraża. Można pluć na Polskę i polski naród czystą literacką ojczystą polszczyzną, ale przez to nie będzie się częścią narodu, wręcz przeciwnie, jego wrogiem.

Naród tworzy się w długim historycznym procesie: ród, plemiona, ludy, społeczeństwa, państwa, narody. Kolejność jest ważna, ale nie determinuje tego procesu. Mogą istnieć silne państwa bez społeczeństwa, a tym bardziej bez narodu. Może istnieć naród bez państwa, co przydarzyło się nam w czasie 123 lat rozbiorów. Ale naród nie może ukształtować się bez społeczeństwa, które wcześniej nadaje narodowi pewien duchowy kierunek rozwoju. Państwo bowiem nie wytwarza narodu, wręcz przeciwnie, to narody z rozwiniętym, świadomym swego istnienia społeczeństwem, uzbrojonym we własną kulturę, tworzą państwa narodowe.

Polskie poczucie narodowe, najstarsze w Europie, pojawiło się w XIII w. na Kujawach, na dworze kaliskiego księcia Władysława Łokietka. Francuskie poczucie narodowe wyzwoliła Joanna d'Arc, uznając za Francuzów tylko tych, co mówią po francusku i walczą z normandzkim okupantem. U Niemców poczucie narodowe wytworzyło się dopiero w XIX w., po wojnach napoleońskich, wzmocnione zwycięstwem nad Francją i powstaniem II Rzeszy Ottona von Bismarcka.

Czym w istocie jest naród polski? Jest dobrowolnym zrzeszeniem ludzi, którzy wcześniej, w długim historycznym procesie, wytworzyli własne społeczeństwo na gruncie cywilizacji łacińskochrześcijańskiej. Ta zaś wymaga przestrzegania zasady personalizmu, czyli wpływu na państwo, które musi być gwarantem wolności obywatelskich. Równocześnie zasada personalizmu wymaga od każdego członka narodu poczucia własnej odpowiedzialności za państwo i społeczeństwo.

Naród polski przetrwał dzięki ojczystemu językowi, wspólnej wierze katolickiej i pragnieniu jej etyki zarówno w życiu indywidualnym, jak i zbiorowym oraz dzięki kulturze duchowej i obyczajom. Sto lat temu korzystając z międzynarodowej koniunktury, odbudował państwo polskie, gdyż miał społeczeństwo i elity odpowiednio wyedukowane moralnie i intelektualnie. Takie społeczeństwo zawsze jest skutecznym narzędziem budowy sprawnego państwa narodowego. To zaś, aby się rozwijało, musi pielęgnować ideę narodową, z której rodzi się patriotyzm, czyli kultura czynu.

eprasa.pl 0e6beb08e8

ZGODY I KOSY

Ballada o kulawym aniele

Wiersz Nadwornego Poety PiS dedykowany Naczelnikowi Państwa w Dniu Kota

Kochany Panie Naczelniku! Platon twierdził, że poeci powinni zostać wygnani z idealnego państwa. Cieszę się, że Pan Naczelnik nie jest Platonem. Jako gryzipiórek określany tu i ówdzie Nadwornym Poetą PiS, w dniu święta narodowego, jakim niewątpliwie jest przypadający 17 lutego Dzień Kota, dedykuję Panu Naczelnikowi swój najnowszy wiersz. Niech to będzie hołd złożony przez wenę czynowi, a przy okazji pocztówka z urokliwej Lanckorony, która pamięta czasy konfederatów barskich. Strzelając obcasami przed Panem Naczelnikiem, łączę ukłony dla sierściucha.

W Lanckoronie położonej na wysokiej górze
gdzie na polach kwitną maki a w ogródkach róże
gdzie dom każdy ma sukienkę z wapna albo smoły
świętą wojnę toczą z sobą koty i anioły

zasadniczo chodzi o to kto ciszej się skrada
kto potrafi – zwłaszcza zimą – wspinać się po dachach
komu lepiej patrzy z oczu podczas sjesty w oknie
no i skrzydła czy pazury – co jest mieć wygodniej

w zeszłym roku bój pochłonął dwieście sześć doniczek
o dachówkach już nie wspomnę bo się nie doliczę
nic dziwnego że mieszkańcy skarżyli się mediom
że nie mają z tej batalii pożytku żadnego:

– W Wadowicach prężnie działa muzeum papieskie.
Po kremówki tirem jeździ słowacki biznesmen.
Tłumy wiernych na kalwarię ściąga Zebrzydowska,
a tu wciąż kocia muzyka i ogólnie szopka.

najdonośniej grzmiały panny chociaż trzeba przyznać
że nie brała w tym udziału córka zegarmistrza
uwielbiała na kanapie czytywać romanse
młody anioł się zakochał w tej lanckoroniance

godzinami u jej okna trzymał się framugi
gdy miał szczęście widział łydkę ale częściej sufit
aż raz nocą kot zbłąkany wskoczył mu głowę
wtedy spadł i zaraz stał się kulawym aniołem

co dziś robi gdzie się kryje tego sam Bóg nie wie
chodzą słuchy że ze wstydu zapadł się pod ziemię
co się tyczy zaś dziewczyny ceniącej lekturę
na jej sofie obok książki kot się wyleguje

smutny morał z tej historii nie sprzyja aniołom:
kto jest gapą temu nawet skrzydła nie pomogą
lepszy amant który wcale latać nie potrafi
ale gdy już spada z wyżyn to na cztery łapy

* * *

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl 0e6beb08e8

Churchill nasz współczesny

Niedługo po premierze „Czasu mroku" („Darkest Hour") Joego Wrighta brytyjskie media obiegła wiadomość, że w trakcie projekcji filmu publiczność urządza owacje na stojąco. Brawa w kinie to rzecz niezwykła i przyznać trzeba dziwaczna, więc w pierwszym odruchu łatwo się zgodzić z komentatorem „Guardiana", pokpiwającym z celowości oklaskiwania aktorów, którzy nas nie słyszą. Niemądra afektacja? No, chyba że owacje nie są wyrazem podziwu dla aktorskich szarż Gary'ego Oldmana, ale manifestacją opinii, których lewicowy „The Guardian" nie chce ani nie potrafi zrozumieć. Dlaczego? Ano dlatego, że dotyczą spraw, o których mieliśmy zapomnieć – tożsamości, suwerenności oraz ceny, którą warto za nie zapłacić.

W stosunkowo krótkim czasie w kinach mamy już drugi film o początkach II wojny światowej oglądanych z perspektywy Wielkiej Brytanii. Po monumentalnej „Dunkierce" Christophera Nolana kameralna opowieść o pierwszym, niezwykle dramatycznym miesiącu Winstona Churchilla w roli gospodarza rezydencji przy Downing Street 10.

Film Wrighta zaczyna się w maju 1940 r., kiedy upada gabinet Neville'a Chamberlaina, a kończy w początku czerwca tuż po ewakuacji 300 tys. żołnierzy z plaży pod Dunkierką. Związek obu filmów jest oczywisty. To ta sama najciemniejsza godzina – moment wielkiej porażki i upokorzenia, fiasko całej dotychczasowej polityki, chwila najtrudniejszych, najbardziej ryzykownych wyborów. Choć wojna jest niewątpliwie ulubionym tematem kina, to wydaje się, że w tym wypadku zarówno twórcom, jak i publiczności idzie o coś więcej niż zwykle.

Brawa zrywają się po scenie sławnego przemówienia Churchilla wygłoszonego w Izbie Gmin 4 czerwca 1940 r., a więc dzień po zakończeniu rozpaczliwej ewakuacji spod Dunkierki. Kto w tej reakcji nie widzi niczego poza uznaniem dla wybitnego aktorstwa, ten rozumie doprawdy niewiele. Wystąpienie, które kinowa publiczność przyjmuje dziś z takim entuzjazmem, stanowi wszak jedną z najsławniejszych deklaracji brytyjskiego patriotyzmu. To właśnie wtedy Churchill powiedział: „Będziemy walczyć na plażach, na polach, na ulicach, będziemy walczyć na wzgórzach; nigdy się nie poddamy...". Oldman zagrał świetnie, ale brawa zebrał Churchill – a dokładniej to, co reprezentuje.

Jak wiemy, referendum w sprawie Brexitu nie zamknęło dyskusji o przyszłości Wielkiej Brytanii. Jej rdzeń niewątpliwie dotyczy tożsamości. Kultura towarzyszy takim rozterkom, pytając, kim jesteśmy, kim chcielibyśmy być.

W momentach kryzysów spoglądamy wstecz. Trudno odpowiedzieć, dokąd zmierzamy, jeśli najpierw nie ustalimy, skąd przyszliśmy . Tylko po co koncentrować się na klęskach? Dunkierka? Cierpiętnictwo miało być Polską specjalnością.

Żeby lepiej zrozumieć sens wracania do najciemniejszych godzin, musimy pamiętać, czego właściwie szukamy. A szukamy racji istnienia własnej formy życia. Klęska to moment, gdy pokusa porzucenia tożsamości jest zarazem najbardziej pociągająca i najlepiej uargumentowana. Dlatego właśnie tam trzeba szukać najmocniejszych racji. Kogo jak nie tych, co przegrali bitwę, pytać, dlaczego się nie poddali. Zwycięzcy rzadko zaprzątają sobie tym głowy. Przegrani owszem.

Stąd, jak sądzę, Dunkierka, stąd Churchill, który jest nie tylko jedną z najpopularniejszych postaci angielskiej historii, lecz i kimś, kto angielską tożsamość po prostu uosabia. A Churchill w 1940 r. to wymarzony adresat pytania o kwestie, które nurtują pobrexitową Anglię. Dlaczego mimo klęski i kosztów nadchodzącej wojny zarówno on, jak i ci, których reprezentował, uznali, że lepiej walczyć o 100 proc. zamiast układać się o 50 proc.?

I może dlatego w dobie obecnego kryzysu to w jego stylu, w jego błyskotliwości, dziwactwach, odwadze i patriotyzmie przegląda się dzisiejsza Anglia. Dlatego właśnie przegląda się w zainscenizowanym na trzech aktorów dylemacie: czy walczyć, czy wybrać drogę ustępstw? Przegląda się i pyta: „Czy jeszcze tacy jesteśmy? Czy tacy chcemy być? Czy warto było wywrócić stolik i odejść?". I trzeba powiedzieć, że odpowiedź, jakiej udzielają ci, którzy po mowie premiera biją brawo, raczej nie podoba się w redakcji „Guardiana" (która Churchilla woli pamiętać jako entuzjastę zjednoczenia Europy).

Na koniec dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, z pewnością nie wszyscy widzowie uczestniczą w owacji. Jednego dnia trochę więcej, innego trochę mniej niż połowa. Po drugie, historycznych analogii nie należy brać zbyt dosłownie. Zwłaszcza gdy mowa o filmach, a nie o grubo ciosanej publicystyce. Podbita przez Hitlera Europa nie jest Unią Europejską, lord Halifax eurokratą, a Chamberlain prototypem naiwnego euroentuzjasty. Nie chodzi o prostacką dosłowność, ale o analogię – o podobieństwa dylematów, emocji, pytań, problemów, wątpliwości. Dlatego kiedy filmowy Churchill powiada, że Anglicy nigdy nie zgodzą się, żeby nad Londynem powiewały obce flagi, to nie chodzi przecież o błękitną flagę Unii Europejskiej. Nie chodzi!

A zarazem jednak chodzi! I kto tego nie rozumie, ten trąba.

Dariusz Karłowicz

eprasa.pl 0e6beb08e8

Bądźmy ponad

KRZYSZTOF FEUSETTE

Łatwo się pisze taki tytuł, kiedy człowiek czmychnie na dwa tygodnie daleko od kraju. Z okien samolotu zawsze jest się „ponad", niestety, trudniej o to, pozostając na ziemi. A przecież wystarczy złapać dystans kilku godzin lotu, by groźny manipulator Gross stał się pociesznym, żałosno-śmiesznym biedakiem z jedną tylko cechą odróżniającą go od klauna z horrorów. To jego wielka, niespełniona nienawiść do Polaków i polskiej historii.

Tam, gdzie przebywam, Grossa, rzecz jasna, nie widuję, przeczytałem za to w Onecie ostatni wywiad z nieszczęśnikiem. Ileż w nim pogardy dla ludzi spod biało-czerwonej flagi, ile bredni ssanych z wygiętych w gniewie paluchów, ile frustracji i żalu, że tak niewielu znalazło się w Polsce frajerów, łykających jego teorie i „odkrycia" dokładnie tak samo jak kodziarze wyznania „amerykańskiego generała", który okazał się gwiazdą porno. Jak udaje się pomieścić w tak małej głowie i jeszcze mniejszym sercu tyle żółci? Spokojne państwa rozczochrane, jak mawiało się w latach, gdy pies z kulawą nogą o złamanym Grossie jeszcze nie słyszał.

W takich przypadkach nie liczą się głowa ani serce, ale portfelik. Portmonetka. Kabza. Sakiewka. Kieszenie. A tak naprawdę – konto, na które strumieniem jednostajnie przyspieszonym mogą przypłynąć dolary, euro, szekle, a pewnie i złote polskojęzyczne.

Skojarzenia biblijne z wizjerem w drzwiach nasuwają się same, zwłaszcza że całkiem niedawno, jak się dowiedziałem z internetu (bo niech mnie ręka boska broni, żebym w to szambo zaglądał osobiście), niejacy Obywatele RP wznieśli na Krakowskim Przedmieściu transparent „Kain" – w kierunku Jarosława Kaczyńskiego. Bydło ma swoje piękne karty w Biblii, wszak w żadnej w bożonarodzeniowej szopce nie może zabraknąć zwierząt hodowlanych, ale żeby ludzie zamieniali się w nie z własnej woli? Patrzcie – mówi nam dziś Front Jedności Przekazu z siedzibą przy Czerskiej róg Wiertniczej – ulica jest wściekła.

A na ulicy? Kilku, czasem kilkudziesięciu przesiąkniętych światopoglądem Ryszarda Cyby jednostek gotowych na każdą obrzydliwość, byle się pozbyć z Polski pisowców. To byłby dopiero prawdziwy „rok 1968", którym usta pełne Grossa wycierają sobie niektórzy redaktorzy z Czerskiej, gdyby do władzy miała powrócić Platforma Obywatelska wespół ze swoimi „ulicznikami". Hołubiony przez nich Bolech Wałęsa już zapowiadał, że będzie pisowców wyrzucał przez okna. Grzegorz Schetyna wespół z gwardią swoich Brutusów bez przerwy straszy jakimiś procesami, rozliczeniami, odwetem i burzeniem pomników. To kto tu jest w końcu „talibanem", panie „Zniszczę cię"?

W ślad za tą czystą, nieskażoną sumieniem, mentalną „bolszewią" podążają w podskokach pomniejsi karierowicze. Jak Wołodia Cimoszewicz, spróchniała deska ratunku dla postkomuny, polityk, któremu zabrakło odwagi, by stanąć w szranki z najlepszymi, za to wielki bohater w studiach TVN i puszczańskiej kniei (jakby mało tam było jeleni), i który dla dwóch minut rozgłosu pluje grossowym antypolonizmem na własnych rodaków. A Marcin Święcicki, przyznający: „Mordowaliśmy Żydów"? Kto konkretnie? Dlaczego medialna twarz Platformy sama siebie wpisuje w poczet szmalcowników i innych kanalii z czasów II wojny światowej? Czy to nowa mądrość etapu, skoro jeszcze niedawno europosłanka Róża Maria Barbara von Fruwa Twoja Marynara – czy jakoś podobnie – zapłonęła śmiesznym gniewem za porównanie jej do szmalcowników właśnie? A dziś Święcicki przyznaje: „Mordowaliśmy". Powtórzę – z kim i kogo?

No, chyba że „mordowanie" jest tu tylko pewną metaforą. Wtedy można się zgodzić. W końcu w ramach „antysemityzmu" dobiliśmy np. artystyczny wizerunek Agnieszki Holland, zgłaszając jej ostatni gniot do Oscara. Pokot był, ale padli nim raczej członkowie Amerykańskiej Akademii Filmowej.

Małe to wszystko. I tak naprawdę, nie trzeba nawet wsiadać do samolotu, by dostrzec, jak bardzo. Z drugiej strony – czy mamy się zamartwiać, że ludzie o ego wielkości dworu Chobielin wraz z przyległościami, jak były mistrz dyplomacji we dworze oraz chamstwa na salonach, Radosław „Radek" Sikorski skurczył się do rozmiarów okrucha z pańskiego stołu, wyzywając dziennikarki od „burych suk"? Przypomnę – tego właśnie człowieka PO pod wodzą Donalda Tuska widziała jako jednego z dwóch najlepszych kandydatów na urząd prezydenta RP. „Wujek" Bronek, jaki był, taki był, i jak skończył w polityce, tak skończył, ale jednak obrażał wyłącznie żony prezydentów USA, które „lepiej pilnować", Dunki („kaszaloty") oraz członkinie kół gospodyń wiejskich („kiedy tyle pań dookoła, o czym innym myślę zgoła, he, he"). Było to jednak rzucane, jak prawie zawsze u „wujka" Bronka, w tzw. formule żartobliwej. A Sikorski nie żartuje. Naprawdę uważa, że można jedną ręką walczyć z mową nienawiści, a drugą rozsiewać jej zarazki.

Biedna ta jego żona – pani Applebaum, nie ma co. Biedna, oczywiście, w sensie metaforycznym, bo plucie na Polskę to przecież zajęcie świetnie płatne. Gross do grosza, a będzie kokosza. To są dopiero złote żniwa, ale cóż poradzimy? Bądźmy ponad.

eprasa.pl 0e6beb08e8

TRENDY I OWĘDY

Zw-Idy marcowe

Grupa rekonstrukcyjna szykuje obchody Marca '68

Ryszard Makowski

Rocznica Marca '68 idealnie się nadaje dla wszelkiej maści mącicieli działających tu na zlecenie lub z własnego nieprzymuszonego idiotyzmu do podgrzania emocji. Marzec '68 kojarzy się z szykanowaniem studentów i zmuszeniem do emigracji ok. 20 tys. osób żydowskiego pochodzenia. Czy może być większy samograj niż ten przykład „polskiego antysemityzmu"? I taki drobiazg, że Polska była wtedy pod okupacją sowiecką i wytyczne słała Moskwa, nie będzie bez sensu uwypuklany. Gomułka i Gierek (tak, tak, on też organizował nagonkę) to przecież Polacy.

Marzec '68 był zaplanowaną prowokacją. W styczniu Alexander Dubček został I sekretarzem KC KPCZ i rozkwitła praska wiosna. Nie można było dopuścić do jednoczesnego reformowania socjalizmu i w Polsce, i w Czechosłowacji. Polakom w trybie ekspresowym należało wybić z głowy hasło: „Polska czeka na swojego Dubčeka". Podburzono studentów, zdejmując „Dziady" w Teatrze Narodowym, bo robotników jeszcze wtedy nie wypadało pałować.

Dzisiaj też się szykuje próba „zagrania marcem". Można by ją ironicznie opisać, ale cały czas trzeba uważać niezmiernie, by nie urazić. Bo wiadomo, bardziej do urażania nadajemy się my, Polacy. W III RP nie udało się złapać symetrii w opisywaniu relacji polsko-żydowskich. Z pewnością w ramach rekonstrukcji warto przywołać hasło marca: „Nie ma kultury bez cenzury!". Obecnie cenzura nazywa się poprawnością polityczną. A to może powodować zw-Idy marcowe.

KORSUN *chili* KORSUN

Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock

Paweł Korsun

Przez 100 lat, które minęły od odrodzenia Polski, świat się bardzo zmienił. Stalowe ptaki nie budzą już sensacji, w aptece kupuje się aspirynę, a nie heroinę, a listy z Polski do USA nie lądują już na dnie Atlantyku, co najwyżej w spamie agencji. I tu docieramy do czegoś, co przez wiek się jednak nie zmieniło. To „New York Times" i metody oczerniania odbudowującej swoją podmiotowość RP. Aha, i tło antypolskiej propagandy po 100 latach jest to samo.

W 1917 r., w jednym ze styczniowych wydań „NYT", ws. Żydów na terenach okupowanych, czytamy o „najsurowszych" Niemcach i dobrych Polakach. Gdy pod koniec 1918 r. Polska, choć wojuje, jest już niepodległa, dobry niemiecki korespondent oskarża złych Polaków o śmierć ponad 1 tys. Żydów we Lwowie, inni piszą nawet o 3 tys. ofiar. Autor artykułu (z kwietnia 1918 r.) umieszcza nas w jednym zdaniu ze sprawcami rzezi Ormian (tak jak dziś z twórcami Holokaustu). „Pogrom" staje się w 1918 r. słowem roku „NYT" i synonimem Polski, Woodrow Wilson wysyła do nas komisję Morgenthaua, a królowa Anglii – sir Stuarta Samuela. Powstaje pięć raportów, tylko jeden trafia do obiegu, i to w okrojonej wersji.

Z dokumentów wynika m.in., że wg samej diaspory we Lwowie zginęło 76 Żydów, a w sumie ok. 300, w tym wielu przypadkowo, w działaniach wojennych (Polaków nikt nie liczy); że „pogromem" określa się nawet utarczki słowne; że mimo iż polska administracja jest w powijakach, Żydzi mają nieporównywalnie lepiej z Polakami niż sąsiadami. I tak zostało. Szalom.

eprasa.pl 0e6beb08e8

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ustawa reprywatyzacyjna!

Czy święte prawo własności winno obowiązywać bez względu na historię i wszelkie okoliczności, które zmieniają porządek rzeczy? Normy prawne mają swoje ograniczone życie, nawet najpoważniejsze przestępstwa ulegają przedawnieniu i tylko własność w raz uznanym kształcie ma trwać po kres dni? Czy potomkowie tych, którzy z nadania władcy uzyskali ziemie Europy, a których praw nikt nigdy nie odwołał, mogą dopominać się dziś o ich zwrot?

Piszę to nie po to, aby zakwestionować prawo do reprywatyzacji, gdyż felieton ten jest wezwaniem do jak najszybszego jej przeprowadzenia, ale aby zrelatywizować nieco wyobrażenie o świętym i niezmiennym prawie własności. Wszelkiego typu podatki spadkowe wskazują, że przekonanie takie dawno odeszło już do lamusa. Można wprawdzie zżymać się na nie jako na przykład współczesnej barbaryzacji obyczajów, ale uznanie bezwzględnego prawa dziedziczenia za fundament sprawiedliwości wydaje się trudne do obrony. W rzeczywistości zresztą nigdy ono w tym kształcie nie obowiązywało.

Niemniej jakaś forma zwrotu dawnej, zarekwirowanej przez komunistów własności powinna była nastąpić. Polska jest chyba jedynym krajem byłych demoludów, który prawnie tego nie uregulował. Powinno było to nastąpić nie tylko ze względu na choćby symboliczne przywrócenie fundamentalnych zasad, lecz ze względów pragmatycznych, które o sprawie winny przesądzać.

Szybka reprywatyzacja bezpośrednio po upadku komunizmu zmieniłaby strukturę własności w Polsce, a więc oddziałałaby na stan społeczeństwa. Naprzeciw uwłaszczających się na komunistycznym państwie dziedziców nomenklatury wyrosłaby grupa spadkobierców dawniejszych klas posiadających, co wprowadzić mogłoby do polskiego życia elementy pluralizmu. Nieprzypadkowo Aleksander Kwaśniewski zawetował przygotowaną przez AWS ustawę reprywatyzacyjną, która ograniczyłaby biznesowe możliwości jego towarzyszy.

Ale podstawowym argumentem, który świadczy za nią, jest to, że wbrew przeciwnikom jej brak kosztuje nas więcej niż reprywatyzacyjne odszkodowania. Pisałem o tym wiele lat temu również po wecie Kwaśniewskiego. Dziś jednak sytuacja zaczyna coraz bardziej naglić. Ponad dwa lata temu nastąpiła dość wyraźna zmiana orzecznictwa polskich sądów w tej sprawie. Wcześniej zgodnie z niezawisłością sędziowską w wydaniu III RP, która oznaczała absolutną dowolność, w identycznych sprawach jedni sędziowie nakazywali zwrot mienia niekiedy wraz z odszkodowaniem dla byłych właścicieli, a inni odsyłali ich z kwitkiem. Jakoś tak się stało, że niedługo po dojściu do władzy PiS sędziowie zaczęli masowo przyznawać rację domagającym się zwrotu własności bez specjalnej dbałości o uzasadnienia ich praw. Naturalnie, dopatrywanie się w tym politycznych motywów byłoby skandalicznym pomówieniem i teorią spiskową.

Wszystko to kosztuje państwo, a więc nas wszystkich. Dzięki działaniu komisji weryfikacyjnej możemy obserwować wyczyny grasujących w Warszawie cwaniaków, którym sędziowie byli zdumiewająco przychylni. Nie była to jednak wyłącznie specyfika stolicy. Ten stan rzeczy wzbudził zainteresowanie aferzystów na międzynarodową skalę.

W USA grupa zgromadzona w nowojorskim Światowym Kongresie Żydowskim domaga się zwrotu całości pożydowskiego mienia, również tego, co do którego nie pozostali żadni spadkobiercy. To kuriozalne żądanie odwołuje się wyłącznie do rasistowskich kryteriów. Roszczący sobie prawa do mienia pomordowanych Żydów odwołują się wyłącznie do krwi. Nie zajmują się tym, że dawni właściciele majątków byli obywatelami polskimi. Ci, którzy oficjalnie uznają rasizm za najgorszą możliwą postawę, posługują się nim w skrajnej formie, aby położyć rękę na majątkach pomordowanych. Wydaje się, że zachowanie to komentuje się samo.

Uchwalenie ustawy reprywatyzacyjnej uciąłoby szanse na realizację takich planów. Nie chodzi zresztą wyłącznie o mienie pożydowskie. Komuniści nie przejmowali się specjalnie prawną stroną swoich aktów wywłaszczenia. Łatwo je podważyć, tyle że przez ponad 70 lat na odbudowę i trwanie tego mienia pracowało wielu innych Polaków. Ustawa reprywatyzacyjna powinna przeciąć ten węzeł gordyjski.

Fot. Andrzej Wiktor

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Strach Bufetowej

Jan Pietrzak

Pani zwana Bufetową, będąca prezydentem stolicy, bardzo stanowczo odmawia przyznania działki pod pomniki ofiar tragedii smoleńskiej i prezydenta Lecha Kaczyńskiego. To o tyle dziwne, że dysponując setkami czy tysiącami działek, przez lata zarządzania miastem, bez większego namysłu oddawała, sprzedawała, przydzielała je podejrzanym indywiduom, a nawet, wyjątkowo, uczciwym ludziom. Można powiedzieć, że kuglowanie warszawskimi gruntami to główna pasja tej pani, poza jednym wyjątkiem...

Od ośmiu lat z uporem, z zawziętym szaleństwem, odmawia niewielkiej przestrzeni dla niezbędnych pomników. Wygłasza przy tym niemądre uwagi, plecie androny, udaje troskę o estetykę, walory widokowe itp.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem w Polsce niespotykanym – z nienawiścią do ofiar. Od kwietnia 2010 r. trwa nagonka na prawie stu poległych w Rosji Polaków, jakby śmiercią swą zawinili ówczesnej władzy, jakby celowo zrobili coś złego koalicji PO-PSL. Przypomnijmy, że poprzedni prezydent, Komorowski, ogłosił radośnie trzy dni po dramacie, że państwo polskie zdało egzamin, a po następnych paru dniach kazał przegonić spod pałacu ludzi składających kwiaty. Premier Tusk scedował na władze rosyjskie wyjaśnienie przyczyn nieszczęścia, zrzekł się polskiej suwerenności nad śledztwem. Mając do dyspozycji antypolskie media i wyćwiczonych w kłamstwie propagandystów, od ośmiu lat prowadzą oni kampanię upokarzania i lekceważenia smoleńskich ofiar.

W imię czego odmawiają prawa do upamiętnienia nieżyjących prezydentów, ministrów, generałów, biskupów, posłów, senatorów... ze wszystkich opcji politycznych? Co za siła tajemna powoduje totalną blokadę w tej sprawie? Wygląda na to, że strach! Nie ten przyziemny, banalny, lecz monstrualny, iście szekspirowski strach Makbeta, kiedy zauważył, że las Birnam zbliża się nieubłaganie do murów jego zamku. Mają się czego bać złoczyńcy. Spisane są czyny i rozmowy. A pomniki staną, bo muszą!

Z ogromnym bólem i poczuciem niepowetowanej straty żegnamy wybitnego reżysera i wspaniałego człowieka

ANTONIEGO KRAUZE

Laureata Nagrody im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w roku 2017

Wyrazy najgłębszego współczucia składamy żonie Joannie, bratu Andrzejowi i całej Rodzinie

Fundacja Kongresu Polska Wielki Projekt i Kapituła Nagrody im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego

Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o odejściu

ANTONIEGO KRAUZE

reżysera i scenarzysty, wybitnego i wszechstronnego artysty kina

Jako autor filmów fabularnych, dokumentalnych i krótkometrażowych był wnikliwym obserwatorem polskiego życia społecznego.

Obdarzony szczególną wrażliwością moralną i literacką, odważnie podejmował trudne tematy historyczne i współczesne.

W pamięci widzów trwale zapisał się niepowtarzalny styl jego obrazów, gorzko i ironicznie ukazujących realia czasów komunizmu i głęboko krytycznych wobec zaniechań minionego ćwierćwiecza.

Do końca pozostał wierny prawdzie i wartościom, które przyświecały wielkiemu ruchowi „Solidarności".

Rodzinie, bliskim i przyjaciołom Zmarłego składam wyrazy głębokiego współczucia.

Andrzej Duda
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

22/0218/F

eprasa.pl 0e6beb08e8

OGNIEM NA WPROST

Władek i państwo prawa

Rosyjski dziennik „Kommiersant" oficjalnie poinformował, że stacjonująca w obwodzie kaliningradzkim 152. brygada rakietowa zostanie już wkrótce wyposażana w nowe zestawy rakiet średniego zasięgu Iskander-M. Wejdą one do służby na początku 2018 r. Iskandery mają zastąpić przestarzałe zestawy 9K79 Toczka. Tak więc mamy na naszej granicy trudne do zestrzelenia rakiety mogące przenosić nawet głowice jądrowe. W ich zasięgu jest praktycznie całe terytorium RP. Jedynym batem na iskandery-M mogą być tylko amerykańskie zestawy Patriot, i to najnowszej generacji. Kreml, jak widać, stara się trzymać NATO, a przede wszystkim nasz kraj, w poważnym napięciu. Nie chcąc się poddawać presji oraz by zapewnić sobie spokojny sen, musimy sięgnąć głęboko do kieszeni i wysupłać te 40 mld zł, które chcą Amerykanie za patrioty. Od siebie dodałbym: im szybciej, tym lepiej.

Dał o sobie znać zestaw egzotyczny w składzie dwóch bohaterów narodowych walki o wolność i demokrację. Lech Wałęsa „Bolek" z Gdańska i Władysław Frasyniuk (do 1989 r. nie współpracował z komunistami) z Wrocławia. Tych dwóch herosów III RP znowu zaczęło razem pracować przy okazji robienia z siebie męczennika reżimu kaczystowskiego przez Frasyniuka. Kiedy łamiącego prawo Frasyniuka policja doprowadziła siłą na przesłuchanie, głowę znad akt sprawy „Bolka" podniósł Wałęsa. „Władku, trzymaj się, jestem z Tobą. Spróbuję przyjść po Ciebie, jeśli to się będzie przedłużało. [...] Musimy znaleźć pałę na tego karakana" – zareagował z wrodzoną gracją na Twitterze były elektryk ze stoczni, obecnie noblista. Nie byłby sobą, gdyby nie dodał, zwracając się bezpośrednio do prezesa PiS: „Wypuść mi Władka, bo nie ręczę za siebie. Kota se zamknij, a nie Solidarność". Szczerze mówiąc, zupełnie nie rozumiem tych okrągłostołowych bohaterów. Jeden struga bohatera, nie wychodząc zza wysokiego płotu swojej willi przy ulicy Polanki i marząc o milionie Polaków, który w końcu wyrzuci rządzących przez okno. A drugi dostał zarzuty za pospolite przestępstwo czy też wykroczenie. Jak powiedział Paweł Kukiz i miał rację: „Frasyniuk walczył o państwo prawa, to je ma".

Prof. Dariusz Stola, dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich, w rozmowie z portalem Gazeta.pl wyraził swoje zdanie na temat polsko-izraelskiego sporu o ustawę IPN. Stwierdził co prawda, że nie we wszystkim się zgadza z Janem Tomaszem Grossem, ale szanuje go, ponieważ „to jest poważny badacz". Pan dyrektor po skomplementowaniu pseudonaukowca znanego z antypolskich występów przechodzi gładko do przepowiadania przyszłości. Jego zdaniem wprowadzenie w życie ustawy o IPN spowoduje upadek prac nad Holokaustem, bo naukowcy, którzy będą prowadzić takie badania, przestraszą się tego, że „pan Świrski może to zgłosić do prokuratora, a ten, dla pewności, żeby minister Ziobro nie zarzucił mu bezczynności, postawi mu zarzuty". Zagraniczne uniwersytety nie będą również wysyłały do Polski swoich doktorantów, aby ich nie narażać na nieprzyjemności prawne, kiedy użyją w swoich pracach „niewłaściwego zwrotu". W wypowiedzi prof. Stoli zbrakło jedynie stwierdzenia, że to Polacy razem z nazistami budowali obozy zagłady.

W Syrii wspierane przez Amerykanów Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF) schwytały ostatnich dwóch dżihadystów należących do wyjątkowo krwawej i brutalnej komórki Państwa Islamskiego zwanej The Beatles. Nazwę tę wymyślili ich zakładnicy ze względu na silny brytyjski akcent, którym posługiwali się pochodzący z Anglii islamiści. Są to Alexanda Kotey, El Shafee Elsheikh. Pozostałych dwóch: Aine Davis i Mohammed „Jihadi John" Emwazi, unieszkodliwiono wcześniej. Aine Davis odsiaduje karę w tureckim więzieniu, a „Jihadi John" znany z filmu, na którym obcina głowę pojmanemu zakładnikowi, zginął dwa lata temu w bombardowaniu. Cała czwórka wychowała się i poznała w zachodnim Londynie. Wszystko wskazuje na to, że przed wyjazdem na dżihad do Syrii prowadzili normalne życie. Zradykalizowali się w stosunkowo szybkim czasie pod wpływem nauczających w Londynie imamów. Byli najbardziej poszukiwaną czwórką terrorystów na terenie Państwa Islamskiego. Mordowali bez pardonu, głównie dekapitując ofiary. Choć nosili nazwę zespołu, który pacyfizm cenił ponad wszystko, to ich mottem nie były słowa znanego przeboju „All we need is love".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0e6beb08e8

Jest z kogo brać przykład

Marta Kaczyńska

Od 1 stycznia 2018 r. torby na zakupy z tworzywa sztucznego nie mogą być już oferowane za darmo w punktach sprzedaży. Za ich otrzymanie klienci obowiązani są uiścić należność, w której zawiera się tzw. opłata recyklingowa. Nieprzyzwyczajeni do używania toreb wielorazowych przy okazji nawet niewielkich zakupów jesteśmy zmuszeni do dodatkowych wydatków, które prędzej czy później zmotywują nas do zmiany nawyków i bardziej proekologicznej postawy. Finalnie w naszym środowisku znacznie się zmniejszy ilość groźnych dla środowiska odpadów.

Obecnie Ministerstwo Środowiska analizuje konsekwencje wdrożenia systemu kaucyjnego, który miałby obejmować producentów towarów pakowanych w butelki PET, puszki lub szkło. W ramach przygotowań do wprowadzenia do polskiego prawa tzw. pakietu odpadowego szczególną uwagę poświęca się możliwościom zwiększenia ilości tych odpadów zbieranych bezpośrednio z gospodarstw domowych.

Wprowadzenie dodatkowej opłaty wydaje się pożądane zwłaszcza w odniesieniu do butelek plastikowych. Zasadniczo są one uznawane za nieszkodliwe dla zdrowia. Jednak z publikowanych w prasie wyników badań można się dowiedzieć, że zawierają w sobie substancje, których uaktywnienie następuje m.in. na skutek wysokiej temperatury i których działanie jest dla nas niebezpieczne. W wodzie przechowywanej w butelkach wykonanych z PET wykryto bisfenol A, stanowiący formę syntetycznego estrogenu – ksenoestrogenu. W organizmie człowieka wskazana substancja może się łączyć z receptorami odpowiedzialnymi za wiązanie naturalnego estrogenu i zaburzać jego działanie. Wskazane wydaje się zatem wprowadzenie takich regulacji, które będą sprzyjać powrotowi do szklanych butelek, zwłaszcza w odniesieniu do wszechobecnej w sklepach wody i innych napojów.

System kaucyjny funkcjonuje w zaledwie dziesięciu państwach europejskich. Bywa krytykowany za wysokie koszty jego utrzymania. Długofalowo jednak jego wdrożenie z pewnością zaprocentuje mniejszym zanieczyszczeniem środowiska i lepszym stanem zdrowia konsumentów. W ostatnich tygodniach za ograniczeniem zużycia plastiku kategorycznie opowiedziała się królowa Elżbieta II, wprowadzając zakaz używania plastikowych butelek oraz słomek na terenie posiadłości należących do rodziny królewskiej. Jest więc z kogo brać przykład.

W dniu 14 lutego 2018 odszedł do Pana

ANTONI KRAUZE

reżyser

Wybitnego i niepokornego twórcę
Człowieka chorego Polskę
żegna
i poleca Bogu
z nadzieją na życie wieczne

Fundacja Smoleńsk 2010
Paweł Nowacki
Bronisław Wildstein

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ANTONIEGO KRAUZE

Wybitnego reżysera i scenarzysty, cenionego m.in. za adaptację prozy polskich pisarzy współczesnych i realizację dokumentów.
Na kinowym ekranie debiutował w 1972 r. obrazem „Palec boży".
Rozgłos przyniosły mu filmy telewizyjne „Monidło" i „Meta".
Zrealizował filmy będące rekonstrukcją tragicznych wydarzeń najnowszej historii Polski – „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł" i „Smoleńsk".
Jego twórczość była doceniana przez widzów i jurorów.
Otrzymał nagrodę specjalną jury na 8. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku i na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Autorskich w San Remo (1988).
Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, nagrodą im. Lecha Kaczyńskiego i Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".
Będzie brakowało Jego profesjonalizmu, skromności i artystycznej wrażliwości.

Rodzinie i Bliskim

Wyrazy szczerego współczucia składają
Zarząd i Rada Nadzorcza TVP S.A.

23/0218/F

eprasa.pl 0e6beb08e8

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Reklama życia

Jedna z firm produkujących m.in. spożywcze produkty dla dzieci postanowiła, że w nowej kampanii reklamowej twarzą jej wyrobów będzie chłopczyk z zespołem Downa. Wybrano 18-miesięcznego Amerykanina, Lucasa Warrena. Chłopczyk w organizowanym od 91 lat konkursie pokonał 140 tys. konkurentów i jest pierwszym dzieckiem z trisomią, które będzie promowało żywność tej znanej marki. Oby reklamę firmy zdecydowały się pokazać Islandia, gdzie z powodu aborcji od sześciu lat nie urodziło się żadne dziecko z tą przypadłością, i Dania, gdzie na świat przychodzi tylko 2 proc. spośród dzieci z podejrzeniem trisomii 21. Reklamy z Lucasem w roli głównej bardziej niż promocją firmy będą po prostu promocją życia.

3 proc.

o tyle spadła sprzedaż piwa w Polsce w 2017 r. w stosunku rok do roku. Powód? Złe warunki pogodowe oraz brak dużych wydarzeń sportowych. To może z Polakami nie jest jeszcze tak źle?

100 mln zł

takiej kwoty mogły sięgnąć straty skarbu państwa z powodu niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień przez byłych urzędników MSP w związku z prywatyzacją Ciechu w 2014 r.

1 453

tyle przestępstw na tle antysemickim odnotowano w Niemczech w 2017 r. Tak wynika z raportu policyjnego opublikowanego przez dziennik „Tagesspiegel". Dziennie są to więc cztery tego typu zdarzenia.

Żartowniś z wyboru

Justin Trudeau, premier Kanady, poprawił kobietę, która zadając pytanie podczas konferencji, użyła słowa „mankind" (ang. ludzkość, rodzaj ludzki). Według Trudeau lepiej używać „niewykluczającego" „peoplekind". Za ten żarcik premiera Kanady skrytykowali wszyscy – zarówno jego zwolennicy, jak i przeciwnicy. „To wydawało mi się dobre w danym kontekście. Poza kontekstem już nie jest takie dobre i przypomina mi to, że nie powinienem żartować, nawet gdy myślę, że myślę, iż coś jest zabawne" – tłumaczył się premier Kanady. Choć to polityk nie z mojej bajki, to nasi politycy mogliby się od niego uczyć samokrytyki. Czasem warto umieć powiedzieć „Przepraszam".

Bermudy, które zalegalizowały małżeństwa jednopłciowe, zdecydowały się właśnie na uchylenie tego prawa. Choć Sąd Najwyższy po raz kolejny ogłosił, że małżeństwa osób tej samej płci są dozwolone, to gubernator Bermudów podpisał ustawę, która zmienia wprowadzone prawo. W 2016 r. Bermudczycy sprzeciwili się uznaniu związków homoseksualnych za małżeńskie w referendum. Mimo jednoznacznego wyniku głosowania Sąd Najwyższy podjął decyzję o ich legalizacji. Można więc powiedzieć, że suweren na Bermudach odzyskał swoją suwerenność. Przynajmniej na chwilę.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Standardy

18-letnia Sandra ze Zgorzelca została napadnięta podczas wizyty w pobliskim Görlitz. Dziewczyna twierdzi, że napastnikiem, który rzucił się na nią z nożem i kopnął ją w klatkę piersiową, był uchodźca. Z powodu tego ostatniego słowa Facebook zablokował profil Sandry na 24 godziny, tłumacząc decyzję tym, że nie zgadza się na publikowanie rasistowskich treści. Portal społecznościowy, tropiąc rasistów, dyskryminuje napadane kobiety. To te słynne już standardy Facebooka.

Wszystkie pomniki Kaczyńskich, idę o zakład, będą kiedyś zdjęte z różnych powodów" – **stwierdził Lech Wałęsa, który od lat uparcie dokonuje dewałęsyzacji własnej legendy.**

Pomarańczowa wojna

180 osób odniosło obrażenia podczas karnawałowej bitwy na pomarańcze w mieście Ivrea we włoskim Piemoncie. Przybyło na nią 42 tys. turystów z Włoch i z zagranicy. Uczestnicy bitwy w specjalnych kaskach i ochraniaczach obrzucali się cytrusami, stojąc na wozach. Niektórzy z nich prowadzili pojedynki jako „piechurzy". Spośród 180 rannych i kontuzjowanych cztery osoby trafiły na pogotowie, a pozostałym udzielono pomocy w punktach medycznych w rejonie pola bitwy. Pomarańczowe batalie organizowane są w trzy ostatnie dni karnawału, a ich tradycja sięga średniowiecza. I jakoś w tym przypadku nikomu nie przeszkadza, że Włosi tkwią mentalnie w tej epoce.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Hohenstein z Pcimia

Dominik Zdort

Ryszarda Czarneckiego pamiętam z czasów, gdy byłem sejmowym reporterem, jako człowieka nadzwyczaj umiarkowanego w poglądach i sympatycznego. Choć zdawał sobie sprawę, że jego działania jako prezesa ZChN niekoniecznie przypadały mi do gustu, zawsze był gotów na rozmowę i wyjaśnianie swoich racji. Dlatego do dziś gotów jestem wiele mu wybaczyć.

Nie podobało mi się jednak, gdy były już wiceprzewodniczący PE mówił o swojej antagonistce z PO per Róża Gräfin von Thun und Hohenstein. To prawda – tak brzmi pełne nazwisko tej pani, choć ona sama obecnie używa mniej pretensjonalnej krótkiej formy Róża Thun. Skąd to nazwisko? Po prostu europosłanka jest żoną austriacko-czeskiego hrabiego.

Tyle że Ryszard Czarnecki – a także inni nieprzychylni pani Thun politycy – używają pełnej wersji jej nazwiska nie po to, aby ją dowartościować tytułem hrabiowskim, ale aby ją zohydzić. Wychodzą ze słusznego skądinąd przekonania, że w Polsce arystokratyczne, a w dodatku niemiecko brzmiące nazwisko wywoła niechęć i zawiść. Będzie się kojarzyć z wyniosłością i zarozumialstwem, a jednocześnie Niemcami, zaborami, okupacją.

Ale jest i druga strona medalu. Widać to na przykładzie nowego prezesa Orlenu. Przez wiele ostatnich dni zarówno politycy opozycji, jak i media związane z partiami zwalczającymi obecny rząd, gdy jest mowa o Danielu Obajtku, zawsze dodają: „Były burmistrz Pcimia". I znów: to mógłby być komplement – wszak od lat ci sami ludzie nam tłumaczyli, że działalność samorządowa to idealna podstawa do zajmowania wyższych funkcji państwowych.

Tyle tylko, że dziś nie chodzi o to, aby pokazać, że nowy szef giganta paliwowego to człowiek, który przeszedł odpowiednie szczeble kariery (był samorządowcem, prezesem Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa i prezesem grupy energetycznej Energa SA), ale o to, aby człowieka zdyskredytować w oczach wyborców. Pcim to w języku polskim synonim zapadłej prowincji, miejscowości, gdzie wrony zawracają. Coś, co dzieje się w Pcimiu (czasem – w Pcimiu Dolnym) nie jest warte uwagi, a burmistrz Pcimia to już musi być postacią wyjątkowo marną...

Celem jest – rzecz jasna – przypisanie przeciwnikom buraczanej prowincjonalności. Jest w tym wiele pogardy, a gdzieś w tle pobrzmiewa: my jesteśmy z tych europejskich Hohensteinów, a wy to ta wiocha z Pcimia.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 0e6beb08e8

RZECZY POSPOLITE

Anno Domini

Tomasz Łysiak

Co pewien czas podszczypywany jestem ze strony moich różnych znajomych, którzy wiedzą, że jestem „katol" i „prawak". Wielu z nich przyzwyczaiło się do tego, że żegnam się i modlę przed posiłkiem albo czynię znak krzyża, mijając kościół. Robię tak nie dlatego, aby epatować wiarą, lecz z potrzeby życia nią na co dzień, a także przez wzgląd na dawne, polskie obyczaje. Uważam owe religijne, drobne czasem tradycje za bardzo cenne. Mam szczególny szacunek do tej prostej, wiejskiej, tak często teraz wyśmiewanej religijności – w której jest zawsze miejsce na zdjęcie czapki przed kościołem czy zrobienie znaku krzyża, gdy jedzie się koło cmentarza. W każdym z prostych aktów strzelistych najpiękniejsze jest to, że czynione są bezwiednie, mechanicznie: tak jak robił to pradziad, dziad i ojciec.

No, przyznam, iż czasem mogą one przybrać zaskakujące formy – oto jedna moja koleżanka z małego miasta opowiedziała mi ze śmiechem, że gdy w pierwszych miesiącach pobytu w stolicy jechała Marszałkowską do pracy, to odruchowo żegnała się na wysokości Pałacu Kultury i Nauki. Nie przyglądała się dokładnie, widziała tylko kształt wysokiej bryły i bezwiednie wykonywała znak krzyża. Ale ja się nie dziwię. Zdaje mi się, że kierował nią inny odruch. W końcu Pałac im. Stalina to miejsce o diabelskiej proweniencji, sądzę więc, że to raczej chrześcijańska intuicja kazała jej odżegnywać się od zła.

Co ciekawe, ci, którzy czasem delikatnie się uśmiechają, widząc we mnie objawy dewocji w gestach i w modlitwie, a nawet ci, którzy odżegnują się od wiary albo nawet mówią, że są ateistami, celebrują niektóre zwyczaje, które w bezpośredni sposób wiążą się z katolickim rokiem liturgicznym. Stawiają w domach choinkę i obdarowują się prezentami. Na święta wielkanocne potrafią kupić kurczaczka, zajączka i przystrajać dom. Szaleją na koniec karnawału w zabawach i objadają się pączkiem w tłusty czwartek. Aż dziw, że nie przychodzi im na myśl, że bez Wielkiego Postu nie byłoby tłustego czwartku. I że Zmartwychwstanie Chrystusa i tak jest wpisane w kulturę, w której żyją. Także w roku 2018 od Narodzenia Chrystusa.

Czyste i przejrzyste

Piotr Cywiński

Sprawa jest dęta". Co prawda Izabela Leszczyna skwitowała tymi słowy zapuszkowanie sześciu osób zamieszanych w aferę ze sprzedażą Ciechu, ale jej opinię można rozszerzyć na cały okres rządów Prawa i Sprawiedliwości, które prześladuje, ściga, posądza oraz odsądza od czci i wiary Platformę Obywatelską. Bo, jak uzasadniła Leszczyna, prokuratura potrzebowała aż dwa i pół roku, żeby te osoby zakuć w kajdanki. Odkąd rządzi PiS, nic tylko wywlekanie afer, starych nagrań i stawianie zarzutów wyssanych z palca przez tego, za przeproszeniem, Ziobrę. Ten „musiał mieć najpierw sądy partyjne w rękach", gdyż „bał się, że jak sprawa Ciechu pójdzie do normalnego sądu, niezależnego, niezawisłego, to okaże się, że jest dęta" właśnie.

Pani Leszczyna ma rację w 100 procentach. Gdyby nadal rządziła PO, żadnych strat ani afer by nie było, „normalne, niezależne, niezwisłe sądy" by o to zadbały.

A teraz nawet byłych ministrów i posłów, i senatorów się czepiają, żadnego szacunku dla dorobku. Jak żyć, no jak żyć?! Biednemu wiatr w oczy. Ani na ulicę, ani na zagranicę nie można już liczyć. Ledwo udało się utrącić pisowskiego wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego, który napadł na platformianą europosłankę patriotkę Różę wielu nazwisk, sławiącą imię naszego kraju, a tu masz – podobno niemieccy chadecy zamierzają poprzeć kandydaturę kolejnego oszołoma od kaczystów na to stanowisko. Krasnodębski się nazywa, Zdzisław, profesor. Świńska rura nie profesor, jak on nadawał na przyjaciół Niemców, a te głupki chcą mu teraz pomóc w zajęciu miejsca po Czarneckim Ryszardzie. Zwariować idzie! Może da się to w Brukseli odkręcić, jest jeszcze trochę czasu. Głupio by było, gdyby ci z CDU zagłosowali za, a bratnia PO przeciw, w końcu są w jednej frakcji.

Ani chwili wytchnienia dla gabinetu z cienia. I jeszcze ta autostrada. Jan Kulczyk nie żyje od dwóch i pół roku, a ci od Ziobry znów coś wdrażają. Przecież to wszystko było czyste i przejrzyste, co zaś było lipą, to od początku wiedział sam były premier, a nawet jego syn. Jak w tym kawale: Sędzia do oskarżonego: – Czy przyznaje się pan do winy? – Nie, wysoki sądzie. Mój obrońca i zeznania świadków przekonały mnie, że jestem niewinny...

eprasa.pl 0e6beb08e8

Wesprzyj budowę Pomników

Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. prowadzi zbiórkę publiczną na pokrycie kosztów związanych z powstaniem monumentów.

W skład komitetu wchodzą m.in. prezes PiS Jarosław Kaczyński, bliscy i krewni ofiar tragedii smoleńskiej, premier, wicepremierzy, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz wiele znanych i cenionych postaci życia publicznego.

Serdecznie zachęcamy naszych Czytelników do finansowego wsparcia tej inicjatywy, której celem jest godne upamiętnienie w sercu Warszawy śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i osób, które towarzyszyły mu w tragicznym locie do Smoleńska.

Poniżej prezentujemy wzór przelewu, za pomocą którego można przekazać pieniądze Społecznemu Komitetowi. Pieniądze można też przelać na podane niżej konto.

Z góry dziękujemy, ***Redakcja tygodnika „Sieci”***

DOWÓD/POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

odbiorca:
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:
DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

stempel dzienny

opłata:

nazwa odbiorcy
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP

nazwa odbiorcy cd.
LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

waluta
W P P L N

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy c.d.

tytułem
DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA

tytułem cd.
KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

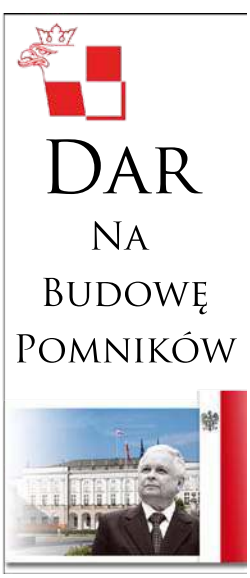

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ŻELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL, PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 120 870 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK.
CHARAKTERYZACJA I STYLIZACJA: KLAUDYNA PABUDZIŃSKA-KOSSEK.
PODZIĘKOWANIA DLA TEATRU WIELKIEGO-OPERY NARODOWEJ W WARSZAWIE ZA UŻYCZENIE KOSTIUMU, ORAZ DLA FIRMY TOP-GUN ZA UDOSTĘPNIENIE MIECZA

eprasa.pl 0e6beb08e8

Fot. Andrzej Wiktor

To jest walka na śmierć i życie

W dawnych czasach może byłabym kobietą rycerzem. W ostatnich wojnach walczyłabym w okopach. Dziś jestem na pierwszej linii walki z kłamstwem

eprasa.pl 0e6beb08e8

Michał Karnowski rozmawia z prof. Krystyną Pawłowicz, posłanką Prawa i Sprawiedliwości

Pani profesor, o co jest ta bitwa, która z takim zacięciem toczy się w Polsce?

Krystyna Pawłowicz: O wybicie się na niepodległość, niezależność i suwerenność. To jest walka o Polskę, na śmierć i życie. Rzucono wszystkie zasoby, by zdławić nasze demokratyczne polskie powstanie.

A pani jest rycerzem tej walki?

Nie boję się walki. W dawnych czasach może byłabym kobietą rycerzem. W ostatnich wojnach walczyłabym w okopach. Dziś świadomie jestem na pierwszej linii walki z kłamstwem, manipulacją, atakiem na Polskę. Ta linia jest w Sejmie, w internecie, w mediach – jak mi pozwalają, bo czasem zakazują się wypowiadać. Pokornie wszystko przyjmuję.

Pokornie?

Padały różne propozycje awansów, trybunałów. Nie chcę. Chcę walczyć tu, gdzie jest najtrudniej. Nie mam nic do stracenia, może gdybym miała dzieci, bardziej bym się obawiała, czy im nie zaszkodzę. Choć i teraz mam co jakiś czas taką myśl, że kto wie, jaką cenę przyjdzie nam zapłacić za naszą odwagę. Stawiając niepodległość Polski na serio, bardzo potężnym środowiskom weszliśmy w drogę.

Dziś też pani obrywa.

Chamstwo, jakie wobec mnie jest uruchamiane, przekracza wszelkie granice. Ale to wynika z tej stawki, która jest najwyższa. Przecież próbowano nie uznać wyników wyborów 2015 r. Ci, którzy wtedy przegrali, stracili tak dużo, podobnie jak ich mocodawcy, że po prostu nie byli w stanie się pogodzić z porażką. Byliśmy – jak to dobrze ujął premier Jarosław Kaczyński – taką wygodną, zyskowną neokolonią dla wielu biznesów. Kiedy to się urwało, zaczął się ten wściekły atak. O tyle łatwy, że w większości miejsc nic się nie zmieniło.

Na przykład gdzie?

Na przykład na uniwersytetach, gdzie w większości się tej zmiany, tak oczekiwanej przez Polaków, po prostu nienawidzi. Dowiedziałam się ostatnio o istnieniu na Uniwersytecie Warszawskim czegoś, co nazywa się Katedrą im. Tadeusza Mazowieckiego, gdzie jeszcze niedawno były prezydent Bronisław Komorowski głosił konieczność budowy ruchu obrony III RP „lagą i na odlew", a jego współpracownicy oraz koledzy tworzą radę tej katedry.

Przeszkadza to pani profesor?

Przeszkadza mi ta nieznośna nierównowaga. Jeśli uniwersytet stwarza możliwości kultywowania myśli i dorobku śp. Tadeusza Mazowieckiego, to dlaczego nie stworzy możliwości takich działań w odniesieniu do śp. Lecha Kaczyńskiego? Dlaczego wszystkie myśli i działania konserwatywne są na uniwersytetach, utrzymywanych z pieniędzy wszystkich Polaków, tak niemile widziane?

Dotyka pani bardzo poważnego problemu: ogromnej nierównowagi pomiędzy ogromnym poparciem społecznym dla obozu dobrej zmiany a zasobami i strukturami, gdzie jest dla niego życzliwość.

Trzeba widzieć rzeczy chłodno: warstwa zmian jest bardzo cienka, opiera się na woli Polaków wyrażanej w demokratycznych wyborach. Struktury państwowe i samorządowe często pracują przeciw tej zmianie, tylko czekają, by było, jak było. Osobiście np. bardzo źle oceniam działalność Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji za bezczynność w sprawie grand dziejących się na rynku medialnym. Dlaczego cofnięto karę dla TVN, która w mojej opinii każdego dnia robiła i robi skandaliczne rzeczy, która urządza bezczelne ustawki, byle tylko sprowokować awanturę przeciw rządowi, jak ostatnio z faszystami, a wcześniej z domem starców? Przecież są przepisy prawne, które regulują działanie mediów, są koncesje, które można ograniczyć, zawiesić. Trzeba je stosować, kiedy mamy do czynienia z drastycznym łamaniem prawa.

A może lepiej spluralizować rynek? W debacie padł taki pomysł, by opłaty za koncesję rosły w zależności od tego, ile jeden koncern ich posiada. Niech pierwsza będzie tania, druga droższa, a trzecia horrendalnie droga.

Tam, gdzie się da, trzeba wpuszczać nowych nadawców. Zadaję za pośrednictwem „Sieci" pytanie Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji: dlaczego Radio Wnet pana Krzysztofa Skowrońskiego wciąż nie może nadawać w eterze?

W czasie puczu grudniowego TVN24 przekroczyła granice tego, co wolno mediom?

Wszyscy widzieli, jak było. Zrobiłam kiedyś dokładny spis manipulacji tej stacji w czasie miesiąca, w tym właśnie okresie. To porażająca lektura. Jeśli tego nie zmienimy, jeśli nadal będzie można kłamać i szczuć bezkarnie, to jako społeczeństwo będziemy się degradowali. Jak to jest, że pani Olejnik mogła nakłamać o mnie i nie została ukarana?

Jak to?

Napisała w roku 2014, że stanęłam na środku sali sejmowej i krzyczałam do marszałka jakieś wulgarne słowa, co jest bezczelnym kłamstwem. Poszłam więc do sądu. Pani Olejnik w sądzie mówi, że tak jej powiedzieli Rozenek i Palikot. To ja pokazuję stenogram z posiedzenia Sejmu, zapis wideo – nic takiego tam nie pada. Zeznają moi świadkowie, posłowie, którzy byli na sali. Nic takiego nie słyszeli. Ale sędzia nawet tego nagrania nie odsłuchał, bo uznał, że może odsłuchać je sobie „prywatnie".

A w apelacji?

Tam już sędziowie obejrzeli nagranie na sali. Pani sędzia przyznała, że wprawdzie nie ma najmniejszego dowodu na słowa, które zarzuca mi Olejnik, ale to nie znaczy, że tego nie powiedziałam.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Tak można każdego załatwić.
I często się załatwia.

Ja bym za taki tekst ze 100 tys. zł zapłacił.
A ja musiałam zapłacić pani Olejnik koszty sądowe. Zobaczymy, jak to będzie w sprawie pana Owsiaka.

Chodzi o naruszające godność osobistą słowa pod pani adresem, które padły na Przystanku Woodstock, i chamski konkurs w internecie – chodziło o rozszyfrowanie skrótu RWKPWK, czyli „Ruchu Wypier... Krystyny Pawłowicz w Kosmos", oraz założenie strony na Facebooku pod tym samym tytułem, która funkcjonuje do dziś.
Tak, rzeczywiście to coś koszmarnego. Widać tu inspiracje Jerzego Owsiaka chcącego uchodzić za autorytet. Na razie jednak jest on najwyraźniej chroniony przez sąd, który od września nie wyznacza daty posiedzenia. Podsumowując to wszystko, mówię z goryczą: jestem człowiekiem, który w Polsce jest pozbawiony ochrony prawnej i prawa do uczciwego sądu.

> Mówię do pana Frasyniuka: „Niech się Władek nie boi, nic Władkowi nie zrobią!". Cokolwiek by zrobił, i tak sąd na końcu powie, że niewinny

Wróćmy jeszcze do TVN: z tym materiałem o faszystach to była ustawka?
To był bardzo dziwny materiał. Według mnie trzymanie go tyle miesięcy, odpalenie właśnie wtedy, gdy ruszała kampania mająca przyszyć nam łatkę „faszystów", każe postawić bardzo poważne pytania o motywy działania tego medialnego koncernu. Podobnie działają wydawnictwa założone przez Niemców dla Polaków – one pokazują rząd i posłów wyłącznie jako leniwą, dziką, pijaną, prymitywną zachłanną grupę. I tak dzień po dniu kłamliwie w nas biją, a Polacy bezbronni czytają.

A telewizja publiczna podoba się pani profesor?
Mam do prezesa Kurskiego jedną uwagę: powinien jeszcze bardziej zdecydowanie bronić polskich interesów, polskiej racji stanu, polskiej historii, miłości do ojczyzny, odkłamywać manipulacje innych mediów. Czyli robić to wszystko, co składa się na misję mediów publicznych.

Padają zarzuty o stronniczość.
To popatrzcie na nienawistne materiały w wielu stacjach komercyjnych, tego się nie da oglądać. Żadna ze stacji komercyjnych nie tolerowałaby gości, którzy ją obrażają. A w TVP co chwila jakiś gość rzuca o cenzurze, dyktaturze, faszyzmie, reżimie i podobne bzdury.

Warto chodzić do mediów komercyjnych?
Moim zdaniem do niektórych nie warto. Są media, które powinny być bojkotowane. Ale być może jestem w tym poglądzie radykalna.

Wracając do obstrukcji części aparatu państwowego: nie można wziąć nowych ludzi?
Trzeba próbować. Sporo jest nowych. Ale nie zawsze jest skąd brać. Niektóre korporacje zawodowe okopały się w swoich politycznych emocjach, nastawiają tak też studentów. Podkreślam: nie ulegajmy przekonaniu, że już po walce. Państwo w wielu miejscach nie jest jeszcze nasze.

Nasze, czyli Prawa i Sprawiedliwości?!
Nie. Nasze, czyli Polaków, którzy chcą zmian, którzy nie godzą się na życie w patologicznym systemie III RP, wywodzącej się z PRL. To wszystko splotło się z lewicową częścią byłego ruchu „Solidarności" w jedno. To wszystko najlepiej widać na przykładzie sądownictwa. Tam skandal goni skandal, a polityczne zaangażowanie sędziów nawet nie jest przez wielu z nich ukrywane.

Znajomy prawnik mówił mi o „rozgrzanych politycznie sędziach", których coraz częściej spotyka na salach sądowych.
Spójrzmy, jak taśmowo uniewinniają wszystkich związanych z tzw. Obywatelami RP, KOD itp. Nawet oczywiste naruszenia prawa kończą się uniewinnieniami. Czasami mam wrażenie, że ci wszyscy kodziarze czują się w sądach jak u siebie. A przecież to oni są agresorami w stosunku do odbywających się od 2010 r. comiesięcznych spotkań smoleńskich. Tak nie można!

To prawda, im nikt marszów ani protestów nie blokuje.
Nikt. Ale też nie bardzo jest już co blokować, tam nikt nie przychodzi, kamer i dziennikarzy często jest więcej niż protestujących. Dlatego teraz mówię do pana Frasyniuka: „Niech się Władek nie boi, nic Władkowi nie zrobią!". Cokolwiek by zrobił, i tak sąd na końcu powie, że niewinny. Czyż nie jest skandalem to, w jaki sposób sądy podchodzą do sprawy przeszłości Lecha Wałęsy? Po prostu ignorują fakty, dokumenty, ekspertyzy naukowe. Nadal nie można mówić, że Wałęsa to „Bolek", choć to historyczna oczywistość.

Pani profesor właśnie to powiedziała.
Mówię to, co wszyscy powszechnie wiedzą.

Zmiana w sądach w ogóle jest zatem możliwa?
Trzeba próbować, domagać się obiektywizmu. Nie miejmy jednak złudzeń – bez naprawdę dużej wymiany kadrowej wiele się nie zmieni. Piszą do mnie sędziowie i relacjonują, jak niektórzy członkowie Krajowej Rady Sądownictwa wyśmiewają na spotkaniach władze państwowe, jak przekonują, że to jest tylko na chwilę, że ta ekipa zaraz zostanie przegoniona, że jesteśmy głupi itp. Widzimy też wszyscy próby zastraszenia tych sędziów, którzy kandydują do nowej KRS, którzy chcieliby wziąć udział w odbudowie autory-

eprasa.pl 0e6beb08e8

tetu swojego środowiska. Nie tylko tutaj, lecz i wszędzie, potrzeba nam więcej kadencji, by zmiany weszły głęboko, by były nie do odwrócenia, by pogonić wszystkie grupy żerujące na Polakach, także w samorządach. Ale to zależy od tego, czy będą uczciwie policzone głosy. Ja w wynik poprzednich wyborów samorządowych nie wierzę. Były skręcone.

Ilu kadencji potrzeba, by zmiany uczynić, jak pani mówi, nieodwracalnymi?

Nie wiem, nie jestem socjologiem. Prezes Kaczyński mówi o trzech kadencjach, a on wie najlepiej. Najważniejsze jednak, by nie zapominać o tym, co jest źródłem wsparcia dla zmian. A jest nim przywrócenie godności obywatelom, choć jeszcze nie wszędzie. Ostatnie wystąpienia lokatorów z reprywatyzowanych bandycko kamienic pokazują, jak to było za poprzednich rządów. Traktowano ludzi jak śmieci, gnębiono, nazywano „szczurami" lub „wkładką mięsną". Na drugim biegunie jest program 500+, który dał wielu rodzinom szansę na normalne życie. Zwróćmy uwagę – ucichły te głosy wyśmiewające, te narzekania, że dajemy nierobom. Polacy mądrze wydają te pieniądze.

Opozycja się odgraża, że ten program skasuje.

I nie wątpię, że zrobiliby to.

A pomniki smoleńskie rozbiorą?

Nie rozbiorą. Stolica państwa jest własnością całego narodu, a nie pani Gronkiewicz-Waltz. To barbarzyństwo, to okrucieństwo jest próbą sprowokowania nas. Nie uda się.

Grzegorz Schetyna i Katarzyna Lubnauer mogą przekonać do siebie Polaków?

Wydaje mi się, że ani pan Schetyna, ani pani Lubnauer, ani pan Petru nie mają już żadnego potencjału. Pozostają im buńczuczne wystąpienia w TVN, ale gdy pojadą w Polskę, w tzw. teren, to szybko się dowiedzą, co ludzie o nich myślą. Tym razem nie zadziałała ta straszliwa nagonka na nasze rządy, bo ludzie szybko odczuli, że to, co robimy, przekłada się na ich życie. Pan prezes Kaczyński miał intuicję, gdy decydowano o wprowadzeniu programu 500+ od razu, a nie dopiero wtedy, kiedy nastąpił wzrost dochodów z uszczelniania VAT i całego systemu podatkowego. To pierwsza przyczyna, że ta agresywna propaganda nie zadziałała. Drugą jest fakt, że Polacy dowiedzieli się o tym, jak wyglądały rządy PO-PSL. Przecież każda taśma to afera, każda jest opisem jakiegoś szemranego biznesu, brudnego działania. Nawet pan Sowa, przepraszam, ksiądz Sowa, nie ustrzegł się takich rozważań. Swoją drogą, mam nadzieję, że prokuratura dokładnie analizuje stenogramy z tych rozmów i podejmuje działania tam, gdzie należy.

Poznaliśmy już wszystkie taśmy?

Nie sądzę. Nie wykluczam też, że gdzieś tam jest także nagranie z udziałem byłego premiera, pana Tuska, i również je kiedyś poznamy. Te taśmy dobrze pokazują, jak to wszystko chodziło w III RP, jak zaczynały niektóre fortuny, imperia.

Fot. Andrzej Wiktor

Jak często pomysł był prymitywnie prosty: kupić tanio od państwa, sprywatyzować w grabieżczy sposób, potem puścić to dalej, najlepiej komuś z Zachodu, i chodzić w glorii wielkiego biznesmena. Ta wyprzedaż majątku narodowego w latach 90., ale i przez cały okres III RP, stworzyła fundamenty pod system III RP.

Zawsze mnie zadziwia, z jakim spokojem lewicowo-liberalne kręgi na Zachodzie przyjmowały i przyjmują te patologie Europy Środkowo-Wschodniej, obszaru postkomunistycznego. Choćby tu złodziej na złodzieju siedział, to jeśli im nie podskakuje, zostanie uznany za europejskiego demokratę.

Tak, ale to nie tylko to. Wielkie pieniądze idą do rozmaitych fundacji, np. tych należących do George'a Sorosa. I fundacje te robią tutaj, co chcą, budują wpływy, czynią społeczeństwo bezbronnym. Celem tych działań, podobnie jak wielu ludzi w Unii Europejskiej, jest zniszczenie państw narodowych, wyrugowanie chrześcijaństwa, zalanie nas imigrantami, by zmienić narodowościową strukturę Polski.

Polska powiedziała „nie" dla przymusowej relokacji migrantów.

To nie zmienia faktu, że skoro jesteśmy w strefie Schengen, to ten napływ z innych krajów jest duży. Przyjeżdżają do nas przez inne państwa. Pytałam MSWiA, czy ma jakieś

eprasa.pl 0e6beb08e8

Fot. Andrzej Wiktor

dane w tej sprawie, ale nie odpowiedzieli mi. Myślę jednak, że w istocie nie da się tego kontrolować.

Cieszą panią te sygnały z Brukseli, że idzie ku porozumieniu z Polską? Że dialog został odblokowany?

Niestety nie wierzę w to. Pan Timmermans tak nienawidzi Polski, że nie wierzę, iż zmieni swoją postawę. Za długo też zajmowałam się Unią Europejską, opublikowałam kilka opracowań naukowych o prawie oraz strukturze UE i nie dam się nabrać na te miłe słówka. To, co mamy dziś, nie ma już nic wspólnego z chrześcijańskimi ojcami założycielami Unii Europejskiej, z Schumanem, de Gasperim. Dziś nachalnie realizowany jest projekt Altiera Spinellego, włoskiego komunisty, który dążył do likwidacji państw narodowych i narodów, stworzenia europejskiej, bezbożnej federacji.

Był polski minister spraw zagranicznych, który też prosił Berlin, by wziął przywództwo w Europie i naszą suwerenność.

Jest tylko jeden komentarz: ci ludzie nie kochają Polski. Wracając do rzekomego ocieplenia z Brukselą: nie wierzę w koniec sporów, to jest usypianie nas, byśmy po kolejnym uderzeniu ulegli i się poddali. Musimy być bardzo ostrożni i nie ustępować o milimetr, bo natychmiast pójdą dalej. Z drugiej strony rozumiem postawę rządu i Jarosława Kaczyńskiego – czasami trzeba trochę oddechu, czasami trzeba na jakimś froncie ogłosić zawieszenie broni. Trzeba jednak jasno powiedzieć, że jeżeli ustępstwa pójdą za daleko, jeśli zgodzimy się na narzucanie nam kwot imigrantów, jeśli zrezygnujemy z reformy sądów, jeżeli oddamy walkę o polski przemysł, jeżeli zgodzimy się na walkę z chrześcijaństwem, jeżeli zrezygnujemy z obrony prawdy historycznej, to ludzie nam tego nie darują. Jak bardzo ostro potrafią nas ocenić, widać było przy zmianie premiera.

To znaczy?

Nie da się ukryć, że ludzie byli niemile zaskoczeni odejściem pani premier Szydło. Jak to mówi się w Polsce: „naszej Beaty". Na szczęście pani premier zachowała się z klasą, a pan Morawiecki skutecznie do siebie przekonuje skromnością, znajomością języków, fachowością. Powtarzam ludziom, co mówił prezes Kaczyński: funkcja premiera nie była ostatnią dużą rolą Beaty Szydło w polityce. Widzę wtedy uśmiechy.

Ale pani alarmowała, że na statek Zjednoczonej Prawicy wchodzi za dużo chętnych, że zatopią ten statek z jego kapitanem, bo zmienia się punkt ciężkości. O co chodzi?

Myślę o niejednoznacznej niekiedy postawie pana premiera Gowina. Myślę, że przyjmowanie przez pana ministra na pokład dobrej zmiany ludzi z różnych obozów, którzy niekiedy skaczą z partii do partii, nie uwiarygodnia nas. Nawet pan Gryglas z Nowoczesnej, który – jak opowiada niepoważnie – do partii Petru został zapisany przez jakiegoś sąsiada. Pewnie dlatego jeszcze tuż przed przejściem do prawicy w programach telewizyjnych szydził z dobrej zmiany? Dlatego drażniące jest, gdy teraz ostentacyjnie przechadza się w ławach rządowych obok premiera Gowina. Powtarzam: wiem, że to jest polityka, ale nasza wiarygodność jest nie mniej ważna.

Do entuzjastów przygotowywanej przez wicepremiera Gowina reformy nauki pani nie należy?

Nie chciałabym, by w tej wersji weszła w życie. Słyszę ze środowisk akademickich, że projekt Gowina stworzy oligarchię uczelnianą i jeszcze raz wszystko zabetonuje. Budżet ma dawać pieniądze, a rządzić mają jakieś zewnętrzne rady mędrców. To prosta droga do przejęcia uczelni przez lokalne oligarchie. Tym bardziej że żadne działania lustracyjne ani oczyszczające do tej pory nie zostały podjęte, nie ma żadnych działań, by odpolitycznić naukę i zlustrować nielustrowane od PRL kadry. Polskie uniwersytety powinny się bić o prawdę o Polsce. Dlaczego milczą, gdy obarczają nas winami za niemieckie zbrodnie? Gdzie są wtedy polscy historycy? A gdzie byli, gdy próbowano wyjaśnić tragedię smoleńską?

Napisała pani: „Mój Ojciec był męczony przez niemieckie Gestapo, potem zesłany do niemieckiego, a nie polskiego, obozu koncentracyjnego Stutthof, a po likwidacji obozu pędzony był Drogą Śmierci nie przez Polaków, ale przez Niemców do Niemiec. Izraelu, dlaczego odrzucasz prawdę?". Ojciec przeżył?

Tak, schorowany przeżył. Zostawił pamiętnik, w którym dokładnie opisał swoje półtora roku w Stutthofie. Pamiętnik ojca mam zamiar przekazać do IPN w Gdańsku, gdzie – jak przeczytałam na portalu wPolityce.pl – wszczęto śledztwo w sprawie zbrodni dokonywanych w tym obozie. Myślę, że wielu Polaków, patrząc na losy swoich przodków, na ich bohaterstwo i męczeństwo, ma poczucie, iż nie można teraz stać z boku. To jest rodzaj sztafety pokoleń, którą musimy podjąć. Ja tę sztafetę kontynuuję po moich rodzicach.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Antoni Krauze (1940–2018)

Myślę, że Antoniego Krauzego znałem od zawsze. To znaczy znałem tylko jego filmy, ale wydawały mi się tak bliskie, charakterystyczne i tak bardzo różne od większości filmowej produkcji, że miałem wrażenie, jakbym dobrze znał ich twórcę. Absolutnie zachwycił mnie jego skromny debiut fabularny „Monidło" według opowiadania Jana Himilsbacha, historia biednej rodziny, która z trudem zbiera na wymarzony rower dla syna, ale zjawia się domokrążca i przekonuje, by zaoszczędzone pieniądze przeznaczyła na monidło. Zapamiętałem genialną rolę Henryka Hunki, ale też niezwykłą naturalność i prawdę emanującą z obrazu dobrych, oszukanych ludzi. Już ten pierwszy film był więc opowieścią o grozie manipulacji.

Potem drapieżny debiut pełnometrażowy „Palec Boży" o zobowiązaniu artysty i długi szereg filmów w obronie ludzkiej godności oraz w obronie prawdy. Znakomite „Meta" i „Party przy świecach" (zagrała w nim moja śp. mama Barbara Rachwalska) oraz „Prognoza pogody": oto pensjonariusze domu starców widzą hurtowy zakup trumien i wyciągają wniosek, że oznacza to decyzję podjętą przez kierownictwo placówki. Z pełnego czarnego humoru opowiadania Marka Nowakowskiego Krauze zrobił piękny film o wolności.

Antoni Krauze był odważny. Zdjęcia do serialu „Akwarium" według Wiktora Suworowa ukazującego istotę działania sowieckiego KGB pojechał realizować do Moskwy. Strzelano do niego. Wspominał to ze śmiechem.

Oprócz fabuł zrealizował Antoni Krauze wiele ważnych i świetnych filmów dokumentalnych, których wcale nie traktował jedynie jako drogi do filmów fabularnych, ale jako równoprawną możliwość artystycznego opowiadania prawdy. Opowiedział więc o Studenckim Teatrze Satyryków i Piwnicy pod Baranami, opowiadał o wybranych artystach jako nosicielach paradygmatu prawdy i wolności. Filmem „Do potomnego" mówił o młodych poetach Gajcym, Baczyńskim, Trzebińskim, Stroińskim i Bojarskim – tych, którzy swą sztukę, talenty i przyszłość ofiarowali sprawie istotniejszej – Ojczyźnie.

Antoni Krauze był patriotą. Tak, to staroświeckie, dziś wypychane w niebyt słowo bardzo do niego pasuje. Chciał, by Polska była sprawiedliwa i bezpieczna. Chciał, by Polacy widzieli prawdę i widzieli manipulacje. Chciał, by bohaterowie nie byli nieznani, by nie zostali zapomniani. Za swój święty obowiązek uważał opowiadanie o ukrywanej, przemilczanej krzywdzie i ofierze. Wstrząsający „Czarny czwartek" o dokonanej przez komunistów masakrze robotników na Wybrzeżu w roku 1970 to jeden z najlepszych w polskim kinie obrazów „krzywdy człowieka prostego" oraz istoty komunistycznego systemu.

Osobiście Antoniego Krauzego poznałem dopiero wtedy, gdy ogłosił, że chce zrobić film fabularny o smoleńskiej tragedii. Wkrótce potem zaproponował mi współpracę. Jestem dumny, że mogłem mu pomóc. Chyba żaden inny film w historii polskiego kina nie przeszedł takiej „ścieżki zdrowia" jak właśnie „Smoleńsk" Krauzego. Przy żadnym nie było tak żywiołowego, ale i zwartego frontu niechęci, odmowy, drwiny, czasem nawet nienawiści. Nie tylko zaniechań, lecz także energicznych działań wysokich rangą urzędników państwa, by ten film nigdy nie powstał. Antoni mocno te perypetie przeżywał, ale jego determinacja była gigantyczna. Zorganizował fundację, która zebrała znaczną część środków. Czytał i gromadził ogromne ilości fachowych materiałów, przeprowadził setki rozmów ze świadkami i z ekspertami, znał tysiące najdrobniejszych szczegółów. Dokładnie przemyślał, co chce pokazać, i wiedział dlaczego. Rozumiał, że od tragedii smoleńskiej jeszcze groźniejsza dla Polski i Polaków jest tragedia posmoleńska, czyli trąd strachu, zakłamania i niepamięci. Czuł, że musi ten film zrobić, jakby wiedział, iż nikt inny się nie odważy.

Antoni Krauze był wielkim artystą, ale przede wszystkim był człowiekiem niebywale wrażliwym na krzywdę, przemilczenie, kłamstwo i manipulację. Wydobywał piękno prostych ludzkich tęsknot. Dbał o to, by krzywda nie była zakłamana, by ofiara nie pozostała nieznana. Bo tylko wtedy nie idzie na marne.

Antoni Krauze potrafił przenosić góry, by swój cel osiągnąć. I osiągnął.

Maciej Pawlicki

Fot. Andrzej Wiktor

Fot. Andrzej Wiktor

Wytrzymamy do końca i dłużej

Wszystko działa, znaleźliśmy złoty środek relacji między najważniejszymi ośrodkami władzy. Do wyborów chcemy też unikać jakichś wielkich burz politycznych

Z prof. Ryszardem Terleckim, wicemarszałkiem Sejmu i szefem klubu parlamentarnego PiS, rozmawia Jacek Karnowski

Panie marszałku, jak wygląda krajobraz po sprawie polsko-izraelskiej? Jakie są najważniejsze wnioski?

Ryszard Terlecki: Na pewno wiemy, że nie byliśmy przygotowani. Zawiódł nas instynkt, który powinien nas ostrzec, że coś takiego może wybuchnąć. Tymczasem ustawa leżała na półce przez cały rok z powodu wątku ukraińskiego, a nie żydowskiego.

Czyli w kontekście zakazu promowania banderyzmu.

Tak. Wpędził nas w to ruch Kukiz '15, który stale parł do zaostrzenia przepisów dotyczących Ukrainy, nie godząc się na żadne złagodzenie sformułowań. To na tyle zamazało nam horyzont, że wpadliśmy w kłopoty. Rzeczywiście nikt nie pomyślał o tym, że dzień głosowania zbiega się z rocznicą wyzwolenia obozu Auschwitz. Nikt też nie zwrócił uwagi, że zbiegło się to z wizytą sekretarza stanu USA Rexa Tillersona, co też nie zabrzmiało dobrze.

I wybuchło.

Tak. Moim zdaniem skala tego wybuchu jest również po naszej stronie. Potraktowaliśmy tę sprawę tak bardzo poważnie, że stało się to wielkim wydarzeniem, choć tak być nie musiało.

Strona polska zareagowała za mocno?

Tak sądzę. Chodzi mi o naszą reakcję na reakcję Izraela. Dziś emocje już cichną, ten pierwszy etap zamknęło bardzo dobre wystąpienie premiera Morawieckiego w Chełmie. Powinniśmy na tym poprzestać i zacząć prowadzić rozmowę, nie chcemy wywoływać kolejnych fal tego tsunami.

Czy należało więc procedować ustawę o IPN aż do końca?

Po wybuchu kryzysu nie było już wyjścia, nie można było się cofnąć. Pod tak silną presją zewnętrzną cofać się nie można.

Bo stawką był prestiż?

Oczywiście. Nie można się cofać, bo ktoś na nas krzyknął. To trudne decyzje, ale całkowicie suwerenne.

Mówi pan, że zawiódł instynkt. Chyba nie dostrzegliśmy także, że w Izraelu zachodzą niekorzystne dla nas zmiany.

Podejmując decyzję o uruchomieniu tej ustawy po roku „szufladowania", nie mieliśmy tej świadomości. Za mało też wiedzieliśmy o toczącej się tam kampanii wyborczej. Choć trzeba pamiętać, że ambasador Anna Azari też nie

eprasa.pl 0e6beb08e8

podnosiła problemu, chociaż dość regularnie spotykała się z wiceministrem Patrykiem Jakim. Z tego, co słyszymy, podnosiła przede wszystkim sprawę reprywatyzacji. Uwagi co do ustawy o IPN dotyczyły jedynie uzasadnienia.

A sam pomysł, by za pomocą prawa walczyć z pojęciem „polskich obozów śmierci", uważa pan za sensowny?

Na świecie to z pewnością może razić. Amerykanie nam powiedzieli, że u nich taka ustawa byłaby niemożliwa do wyobrażenia i że nigdy tego typu podejścia nie zaakceptują. Ale faktycznie akceptują, bo podobne rozwiązania w różnych sprawach obowiązują w wielu krajach. Były nawet przypadki skazywania na więzienie za negowanie Holokaustu. Zatem ta sprawa nie przesądzi o relacjach z USA, to nie jest powód do ostrego sporu.

Co dalej w tej sprawie?

Trzeba to spróbować wyprostować, trzeba zapomnieć o złych emocjach. Trzeba uruchomić te wszystkie inicjatywy, które pojawiły się w ostatnim czasie, komisje wspólne itd. Musimy wyjaśnić opinii publicznej, nie tylko w Izraelu, co naprawdę zaszło i co było naszą intencją. Placówki dyplomatyczne i inne instytucje muszą ciężko pracować, by odrobić lata zaniedbań.

Nie jesteśmy na straconej pozycji, bo wbrew twierdzeniu Donalda Tuska, że wypromowaliśmy hasła „polskich obozów", zdarzyła się rzecz odwrotna. Dziś już chyba wszyscy na świecie wiedzą, o co chodzi w tym problemie. I będzie trudniej udawać, że to wszystko przypadek albo gapiostwo.

Skąd w ogóle wzięły się te „polskie obozy" w światowym obiegu? Kto na to wpadł?

Przyczyn było wiele. Nie mam wątpliwości, że były również celowe próby fałszowania historii. Ale i mnóstwo niewiedzy czy ignorancji. Widzę to także w Polsce, np. gdy egzaminuję studentów. Poziom wiedzy historycznej młodych ludzi, którzy wybrali kierunki humanistyczne, a więc powinni wiedzieć więcej niż inni, bywa dramatyczny. To też powód, by intensywnie promować wiedzę o II wojnie światowej także w naszym kraju. Reforma edukacji zapewne poprawi sytuację, ale zajmie to minimum dekadę.

Jak na tle tego, co się zdarzyło, wygląda nasz sojusz z Izraelem? A może „sojusz"? Bo sojusz zakłada jednak pewną lojalność, a nie mocne ciosy.

Obie strony zagrały mocno. My zrobiliśmy to, co zrobiliśmy, w przededniu dnia pamięci o Holokauście. Z kolei Izrael pokazał nam, że poparcie, którego udzielamy temu państwu, nie liczy się w zderzeniu ze stereotypami dotyczącymi przeszłości. Nie mamy innego partnera w tamtym regionie świata.

Sympatia do Państwa Izrael ma też w Polsce długą tradycję. W 1967 r., w czasie tzw. wojny sześciodniowej, wielu Polaków było dumnych, że „polscy Żydzi pobili ruskich Arabów". To była postawa naprawdę powszechna, a nie, jak się dziś czasem twierdzi, że dominowały antysemickie nastroje.

No właśnie, przed nami rocznica Marca '68. Pan był świadkiem i uczestnikiem tych wydarzeń. Czy dziś rzeczywiście, jak twierdzą publicyści „Gazety Wyborczej", pachnie Marcem?

Marzec to bunt studencki, najpierw w obronie „Dziadów" w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym i w obronie Mickiewicza, a później w obronie studentów pobitych na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. To były odruchy po prostu ludzkie, a nie wprost polityczne, choć wówczas wszystko było w jakimś sensie polityczne. Na początku nie było w tym żadnego kontekstu żydowskiego.

Dopiero w reakcji na rozlewające się po wielu miastach demonstracje prasa komunistyczna zaczęła eksponować nazwiska niektórych uczestników, co miało skierować uwagę na ich żydowskie pochodzenie. Później okazało się, że jedna frakcja komunistyczna rozpoczęła niszczenie drugiej, posługując się zarzutem „syjonizmu", a przy okazji próbowała wmówić Polakom, że demonstracje wywołali Żydzi. To był oczywiście nonsens, bo nikt nie poszedłby naprzeciw oddziałom ZOMO w obronie jakiejś frakcji PZPR.

Jarosław Kaczyński przestrzega jednak przed „ciężką chorobą umysłu – antysemityzmem". Te słowa wynikają z poczucia, że ten problem narasta?

To zjawisko zawsze było obecne gdzieś na marginesach, nigdy nie udało się tego wyplenić do końca. Ale to nie jest nawet nurt, to nurcik. Teraz też gdzieś tam żyje. Ale czy trafia do przekonania większych grup, czy rośnie? Nie potrafię ocenić. Wiem tylko, że warto zrobić wszystko, by gorycz związana z policzkiem, który nam wymierzono, nie poszła w tę stronę.

Są głosy, że ta sprawa da wiatr w żagle narodowcom, że powstanie odpowiednik węgierskiego Jobbiku.

Sądzę, że nic takiego się nie stanie, to nadal będzie margines polityczny.

Napięcie w relacjach polsko-żydowskich – albo przynajmniej ich perspektywa – będą nam towarzyszyły już zawsze? Po ostatniej awanturze przekonaliśmy się, jak bardzo ulotne są sukcesy na tym polu.

Warto przywoływać słowa Bronisława Wildsteina, który stwierdził, że trzeba rozumieć wrażliwość drugiej strony. Trzeba rozumieć, że to tu, na naszej ziemi, zginęły miliony Żydów, że to tu chciano zabić cały naród. Oczywiście działo się to nie z naszej winy, z absolutnie minimalnym naszym udziałem wynikającym z ogólnej demoralizacji i zdziczenia, jakie przyniosły wojna oraz niszczenie państwa polskiego.

Ale sam fakt, że to było tu, ma konsekwencje – kolejne pokolenia Żydów przekazują sobie pamięć „upiornej ziemi". Samo to, że oni ginęli właśnie tu, wpływa na emocje. Emocje wzmacniane wizytami kolejnych roczników młodzieży żydowskiej, która odwiedza miejsca tragedii, skupiając się na tej tragedii.

Wokół tych wizyt młodzieży żydowskiej toczy się dość ożywiona dyskusja. Czy powinniśmy zabiegać o zmianę

eprasa.pl 0e6beb08e8

ich kształtu w kierunku położenia większego akcentu na współczesną Polskę, na naszą historię?

To niemożliwe. Nie jesteśmy w stanie przekonać strony izraelskiej, by zmieniła narrację. To jest narracja o Zagładzie, i zawsze tak będzie. Na pewno trzeba jednak zabiegać o wyeksponowanie w miejscach odwiedzanych przez te grupy informacji o działaniach państwa polskiego w tamtym czasie. Także o tym, jak zachowywali się Polacy w swojej masie. To musi być jednak robione bardzo delikatnie, by nie powstało wrażenie, że chcemy coś ukryć czy zmanipulować.

Ekshumacja w Jedwabnem powinna być wznowiona?

Ona w zasadzie została już przeprowadzona. Wyniki nie są może szeroko znane, ale dość szczegółowo wiadomo, kto tam zginął. Nie jestem więc pewien, czy istnieje potrzeba ponownego przekopania tego miejsca.

W odniesieniu do całej II wojny światowej stale słyszymy: weźcie na siebie więcej winy, przyznajcie się, że nie jesteście tylko ofiarami.

Nie możemy zaprzeczyć, że działy się również straszne rzeczy. Bo dziać się musiały. Ludzie wiedzieli, że oni i ich dzieci zginą, jeśli Niemcy znajdą ukrywanych Żydów. To były straszne wybory. Nikt nie jest w stanie teoretycznie zapewnić, że on sam zachowałby się na pewno tak, a nie inaczej. Trzeba to przeżyć, żeby to wiedzieć. Ale jedno musimy przypominać: podziemne państwo polskie bardzo stanowczo stawiało tę sprawę. Armia Krajowa i podziemne sądy wydawały wyroki śmierci na szmalcowników, wiele z nich wykonano.

> Znów polityka na świecie zaczyna być postrzegana jako gra sił. Jest naszym sukcesem, że w odpowiednim momencie to dostrzegliśmy

Wspomnieliśmy o ustawie reprywatyzacyjnej, która ma wreszcie rozwiązać ten wielki problem. Czy po awanturze o ustawę o IPN zostanie ona uchwalona zgodnie z zapowiedziami? Jej zapisy podważają środowiska żydowskie, chodzi m.in. o ograniczenie uprawnionych do dziedziczenia do kręgu najbliższych krewnych.

Trzeba przede wszystkim powstrzymać procesy sądowe, które prowadzą do nadużyć. Musimy znaleźć na to jakiś skuteczny sposób. Decyzja w sprawie tej ustawy zapadnie po szczegółowych analizach. Na pewno zawsze trzeba wyciągać wnioski z błędów i porażek. W naszym interesie nie jest dziś eskalowanie napięcia ani z Izraelem, ani z kimkolwiek innym. Każdy krok w tej sprawie i każde słowo będzie oglądane pod lupą.

Przeciąganie sprawy powoduje, że państwo jest łupione, a ludzie żyją na własnościowym polu minowym.

Reprywatyzację trzeba w końcu załatwić, to konieczne. Ale czy teraz, czy w innym momencie? To trzeba dobrze rozważyć.

Sprawa konfliktu wokół ustawy była pierwszym testem nowego premiera i nowego rządu, budowanego przecież z myślą o uspokojeniu sytuacji.

Premier poradził sobie świetnie w tej trudnej sytuacji, Mateuszowi Morawieckiemu należą się wielkie słowa uznania. Bardzo przydało się jego historyczne wykształcenie, przemówienia w Chełmie i Markowej były naprawdę najwyższej próby.

W tej sprawie wsparły nas władze Niemiec. Kanclerz Angela Merkel i szef MSZ Sigmar Gabriel zabrali głos bardzo jednoznacznie. Również w umowie koalicyjnej CDU-SPD znalazły się przychylne Polsce wzmianki. To o czymś świadczy?

Warto pamiętać o szerszym tle tych zdarzeń. Po ostatnich wyborach i trudnościach ze sformowaniem rządu Niemcy straciły nieco impetu, ich dominacja polityczna w Europie nie jest już tak jednoznaczna. Tę sytuację próbuje wykorzystać Francja, co z kolei niepokoi Berlin. Być może dlatego Niemcy szukają nowych możliwości, a to z kolei sprawia, że otwiera się przed nami szansa.

Polska asertywność zaczyna przynosić owoce?

Pewne sygnały rzeczywiście na to wskazują. Ważny jest jeszcze jeden czynnik: na świecie coraz bardziej narasta przekonanie, że pokój nie jest dany raz na zawsze; zanika też pewność, że wojen z udziałem wielu państw już nie będzie. To była specyficzna cecha pewnej epoki, która wyraźnie się kończy.

Znów polityka zaczyna być postrzegana jako prawdziwa gra sił. Jest naszym sukcesem, że w odpowiednim momencie to dostrzegliśmy i zaczęliśmy się zbroić. Amerykanie to widzą, widzą to także w Europie. Ten czynnik w najbliższych latach będzie miał coraz większe znaczenie.

Czy Polska jest dla Stanów Zjednoczonych rzeczywiście ważna?

Oczywiście nie mamy pozycji mocarstwa, ale na europejskiej scenie zaczynamy nabierać znaczenia, o które sami siebie nawet nie podejrzewaliśmy. Kontekst, czyli np. groźba rozpadu Hiszpanii, wybory we Włoszech, Brexit, klincz w Niemczech, sprawiają, że możemy mówić o naprawdę dobrej koniunkturze politycznej dla Polski. Mamy wiele sygnałów, które wskazują na to, że Amerykanie bardzo poważnie traktują projekt Międzymorza. Potwierdzają to także niedawne rozmowy na wysokim szczeblu.

A jednocześnie możemy mówić o normalizacji sytuacji wewnętrznej w Polsce.

Tak, okazało się, że nie jesteśmy żadnym sezonowym rządem. Wytrzymaliśmy dwa lata i wytrzymamy na pewno do końca kadencji, a pewnie i dłużej.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Sondaże są dla Prawa i Sprawiedliwości świetne. Były rzecznik PiS Marcin Mastalerek postawił jednak tezę, że te doskonałe notowania „narkotyzują prawicę".

Patrzymy na naszą sytuację bardzo realnie, wiemy, że nie możemy ulec magii dobrych sondaży. Tym bardziej że znaczna część naszych wyborców nie kieruje się kwestiami ideologicznymi, ale patrzy na konkrety, w tym na politykę społeczną. Jeśli gdzieś pojawia się pycha, to na pewno nie w ścisłym kierownictwie partii. Ono twardo stąpa po ziemi.

Czy możliwa jest zmiana ordynacji przed wyborami parlamentarnymi? Dziś nawet ponad 40 proc. poparcia nie gwarantuje samodzielnej większości w Sejmie.

Jakieś drobne zmiany są możliwe, ale na rewolucję jest już za późno. Mam na myśli np. wprowadzenie listy krajowej czy pomysł ze 100 okręgami. To raczej nie wchodzi w grę.

Czy tzw. Konstytucja dla Nauki Jarosława Gowina zostanie zaakceptowana przez PiS? Pan zgłaszał w przeszłości sprzeciw wobec tej ustawy.

Po pierwsze, słowo „konstytucja" w tym przypadku to trochę tromtadracja ustawodawcza. A po drugie, nie ma zgody na tę ustawę. Są w tym projekcie elementy, które uważam za nie do przyjęcia. Mam na myśli pomysł, by jakieś rady biznesowo-samorządowe rządziły uczelniami. Podobnie nie można się zgodzić na oddanie całej władzy rektorom. Poza tym polskie szkolnictwo wyższe rzeczywiście wymaga podniesienia poziomu kształcenia i badań, ale tego nie można zrobić kosztem młodzieży, której nie stać na to, by studiować w dużych miastach. Minister Gowin w paru sprawach już ustąpił, ale to, co zostało, nie może być przyjęte.

W tej formie ta ustawa nie przejdzie?

Nie przejdzie. Bo tak jak wicepremier Gowin przywołuje poparcie dla swojego projektu ze strony części środowiska akademickiego, tak my musimy przywołać miażdżącą wręcz krytykę tej propozycji, która do nas dociera ze strony wielu ludzi nauki. Trzeba szukać kompromisu, ale nie na tych warunkach, które są dziś proponowane.

Tę ustawę można poprawić czy trzeba pisać od nowa?

Wszystko można poprawić, ale to nie może być ustawa napisana za pieniądze przez jakąś zewnętrzną firmę.

W rządzie nie ma już ministra Antoniego Macierewicza, którego dymisja dla wielu wyborców prawicy była dużym zaskoczeniem.

To normalne, że przyzwyczajamy się do bohaterów naszej codzienności politycznej, a później musimy się odzwyczajać. Tak było z panią premier Beatą Szydło, tak jest z ministrem Macierewiczem. Najważniejsze jest utrzymanie kierunku zmian. Ludzie są dobierani w zależności od sytuacji i potrzeb. Najcięższe, w istocie ustrojowe, zmiany są już przeprowadzone, teraz czas na ofensywę gospodarczą. Armia musiała odzyskać poczucie, że jest ważna dla państwa i narodu, i to minister Macierewicz zrobił doskonale. Teraz

Fot. Andrzej Wiktor

trzeba ją uzbroić, wzmocnić organizacyjnie. To już zadanie dla kolejnego ministra.

Wszyscy musimy być przygotowani, że w miarę potrzeb będziemy wymieniani. Tym bardziej że choć zmiany bywają oprotestowywane, to po pewnym czasie dla wszystkich jest jasne, że to jednak Jarosław Kaczyński miał rację.

Przed nami wybory samorządowe, czyli pierwszy test wyborczy po zdobyciu władzy.

Planujemy na wiosnę dużą ofensywę polityczną. Znów ruszymy w teren, będziemy w każdym powiecie i w każdej gminie. Będą spotkania, będziemy przekonywać do naszego programu. Chcemy pokazać, że polityka rządu PiS przekłada się na lepsze życie Polaków, że budujemy silną pozycję Polski, wreszcie, że dbamy o tradycje i wartości naszej wspólnoty. I że nie będzie już przyzwolenia dla oszustów ani złodziei, nie będzie bezkarności.

Opozycja – to już widać – będzie z kolei prezentowała ekipę PiS jako dygnitarzy, zachłannych na przywileje, pieniądze i stanowiska. Służy temu np. eksponowanie premii dla ministrów, które z kolei mają zastępować podwyżki. Mści się niezałatwienie tej sprawy ustawowo. W rezultacie wiceministrowie nadzorujący sektory warte miliardy zarabiają mniej niż dwie średnie krajowe.

I wielokrotnie mniej niż menedżerowie spółek skarbu państwa, nie mówiąc już o prywatnym biznesie. To jest sytuacja, za którą kryje się prymitywna propaganda, podważająca sens istnienia państwa, sens polityki w ogóle. Rzekomo wystarczy robić małe i duże interesiki. Tymczasem państwo musi mieć swój autorytet, a przy takiej hierarchii dochodów to niemal niemożliwe.

Ale to pewnie sprawa do ruszenia już po wyborach, podobnie jak dekoncentracja mediów.

Do wyborów chcemy unikać jakichś wielkich burz politycznych.

Czyli teraz pożyjemy trochę w krainie łagodności?

Tak [śmiech]. Wszystko działa, znaleźliśmy też złoty środek relacji między najważniejszymi ośrodkami władzy, gospodarka śrubuje rekordy. Przed Polską piękny czas.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Z ostrego kryzysu wokół nowelizacji ustawy o IPN wychodzimy silniejsi, bardziej świadomi zagrożeń i lepiej przygotowani na przyszłe konfrontacje

Pozbyliśmy się złudzeń

STANISŁAW JANECKI

Wbrew pozorom wielki atak na Polskę przy okazji noweli ustawy o IPN naszemu krajowi nie zaszkodził. Polska znalazła się wprawdzie na czołówkach wielu gazet na świecie i była obecna w mediach elektronicznych, ale w ten sposób skumulowało się tylko to, co i tak w formie rozproszonej się pojawiało. Ta kumulacja raczej wyczerpuje temat, niż go inicjuje i podgrzewa. Przede wszystkim dlatego, że użyto absolutnie przesadzonych argumentów o „polskości" obozów zagłady, współudziale w Holokauście czy „genetycznym" (biologicznym) antysemityzmie Polaków. Najszybciej o dysfunkcjonalności przesadnych sądów przekonali się autorzy najbardziej skrajnych opinii, m.in. lider izraelskiej opozycyjnej partii Yesh Atid – Yair Lapid, minister edukacji Izraela Naftali Bennett czy dziennikarka „Jerusalem Post" Lahav Harkov. Nie tylko musieli się z tego tłumaczyć przed własną opinią publiczną, lecz również bardzo szybko wyraźnie złagodzili swoje stanowiska. Przesada w ocenach uświadomiła absurdalność wielu zarzutów, choć gdy się pojawiały w formie rozproszonej, nie były uznawane za oderwane od rzeczywistości.

W krótkim czasie ujawniło się to wszystko, co i tak istniało, tylko w ukryciu lub podskórnie. To zaś, co ukryte, a realne, wywołuje większe szkody niż to, co odkryte. I ta kumulacja doprowadziła do czegoś w rodzaju pęknięcia pęczniejącego wrzodu. Doprowadziła też do deklaracji najważniejszych niemieckich polityków – kanclerz Angeli Merkel i szefa MSZ Sigmara Gabriela – o wyłącznej odpowiedzialności Niemiec za Holokaust. Deklaracji oczywistych z punktu widzenia prawdy historycznej, lecz wcale nieoczywistych z pozycji prowadzonej przez Niemcy polityki historycznej i bardzo rozbudowanej soft power. Polskę na krótko przykryła ciemna chmura oskarżeń, gróźb, szantażu, posądzeń i resentymentów. Tyle że idące za tym odświeże-

eprasa.pl 0e6beb08e8

Spór wokół noweli ustawy o IPN doprowadził do jednoznacznych deklaracji najważniejszych niemieckich polityków: kanclerz Angeli Merkel i szefa MSZ Sigmara Gabriela – o wyłącznej odpowiedzialności Niemiec za Holocaust. Deklaracji oczywistych z punktu widzenia prawdy historycznej, lecz wcale nieoczywistych z pozycji prowadzonej przez Niemcy polityki historycznej

Fot. Andrzej Skwarczyński

nie atmosfery może być znacznie trwalsze i jakościowo bardziej przełomowe, niż gdyby do przesilenia nie doszło.

POLSKA PODMIOTOWA

Przy tak dużej skali ataków na nasz kraj i negatywnych opinii o Polakach, jakie zdetonowała nowelizacja ustawy o IPN, powstają wymierne szkody wizerunkowe, ujawniają się zagrożenia dla strategicznych celów polskiej polityki zagranicznej, a nawet bezpieczeństwa finansowego państwa (rynki lubią spokój). Dlatego potrzebna i celowa była kontrofensywa prezydenta Andrzeja Dudy, premiera Mateusza Morawieckiego czy ministrów Jacka Czaputowicza i Krzysztofa Szczerskiego. Mimo że ta kontrofensywa mogła wyglądać na przesadną. Ale w ten sposób świat zobaczył, że polska dyplomacja działa, potrafi być skuteczna i prowadzą ją osoby profesjonalne, dobrze przygotowane i wykształcone, które trzeba traktować poważnie. Przede wszystkim dlatego, że poważne są polskie interesy i nie da się ich rozmyć w europejskich ani niemieckich, jak to czyniła dyplomacja duetu Donald Tusk–Radosław Sikorski. Dopiero teraz okazało się, że Polska jest poważnym państwem i domaga się poważnego traktowania. W pierwszych dniach niedawnego kryzysu trzeba było reagować nawet przesadnie, gdyż nie było przecież wiadomo, jak sytuacja może eskalować i jakie nowe zagrożenia powstaną. Tym bardziej że pojawiło się niekorzystne dla Polski oświadczenie Departamentu Stanu USA, w którym była mowa o zagrożeniu „swobody wypowiedzi i dyskursu akademickiego", o niebezpieczeństwach dla „strategicznych interesów i stosunków Polski – w tym ze Stanami Zjednoczonymi i Izraelem", o „podziałach, które mogą zaistnieć między sojusznikami i przynieść korzyści wyłącznie naszym przeciwnikom", a wreszcie o „zdolności do efektywnego partnerstwa".

Najważniejsze polityczne miny zostały szybko rozbrojone, a przynajmniej zabezpieczone. Ale pozostała dość czytelna topografia problemów, które okazały się całkiem sporą podziemną rzeką, przez lata wpływającą na wizerunek Polski i na nasze relacje międzynarodowe, choć działo się to podskórnie i pełzająco. Ale działo się – przede wszystkim w mediach – poprzez nagminne używanie określenia „polskie obozy zagłady" (zdarzyło się to nawet prezydentowi Barackowi Obamie, i to podczas pośmiertnego nagradzania Jana Karskiego – w maju 2012 r.) i oskarżanie Polaków o współudział w Holokauście (przydarzyło się to nawet szefowi FBI Jamesowi Comeyowi, w kwietniu 2015 r.). I choć było to w większości prostowane wskutek protestów polskich placówek dyplomatycznych czy poszczególnych osób, zostawiało trwały ślad. Źle działo się w publicystyce historycznej przebranej za badania naukowe, np. w kolejnych anglojęzycznych książkach Jana Tomasza Grossa, traktowanych jak poważne opracowania historyczne. Źle działo się na poziomie kultury popularnej, i to zarówno w formie ewidentnych fałszerstw – np. w niemieckim filmie „Nasze matki, nasi ojcowie" – jak i w formie bardzo zniuansowanego, powabnego artystycznie, psychologicznego przekazu, jak w nagrodzonym Oskarem filmie Pawła Pawlikowskiego „Ida".

Kryzys sprawił, że polskie władze zyskały precyzyjną informację, w których państwach i w jakich obszarach istnieją problemy dotyczące interpretacji oraz postrzegania wojennej przeszłości, które mogą być wykorzystywane przeciwko nam. Te problemy wynikają przede wszystkim z braków edukacji czy jej skrzywienia związanego z kierunkami i celami polityki zagranicznej. Wynikają z założeń polityki historycznej i wizerunkowej prowadzonej przez różne państwa, często sprzecznych z prawdą historyczną i celowo psujących wizerunek Polski. Wynikają ze stereotypów i resentymentów, częściowo utrwalonych tuż po wojnie, częściowo po marcu 1968 r., a w jakimś stopniu w ostatnich latach – podczas ofensywy politycznej poprawności i w związku z nieprawdopodobnie zakłamaną walką z faszyzmem oraz ksenofobią. Choć to wszystko miało i wciąż ma negatywne skutki, Polska jako państwo zyskała precyzyjną wiedzę, w których państwach i w jakich obszarach trzeba działać.

Już teraz widać, że największą miną jest kwestia reprywatyzacji, nie tylko w kontekście projektu przygotowanego przez Patryka Jakiego, lecz również amerykańskiej ustawy 447 oraz Deklaracji terezińskiej z 2009 r., podpisanej przez 46 państw, w tym przez Polskę. Z tego wszystkiego wynika, że przed polskim aparatem polityki zagranicznej oraz przed naszymi słabymi wciąż narzędziami soft power (m.in. Polską Fundacją Narodową czy Instytutem Adama Mickiewicza) jest ogrom pracy. Ale nie ma złudzeń, że ta praca musi być zrobiona.

POWRÓT ROZSĄDKU

Konflikt wokół nowelizacji ustawy o IPN wywołał ożywioną debatę, przede wszystkim w Izraelu i w Niemczech. I po początkowych uderzeniach na

eprasa.pl 0e6beb08e8

oślep przyniósł wyraźne otrzeźwienie. Można wątpić, czy gdyby nie doszło do kryzysu, w izraelskich mediach pojawiłoby się tyle głosów rozsądku, np. w wydaniu Setha J. Frantzmana („Jerusalem Post" z 29 stycznia 2018 r.), Moshe Arensa („Haaretz" z 5 lutego 2018 r.) czy Efraima Podoksika i Michaela Kochina („Jerusalem Post" z 9 lutego 2018 r.). W Niemczech ten konflikt wymusił publiczne deklaracje najważniejszych polityków (wspomnianych już Angeli Merkel czy Sigmara Gabriela), które bez tego najpewniej by się nie pojawiły, bo mimo swej oczywistości są wielkim zgrzytem w niemieckiej narracji wybielającej winy „naszych matek i naszych ojców", tworzonej przez niemieckie kino, telewizję, fundacje, instytuty, system grantów i nagród, stypendia oraz odznaczenia. Sprowadzenie na ziemię i odkłamanie czy też odmitologizowanie przynajmniej części debaty publicznej w Izraelu i w Niemczech jest nie do przecenienia. Podobnie jak nie do przecenienia jest szansa na jakiekolwiek zmiany w izraelskim projekcie edukacyjno-wychowawczo-patriotycznym polegającym na wysyłaniu izraelskiej młodzieży do Auschwitz i innych obozów zagłady. Wady tego projektu, szkodzące polsko-żydowskim relacjom, znakomicie przedstawił izraelski dokumentalista Jo'aw Szamir w filmie „Dafamation" (2009 r.).

Konflikt sprawił, że do światowego obiegu przebił się polski punkt widzenia. Skromnie, ale od czegoś trzeba zacząć. Przez dekady panowało w Polsce złudzenie, że przynajmniej Zachód podziela podstawowe fakty historyczne dotyczące wojny i Holokaustu, i podobnie je interpretuje. Czasem to złudzenie pryskało, gdy ktoś przeanalizował treść podręczników do nauczania historii w Niemczech, we Francji, Włoszech, w Hiszpanii czy Skandynawii, gdzie polski punkt widzenia, zgodny z faktami, w ogóle nie istniał lub istniał w kadłubkowej formie. Nawet mimo działalności (i to już od 1972 r.) np. Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Okazało się, że narrację historyczną wciąż trzeba odnawiać, że nigdy nie można spocząć. I trzeba to robić nie tylko w formie publikacji książkowych podsumowujących badania czy permanentnej edukacji prowadzonej za granicą przez polskie placówki i instytuty, lecz przede wszystkim na gruncie kultury popularnej, bo to się przebija do setek milionów ludzi. Tak jak do setek milionów przebiła się zakłamana niemiecka narracja z filmu telewizji ZDF „Nasze matki, nasi ojcowie", dzięki dużym funduszom na promocję pokazywanego w ponad 100 krajach i nagradzanego na festiwalach. Różne instytucje w Polsce muszą przestać o tym tylko mówić i zacząć działać. Wykorzystując samoistne zainteresowanie polskimi tematami nawet twórców z odległych państw. Przecież wyświetlany na świecie film „Azyl", pokazujący brawurową pomoc Żydom w wykonaniu Antoniny i Jana Żabińskich z warszawskiego zoo, reżyserowała Nowozelandka Niki Caro, a scenariusz napisała Amerykanka Angela Workman.

> Polskie władze zyskały precyzyjną informację, w których państwach i w jakich obszarach istnieją problemy dotyczące postrzegania wojennej przeszłości, które mogą być wykorzystywane przeciwko nam

TERAPIA SZOKOWA

Ataki na Polskę w kraju były jak katharsis, zmobilizowały wielu ludzi do działania, niepomiernie poszerzyły wiedzę, a za granicą ujawniły i uświadomiły ogromne braki edukacyjne oraz wiele złej woli w instrumentalnym graniu historią, co bywa cynicznie wykorzystywane w polityce. W zmianie tego stanu rzeczy rolę nie do przecenienia może odegrać Polonia, która szczególnie w USA aktywizowała się już w przeszłości, zwłaszcza przed przyjęciem Polski do NATO, co nastąpiło w marcu 1999 r. Polonia w USA ma znacznie większe możliwości działania niż jakiekolwiek polskie instytucje, siłą rzeczy podlegające Foreign Agent Act. Polacy obywatele USA mogą skutecznie lobbować i wpływać na senatorów oraz deputowanych Izby Reprezentantów.

Chodzi tylko o to, żeby polskie instytucje ich wsparły, pomogły im się zorganizować, nie były głuche na oddolne inicjatywy, które są, lecz bez wsparcia często wygasają, marnując zaangażowanie i entuzjazm wielu ludzi. Nowemu otwarciu, nie tylko w USA, sprzyja to, że w bardzo krótkim czasie ujawniły się wszelkie mity, złudzenia i fikcje w naszych relacjach międzynarodowych, szczególnie na gruncie pojednania z Izraelem, Niemcami i Ukrainą. Ten krótki czas jest ważny, gdyż doszło do swego rodzaju terapii szokowej, co zawsze sprzyja radykalnej zmianie. I to jest dobry punkt wyjścia do skutecznej polskiej ofensywy. Ale też do wyznaczenia naszym partnerom wyraźnych linii granicznych, których nie powinni przekraczać. A wcześniej przekraczali je nagminnie i bezkarnie, rządzący Polską zaś potulnie to przyjmowali do wiadomości. Czasy potulności i nieograniczonej tolerancji na ataki powinny się skończyć.

Po kilkunastodniowym wzmożeniu, szczególnie w mediach w Izraelu, Niemczech i USA, sytuacja wraca do normy, ale w znacznie lepszym punkcie niż przed kryzysem. W lepszym dlatego, że pozbyliśmy się złudzeń i wreszcie wiadomo, na czym stoimy. A nasi partnerzy wiedzą, że z Polską nie da się już grać tak jak dotychczas, także wykorzystując swego rodzaju szantaż historyczny. To oznacza znacznie większe szanse na jakiś przełom, na rzeczywiste uznanie polskiego punktu widzenia i realne liczenie się z polskimi interesami. Pojawiła się realna szansa, że w przyszłości antypolski front będzie znacznie słabszy, na zagrożenia będzie można reagować już we wstępnej fazie, a przede wszystkim Polska przestanie być pochyłym drzewem, na które skaczą wszystkie kozy.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Gra Marcem

Zbliżająca się 50. rocznica wydarzeń marcowych jest wykorzystywana przez antypisowską opozycję do snucia fałszywych analogii z przeszłością. To niebezpieczna, ale całkiem świadomie prowadzona gra, która po raz kolejny może doprowadzić do zszargania wizerunku Polski

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Protest na Uniwersytecie Warszawskim, marzec 1968 r.

Fot. EastNews

W zeszłym tygodniu na łamach brytyjskiej gazety „The Observer" ukazała się korespondencja z Warszawy poświęcona polsko-izraelskiemu konfliktowi wokół nowelizacji ustawy o IPN. Autor artykułu Christian Davies snuje niedwuznaczne analogie pomiędzy dzisiejszymi wydarzeniami a Marcem '68. Wspomina m.in. o tablicy na Dworcu Gdańskim w Warszawie, skąd wyjeżdżały z Polski pociągi z marcowymi emigrantami. Cytuje peerelowskiego premiera Józefa Cyrankiewicza, który stwierdził, że „nie jest [...] możliwa lojalność wobec socjalistycznej Polski i imperialistycznego Izraela jednocześnie" oraz że „trzeba dokonać wyboru i wyciągnąć zeń właściwe konsekwencje".

Szczytem manipulacji są zamieszczone w tym kontekście wypowiedzi naczelnego rabina Polski Michaela Schudricha, który – choć zwykle wypowiada się w pojednawczym tonie – na łamach brytyjskiej gazety powtarza plotki „o większej liczbie młodych Żydów, którzy myślą o wyjeździe z Polski". Deklaruje też, że „jeśli nadejdzie taki moment, kiedy w tym kraju nie będę mógł mówić prawdy bez obaw o trafienie do więzienia, to z niego wyjadę". Zapewnia zarazem, że „ten czas nie nadszedł" i że będzie „walczył z całego serca i duszy, aby nigdy do tego nie doszło".

Rabinowi chodzi oczywiście o nowelizację ustawy o IPN, która przewiduje kary za zarzucanie państwu i narodowi polskiemu współudziału w niemieckich zbrodniach wojennych. Jednak autor artykułu wkomponował obawy rabina w kontekst antysemickiej nagonki sprzed 50 lat, co jest gigantycznym nadużyciem. Jasne jest bowiem, że twórcami

eprasa.pl 0e6beb08e8

nowelizacji ustawy o IPN – jakkolwiek ją oceniać – nie kierowały motywacje antysemickie.

URABIANIE ZAGRANICY

Są dwie możliwości wytłumaczenia manipulacji zawartych na łamach brytyjskiej gazety: albo autor niezbyt wie, o czym pisze, a mimo to pisze (co, biorąc pod uwagę jakość i rzetelność korespondencji z Polski w zagranicznych mediach, wcale nie musi dziwić), albo został przed napisaniem tekstu odpowiednio „sformatowany" i ukierunkowany przez swoich rozmówców. Można się oczywiście domyślać, że większość jego „przewodników po polskiej historii" stanowili ludzie głęboko zaangażowani w polityczny spór w Polsce i życzący obecnej władzy wszystkiego najgorszego.

Szukanie analogii z rokiem 1968 jest po prostu tak głęboko nieuczciwe intelektualnie i ahistoryczne, że – na razie – niewielu, poza niezastąpionym Tomaszem Lisem, chciałoby się afiszować z tego rodzaju bzdurnymi porównaniami na łamach polskiej prasy. Co innego zagraniczny czytelnik, temu można wcisnąć każdą bujdę, łącznie z tą, że w Polsce codziennie bije się Murzynów, że katolickie duchowieństwo rytualnie morduje żydowskie dzieci albo że Polacy we wszystkich zagajnikach masowo składają hołdy Hitlerowi. Przy tego rodzaju fantazjach bajki o pociągach, które wkrótce wywiozą z Warszawy ostatnich Żydów, wydają się pozornie całkiem niewinne. Pozornie, bo szkody wyrządzone wizerunkowi Polski przez komunistów w marcu 1968 r. są ogromne i zmagamy się z nimi do dziś.

ANTYSEMICKI ZWIERZYNIEC

Marzec '68 pojawił się bowiem w najgorszym możliwym momencie, w czasie gdy Holokaust – jako przestroga i apoteoza zła – zaczął się przebijać do głównego nurtu. Zachód – a zwłaszcza Niemcy – poszukiwał wtedy dowodu, że inni są bardziej antysemiccy, z kolei Izrael jednoczył się przeciw zewnętrznym wrogom. Polska jako „antysemicki zwierzyniec" idealnie wpisała się w te zapotrzebowanie jednych i drugich.

Wtedy – po wojnie sześciodniowej – Izrael otwarcie odwołał się do doświadczenia Holokaustu, które miało nadać tożsamość państwu, a jednocześnie wytłumaczyć światu jego wojowniczą postawę wobec Arabów. Arabowie nieraz przecież grozili (i grożą), że zmiotą Izrael z powierzchni ziemi, dlatego Żydzi – tak jak w przeszłości – nie mogąc liczyć na niczyją pomoc, muszą się bronić. Są ofiarami, a nie sprawcami konfliktu. Wojna o przetrwanie Izraela stała się więc niejako wojną o powstrzymanie nowego Holokaustu. A Holokaust stał się ważnym elementem polityki Izraela oraz wspierającej go diaspory w Ameryce. W tym nowym kontekście Żydzi wyrzuceni z pomarcowej Polski byli żywym dowodem na to, że zagrożenie nie minęło. A sama Polska negatywnym punktem odniesienia w tworzonej właśnie religii Holokaustu.

> Kolportowanie fałszywych skojarzeń między prawicą a partią komunistyczną jest podobnym rodzajem manipulacji jak ten, który każe postrzegać Polaków jako sprawców Holokaustu

OSOBISTA WOJNA

Duży wpływ na takie postrzeganie naszego kraju miały – podobnie jak w przypadku ocalonych z Holokaustu po II wojnie światowej – osobiste doświadczenia. Część pomarcowych emigrantów była mniej lub bardziej zaangażowana w komunizm i ich przekonania doskonale wpisywały się w lewicową falę, która zawładnęła po 1968 r. instytucjami zachodniego świata. Wynikające nierzadko z własnych biografii ideowe fobie znalazły wówczas swoje nowe ujście wewnątrz wpływowych środowisk akademickich, w mediach czy w kulturze. Pokrzywdzeni przez Gomułkę, Moczara i antysemicką frakcję wewnątrz PZPR nadal toczyli swoją wojnę z przeciwnikiem, przy czym jego rolę – po odsunięciu od władzy bezpośrednich prowodyrów antysemickiej hecy – coraz częściej odgrywali Polacy en masse jako prymitywna tłuszcza, która – podobnie jak podczas wojny – nie tylko nie sprzeciwiła się antyżydowskiej nagonce, lecz (wręcz przeciwnie) miała ochoczo uczestniczyć w zwoływanych przez partię „antysyjonistycznych" wiecach zakładowych.

Ta wizja Polski i polskiego społeczeństwa jako genetycznych antysemitów znalazła wówczas – w dobie instrumentalizacji historii najnowszej – szczególnie podatny grunt i została szeroko rozkolportowana po całym świecie, zwłaszcza że niektórzy jej propagatorzy – jak Jan Tomasz Gross – zdołali zrobić za granicą całkiem duże kariery, być może niemożliwe do osiągnięcia w kraju.

Podejmowane dziś próby nawiązania do wydarzeń marcowych są – jak się zdaje – kontynuacją tej niekończącej się osobistej „wojny z polskim nacjonalizmem". Próby całkowicie fałszywej, bo nie sposób dziś uczciwie wskazać w polskim życiu publicznym liczących się postaci, które można w jakikolwiek sposób powiązać z antysemicką nagonką sprzed 50 lat. Wojciech Jaruzelski, jako ostatnia z tych osób, nie tylko nigdy nie został rozliczony za udział w wydarzeniach marcowych, lecz (wręcz przeciwnie) do samej śmierci był niemalże fetowany przez obecnych „tropicieli polskiego antysemityzmu". Jeśli więc już ktoś chce koniecznie szukać dziedziców Marca '68, to powinien poszperać przede wszystkim wśród byłych członków PZPR.

TA WSTRĘTNA HOŁOTA

Wydaje się, że kolportowanie fałszywych skojarzeń między prawicą a partią komunistyczną jest podobnym rodzajem manipulacji, jak ten, który każe postrzegać Polaków jako sprawców

eprasa.pl 0e6beb08e8

Holokaustu. Chodzi tu nie tylko o powszechną dziś stygmatyzację prawicy jako „nacjonalistów", lecz również o napiętnowanie całego społeczeństwa jako „genetycznie antysemickiego". A zatem tego, które podczas frakcyjnych bijatyk wewnątrz PZPR w 1968 r. dało się jakoby uwieść nacjonalistycznej retoryce Moczara, a dziś powtarza ten sam błąd, wspierając prawicę. Co oczywiście ma być koronnym dowodem na tezę, że prawica – podobnie jak wcześniej Moczar – nie tylko żeruje na najdzikszych instynktach większości Polaków, lecz i cynicznie je pobudza, aby zbudować sobie polityczne zaplecze.

Z tej absurdalnej tezy – a jest ona obecna od dawna na łamach liberalnych mediów – gdyby ją przyjąć za dobrą monetę, wynikają trzy wnioski: po pierwsze, że w 1968 r. istniał w Polsce system demokratyczny, a wraz z nim niezależny obieg informacji, i Polacy, „wspierając Moczara", dokonali – kierując się swoim antysemityzmem – świadomego i autonomicznego wyboru między różnymi, równoprawnymi opcjami. Po drugie, że to właśnie antysemityzm jest rzeczywistym źródłem zwycięstwa PiS w 2015 r. i jego utrzymującej się do dziś popularności. I po trzecie wreszcie, że antysemityzm stanowi główne kryterium tożsamości Polaków oraz dokonywanych przez nich wyborów.

Że to wszystko kłamstwa? Bujdy? Oszczerstwa? Oczywiście, że tak. Ale powtarzane na zagranicznych (i nie tylko) uczelniach oraz suflowane zagranicznym mediom przestają takimi być. Pozbawiony dostępu do faktów odbiorca przyjmuje je bez zastrzeżeń – podobnie jak wysuwane wobec Polski i Polaków oskarżenia o systemowy udział w zbrodniach Holokaustu.

Fot. Sieci

Tablica na Dworcu Gdańskim w Warszawie, skąd wyjeżdżały z Polski pociągi z marcowymi emigrantami

PODTRZYMAĆ KONFLIKT

W poprzednim numerze naszego tygodnika napisałem, że istotą działań szeroko rozumianej opozycji antypisowskiej jest jak najszersze zaangażowanie w polski konflikt wewnętrzny zagranicznych instytucji. Skoro jednak tego rodzaju zagraniczną interwencję można łatwo uznać za niedopuszczalne wsparcie dla jednej ze stron tego konfliktu, potrzebne jest coś więcej – jakiś obiektywny czynnik, który pozwalałby przedstawić obce zaangażowanie jako formę obrony uniwersalnych wartości. Stąd też biorą się coraz bardziej głośne i gwałtowne oskarżenia o nacjonalistyczną falę, która rzekomo miała – pod auspicjami PiS – wezbrać na niespotykaną dotąd skalę. Na tym tle konflikt polsko-izraelski i szukanie analogii między dzisiejszą sytuacją a antysemicką nagonką sprzed 50 lat wydają się już tylko postawieniem kropki nad i.

> Próby wpisania prawicy w dziedzictwo 1968 r. są kontynuacją prowadzonej przez część środowisk pomarcowych osobistej „wojny z polskim nacjonalizmem"

Z tej perspektywy wydaje się, że decyzja o nowelizacji ustawy o IPN zapadła nie w porę. I nie chodzi tu – moim zdaniem – o kształt tego czy innego artykułu, bo jakiekolwiek by one były, i tak ich nowelizacja – jako naruszająca paradygmat o współwinie Polaków za Holokaust – wywołałaby ostrą reakcję. Można było jednak zaczekać, lepiej wybadać nastroje i nie dostarczać paliwa wrogom prawicy przed rocznicą marca 1968 r. Już teraz PO słowami Rafała Grupińskiego zapowiada wniesienie poprawek do znowelizowanej ustawy, nie czekając nawet na jej ocenę przez Trybunał Konstytucyjny. Jeśli – co bardzo prawdopodobne – toczą się dzisiaj zakulisowe negocjacje z Izraelem, które mają doprowadzić do ugaszenia konfliktu (a pewne symptomy uspokojenia sytuacji już widać), to propozycja PO jest pokrzyżowaniem szyków rządowi. I to w przeddzień rocznicy Marca '68. Trudno interpretować to inaczej jak jako świadome sabotowanie działań zmierzających do uspokojenia sytuacji. Nieustający konflikt, nawet kosztem wizerunku Polski, jest ciągle – jak pokazały ostatnie dwa lata – podstawową strategią antypisowskiej opozycji.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Wyjaśnimy to bez wraku

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Do widoku tupolewa nr 102 na płycie lotniska w Mińsku Mazowieckim okoliczni mieszkańcy już się przyzwyczaili. Stoi tutaj od lat. Niektórzy traktują go nawet jak atrakcję turystyczną i na lokalnych portalach instruują, którędy pojechać na wycieczkę rowerową, by z pewnej odległości zobaczyć samolot. Nie jest to na pewno możliwe w taki dzień jak ten, w którym wjeżdżamy na teren 23. Bazy Lotnictwa Taktycznego. Mgła jest gęsta, miesza się ze smogiem, przychodzi na myśl aura, jaka panowała w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 r.

Do tupolewa trzeba podjechać kilkaset metrów, krążąc wśród hangarów. Na miejscu witają nas prof. Wiesław Binienda, zastępca przewodniczącego podkomisji smoleńskiej, i pracujący z nim ekspert Glenn Jorgensen. – Co tu się teraz dzieje? – pytamy. – Sami zaraz się przekonacie, gdy wejdziemy do środka – odpowiada profesor. Kolejnych kilka godzin spędzamy z amerykańskimi naukowcami z Narodowego Instytutu

eprasa.pl 0e6beb08e8

Jest już jasne, że Rosja nie odda nam wraku. Poradzimy sobie dzięki nauce i wsparciu z zagranicy, przy okazji wykonując prekursorski w światowej skali eksperyment. Oglądaliśmy ekipę amerykańskich naukowców skanujących każdy milimetr Tu-154M

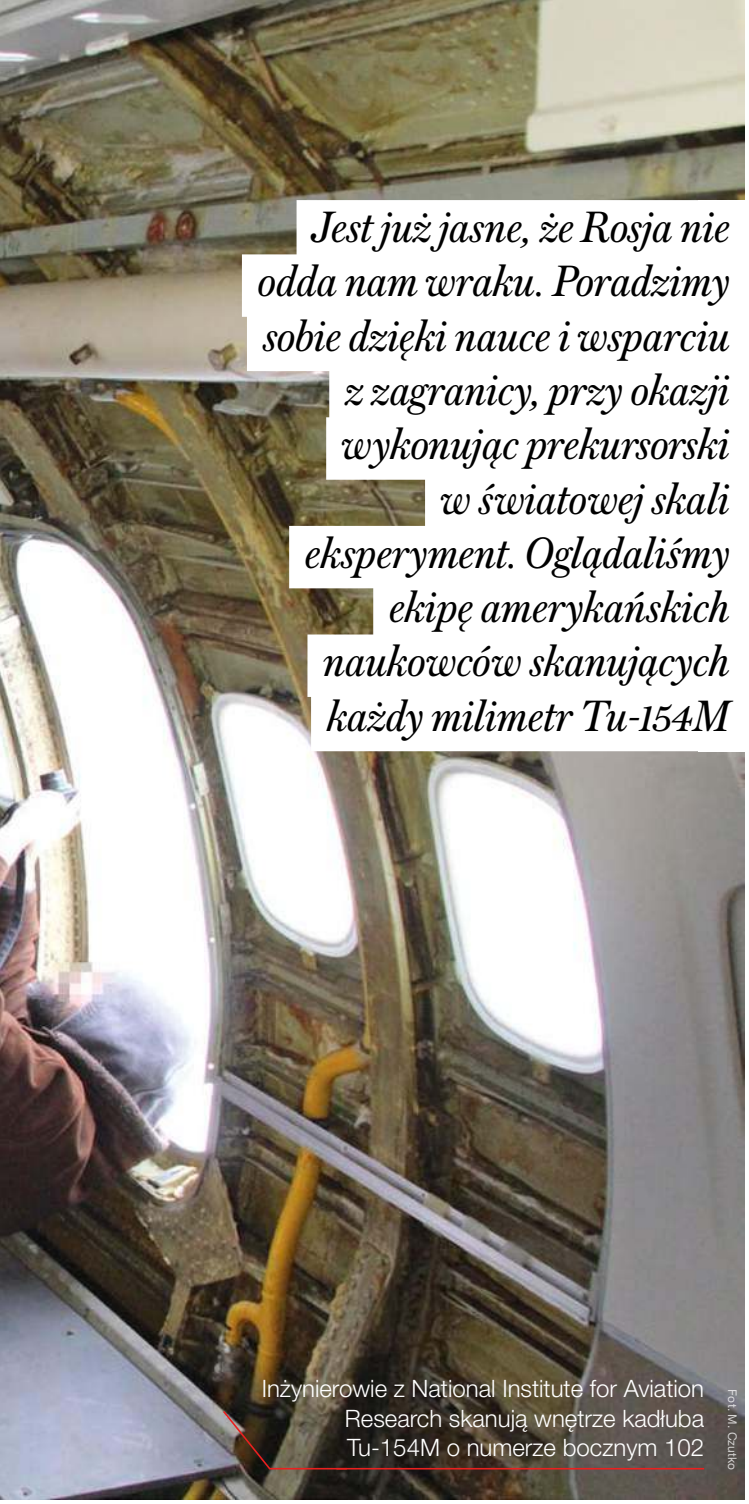

Inżynierowie z National Institute for Aviation Research skanują wnętrze kadłuba Tu-154M o numerze bocznym 102

Fot. M. Czutko

Badań Lotniczych (National Institute for Aviation Research, NIAR) skanującymi właśnie maszynę bliźniaczą do tej, która uległa katastrofie w Smoleńsku, a której wrak wciąż przetrzymują Rosjanie. Z tej przyczyny konieczne jest stworzenie jak najbardziej dokładnego modelu Tu-154M, który pozwoli na badanie przyczyn katastrofy bez dostępu do najważniejszego dowodu. Producenci lotniczy nie udostępniają rysunków technicznych, więc za pomocą pomiarów, a dziś również bardzo dokładnego skanowania, buduje się wirtualny trójwymiarowy model samolotu CAD (computer aided design – projektowanie wspomagane komputerowo) – śrubka po śrubce, ze wszystkimi najdrobniejszymi elementami.

Zanim jednak wejdziemy do „stodwójki", patrzymy na nią z pewnej perspektywy. Jeszcze kilka lat temu był to najważniejszy polski samolot, latali nim premierzy i prezydenci. Dzisiaj przedstawia żałosny widok. Nie dość, że „nielot", to widać po nim upływ czasu, widać, że od bardzo dawna stoi pod gołym niebem, zimą i latem, w słońcu, deszczu i śniegu. Pytamy dlaczego – wokół jest przecież kilka hangarów, w których można by go schować. – Bo do tej pory nie wydano decyzji pozwalającej na położenie kilkudziesięciu metrów asfaltu, by samolot przetoczyć pod dach – słyszymy. Otwieramy oczy ze zdumienia: – Przecież jesteśmy na terenie wojskowym, a przez ostatnie dwa lata ministrem obrony był człowiek, który stworzył tę podkomisję. Tupolew nr 102 ma być dla niej jednym z najważniejszych narzędzi. – Zgadza się, ale żołnierze przygotowują teren pod drogę dopiero teraz. Niebywałe...

NIT PO NICIE

Do samolotu dostajemy się po prowizorycznym trapie. Wnętrze robi nieco upiorne wrażenie, bo zdjęte są panele na ścianach i suficie, wszędzie widać wręgi, podłużnice i plątaninę kabli. Odgłosy pracujących ludzi dobiegają spod pokładu, dokąd prowadzi niewielki otwór w podłodze. Podczas lotu pasażer nie ma pojęcia, jaka pajęczyna go oplata. Przypadkiem okazuje się, że pasażerowie „stodwójki" byli narażeni na poważne niebezpieczeństwo. Badacze przeżyli szok, gdy odkryli, że maszyna – z wyjątkiem kokpitu – nie była wyposażona w maski tlenowe, automatycznie wypadające w przypadku rozhermetyzowania się kabiny. Nie było ich nawet w salonce prezydenckiej.

Częściowy demontaż wnętrza (wszystko prowadzone w taki sposób, by później móc idealnie odwzorować stan pierwotny) jest konieczny, by zeskanować każdą część samolotu, najdrobniejszą śrubkę i nit – w każdym pomieszczeniu i pod pokładem. Wykorzystywane jest do tego urządzenie warte 200 tys. euro, składające się z trzech elementów: skanera pracującego z dokładnością do tysięcznej części milimetra, stacji bazowej odbierającej z niego sygnały i przekazującej do komputera, w którym na bieżąco uzupełnia się obraz odwzorowywanej powierzchni. Dopiero taka „cyfrowa wersja" wnętrza w połączeniu ze skanem powłoki zewnętrznej (gdy przed wieloma miesiącami skanowano maszynę z zewnątrz, naniesiono na nią 10 tys. kropek – punktów odniesienia potrzebnych do wykonania pomiarów, „tutka" jest cała nimi upstrzona) pozwoli na zbudowanie naprawdę wiernego modelu i sprawdzenie, jak zachowuje się on przy usterkach, utracie fragmentów konstrukcji i jak się rozpada.

Do Polski na dwa tygodnie przyjechało pięciu naukowców z NIAR. Instytut mieści się przy stanowym uniwersytecie w Wichita, największej aglomeracji stanu Kansas. Miasto to jest nazywane „powietrzną stolicą świata" ze względu na zlokalizowane tam fabryki i ośrodki naukowe z branży. Jednym z nich jest właśnie NIAR. To największa instytucja naukowa zajmująca się badaniami i rozwojem przemysłu lotniczego w Stanach Zjednoczonych i jedna z wiodących na świecie. Kooperuje ze wszystkimi gigantami w tej i pokrewnych

eprasa.pl 0e6beb08e8

Widoczne na zdjęciach charakterystyczne zawinięcia blachy są – wg naukowców – dowodem na eksplozję w skrzydle

dziedzinach (od NASA, przez Boeinga, Embraera, Gulfstreama, Airbusa, po General Motors czy Siemensa).

Instytut podzielony jest na ponad 20 mniejszych jednostek – laboratoriów. Dwoma z nich (Crash Dynamics Lab i Computational Mechanics Lab – obejmującymi zagadnienia dynamiki zderzeń i mechaniki obliczeniowej) kieruje dr Gerardo Olivares, światowej sławy naukowiec z ponad 20-letnim doświadczeniem w komputerowym badaniu mechaniki zderzeń i rozpadu konstrukcji środków transportu. Jest autorem licznych publikacji naukowych i raportów zamawianych przez amerykański rząd czy Federalną Administrację Lotnictwa.

NAUKA, GŁUPCZE!

Pomoc z NIAR może się okazać nieoceniona dla polskich badaczy. W świecie lotniczym ta instytucja to marka sama w sobie. Pojawienie się jej stempla przy wnioskach końcowych z prac podkomisji (najszybciej poznamy je w 2019 r.) jest niezwykle cenne. Dlaczego Amerykanie zdecydowali się badać katastrofę, w której zginął polski prezydent?

– Najpierw o tej tragedii dowiadywałem się z mediów, oczywiście rzuciła mi się w oczy skala zniszczeń. Później przeczytałem oba oficjalne raporty i stwierdziłem, że one nie mają żadnego sensu, bo nie pokrywały się z tym, co widziałem na zdjęciach. Gdy więc pojawiła się okazja do zaangażowania naukowego naszego laboratorium, nie wahałem się ani chwili – mówi nam dr Olivares. Dopytujemy, czy nie miał wątpliwości albo wręcz nie odczuwał strachu, bo przecież w Polsce wszystko, co wiąże się ze Smoleńskiem, ma głęboki kontekst polityczny i wiele osób nie chce mieć z tym nic wspólnego, nasz rozmówca odpowiada: – W ogóle nas to nie interesuje. Jesteśmy naukowcami i podejmujemy się naukowych badań. Dla naszego instytutu to też wyzwanie i możliwość rozwoju. Bardzo chcemy w tym uczestniczyć. Tutaj jesteśmy w piątkę, ale w Stanach w tę sprawę zaangażowanych jest ponad 20 ludzi. Przed nami mnóstwo pracy przy tworzeniu wirtualnego modelu, składaniu go, opisywaniu charakterystyki materiałów.

Amerykanie przeanalizowali dostępne informacje o wszystkich katastrofach Tu-154 na świecie. – Nie było przypadku takich zniszczeń i takiego stanu ciał pasażerów w katastrofach bez wybuchu. To, że ok. 40 ofiar miało zdarte ubrania, nie daje się wytłumaczyć inaczej niż działaniem wielkiego ciśnienia wewnątrz kadłuba – mówi dr Olivares. Podkreśla przy tym, jak ważne będą wnioski płynące z badań sekcyjnych wykonywanych po zarządzonych przez prokuraturę ekshumacjach.

Badania obrażeń pasażerów są jednymi z podstawowych, jakie na co dzień prowadzi jego laboratorium. W przypadku katastrofy polskiego tupolewa będą one połączone z przyjrzeniem się wytrzymałości foteli z samolotu. To zadanie już trwa. Jest możliwe dzięki Glennowi Jorgensenowi, który wymontował ze „stodwójki" dwa rzędy siedzeń i wysłał do Kansas.

WYBUCHY W SKRZYDLE

Duński inżynier, od lat zaangażowany w wyjaśnianie tragedii smoleńskiej, opowiada nam również o wnioskach płynących z dotychczasowych analiz lewego skrzydła tupolewa, rzekomo przeciętego przez brzozę. Jest on autorem szczegółowego opracowania tej kwestii, stworzonego w ramach prac komisji.

eprasa.pl 0e6beb08e8

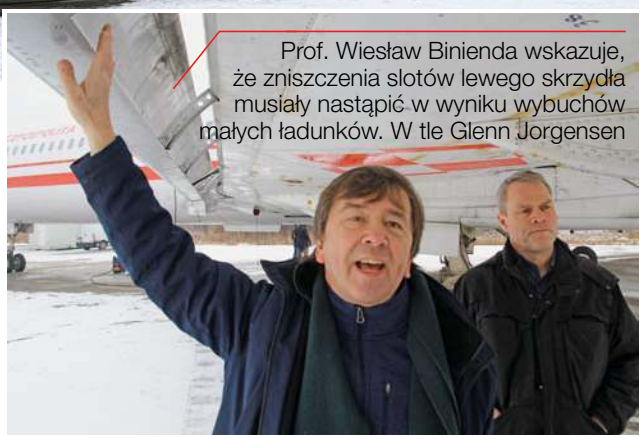

Prof. Wiesław Binienda wskazuje, że zniszczenia slotów lewego skrzydła musiały nastąpić w wyniku wybuchów małych ładunków. W tle Glenn Jorgensen

Fot. M. Czutko x2

– Linia cięcia nie pokrywa się z torem lotu samolotu. Ale dowodów na eksplozję w skrzydle mamy dużo więcej. Najmocniejszym są zawinięcia blachy z poszycia przekraczające 360 stopni. Doskonale widać je na zdjęciach przełomu skrzydła leżącego w Rosji. Takie zniszczenia były możliwe tylko w wyniku wysokiego ciśnienia od wewnątrz.

Jorgensen ze współpracownikami wykonał eksperyment. Niewielką ilość materiału wybuchowego (pentrytu) podłożono pod aluminiową konstrukcję odwzorowującą skrzydło. Blacha odkształciła się w identyczny sposób, jak widzimy to na zdjęciach ze Smoleńska. – Dodatkowo zrobiliśmy wiele badań – m.in. metodą CFD (computational fluid dynamics – numeryczna mechanika płynów) oraz w tunelu aerodynamicznym. Za każdym razem otrzymywaliśmy te same wyniki: gdyby zabrakło takiej części skrzydła jak w Smoleńsku, samolot straciłby jedynie 5–8 proc. udźwigu. Piloci mogli więc to skorygować.

Prof. Binienda dodaje: – Problem w tym, że zniszczono slot [czyli przednią, ruchomą część skrzydła – przyp. red.], i to w tak znacznym stopniu, że samolot nie miał szans dalej lecieć. Wszystko wskazuje na to, że ładunki wybuchowe znajdowały się w środku slotu.

Dodajmy do tego wielokrotne badania profesora metodą elementów skończonych wykazujące, że brzoza nie miała szans przeciąć całego skrzydła (nie tylko jego grubej na kilka milimetrów blachy, lecz również dźwigarów, żeber i podłużnic, dużo grubszych i mocniejszych od poszycia), i wiele poszlak wskazujących na wybuch, które aż krzyczą na zdjęciach ze Smoleńska (zamieszczamy je obok): podłużnice wygięte do góry zamiast do tyłu, wyrwane z poszycia nity, brak zadrapań i innych śladów styczności z drzewem na zagięciach blachy.

Dodatkowym argumentem przemawiającym za zniszczeniem skrzydła w wyniku eksplozji jest model fizyczny wykonany przez pracującego w komisji Tomasza Ziemskiego. Przeanalizował on tysiące zdjęć ze Smoleńska i przyporządkował większość z odłamków do ich miejsca w oryginalnej konstrukcji. Na tej podstawie wykonał fizyczny model miejsca przełamania w skali 1:5. Amerykanie przeskanowali go, powiększyli do skali 1:1 i nanieśli na wirtualny model skrzydła sporządzony na podstawie skanu skrzydła „stodwójki". Obie wersje pasowały co do centymetra. W pierwszym odruchu stwierdzili: „Tego modelu nie mógł zrobić człowiek, lecz komputer".

Właśnie dlatego przed kilkoma tygodniami napisaliśmy w „Sieci", że pewnego dnia Putin może się zdziwić, jak dokładnie da się zrekonstruować wrak, nie mając do niego dostępu.

NIAR będzie teraz prowadzić szczegółowe badania komputerowego modelu skrzydła.

DRZWI DO PRAWDY

Część wyników badań amerykańskiego instytutu podkomisja przedstawiła już w prezentacji 10 kwietnia 2017 r. Dowiedzieliśmy się wtedy, że drugie drzwi tupolewa zostały wyrwane z kadłuba potężną siłą i wbiły się w ziemię na głębokość niespełna metra. Szczegółów wówczas nie podano. W ubiegłym tygodniu dr Olivares przedstawił nam krok po kroku proces badawczy prowadzący do tego wniosku.

Analizę zarządzono po odnalezieniu fotografii przedstawiającej tę część samolotu w smoleńskiej ziemi. Na zdjęciu widać, jak głęboko się zapadła i jakim uległa zniszczeniom, a także jak duży krater wyrzeźbiła w glebie. Zeskanowano każdą warstwę drzwi, podano charakterystykę wszystkich materiałów (na slajdach oglądamy każdy etap tego doświadczenia), z jakich są wykonane, i zatrudniono do pracy komputer. Dzięki temu ustalono gęstość podłoża i prędkość, z jaką musiał lecieć przedmiot ważący 77 kg. – Przeanalizowaliśmy różne opcje. Większa prędkość i twardsza gleba, także mniejsza prędkość i gleba rozmiękczona. Tylko w jednej konfiguracji parametrów nasz model miał zniszczenia takie jak na fotografii – opowiada dr Olivares, pokazując tabele z obliczeniami. Wynika z nich, że drzwi, by wbić się w ziemię na głębokość 69 cm, musiały spadać z prędkością poziomą 20 m/s i pionową 100 m/s, a więc ok. 10 razy większą niż opadający wówczas samolot. Tupolew był już wtedy obrócony. Drzwi, które były „na dole", zostały niejako wstrzelone w ziemię, te umiejscowione po drugiej stronie odleciały w górę i spadły dalej od zasadniczej części wraku. – Energia nie bierze się

eprasa.pl 0e6beb08e8

Drugie drzwi Tu-154M wbiły się w ziemię na głębokość aż 70 cm. Wg ekspertów z USA można to wytłumaczyć tylko eksplozją w kadłubie

z niczego, coś tym elementom musiało nadać dodatkowy pęd, według nas był to wybuch – tłumaczy naukowiec. Tę tezę wspierają inne ustalenia. Epicentrum miałoby się znajdować tuż przed opisywanymi drzwiami, na co wskazuje sposób wyrwania ich z kadłuba, a także dużo poważniejsze od innych obrażenia ciał pasażerów, którzy znajdowali się najbliżej miejsca eksplozji.

CIERPLIWIE Z RAPORTEM

Gdy tylko pojawiły się pierwsze informacje o badaniach w Mińsku Mazowieckim, szybko odezwali się współpracownicy Macieja Laska. W pierwszych reakcjach w mediach społecznościowych podważali nawet wiarygodność naukowców z NIAR, ich metodologię pracy, a zatem działania NASA i największych firm przemysłu lotniczego. Ze strony tych niezmordowanych hochsztaplerów nie sposób się spodziewać czegoś innego. Byle tylko bronić swoich kłamstw, są gotowi na wszystko. Szkoda, że wcześniej nie zrobili nic, by wyjaśnić katastrofę polskiej elity.

Dotychczas wiele przedsięwzięć podkomisji smoleńskiej było owianych tajemnicą, co z jednej strony skłaniało do spekulacji i pozwalało ośmieszać jej prace, a z drugiej – powodowało poczucie, że niewiele się w sprawie dzieje. To nieprawda, choć niektóre momenty swoistej inercji i absurdalnych blokad są doprawdy niezrozumiałe. Trudno uwierzyć, że eksperci zaangażowani w wyjaśnianie jednej z największych tragedii współczesnej Polski potykają się o takie bzdury jak wspomniana wcześniej droga do hangaru czy rzeczy nawet drobniejsze. Usłyszeliśmy m.in. gorzką opowieść o przedłużaczu, którego jeden z żołnierzy nie chciał dostarczyć szefostwu komisji, bo... nie miał tego w rozkazie. Właściwie ułożona hierarchia w wojsku to jednak sprawa kluczowa...

Badania podkomisji wkraczają w fazę decydującą, w pewnym sensie można nazwać obecny moment przełomowym, choć do końca jeszcze naprawdę długa droga. Do ósmej rocznicy niezbędne badania nie mają szans się zakończyć,

Fot. M. Czufko

nie będzie więc można ich ująć w zapowiadanym raporcie. Bez tych prac nie powstanie końcowy dokument. W kwietniu możemy się więc raczej spodziewać pewnego sprawozdania z dotychczasowych analiz i wskazania, czego jeszcze brakuje. Warto tę pracę dokończyć cierpliwie i solidnie. Tym bardziej, że nawet rodziny ofiar podkreślają, iż czas nie ma już takiego znaczenia, ale liczy się przede wszystkim wiarygodność badań.

A tę niesłychanie wesprze autorytet jednej z najważniejszych amerykańskich jednostek naukowych. Na dniach ma wreszcie zostać podpisana oficjalna umowa z NIAR na zasadniczą część analiz (znów można postawić pytanie: dlaczego dopiero teraz, skoro współpraca z ośrodkiem z Wichita zaczęła się przed rokiem?). Gdy już wiedzą publiczną jest, jak fundamentalne to badania, trudno sobie wyobrazić, by coś mogło w tym przeszkodzić.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Prawa strona zbyt często narkotyzuje się sondażami, jest nimi uśpiona. A przecież była już taka jedna ekipa w Polsce, która postawiła wszystko na sondaże

Fot. Fratria

Potrzebne otrzeźwienie

Z Marcinem Mastalerkiem, byłym rzecznikiem Prawa i Sprawiedliwości, rozmawia Marcin Fijołek

Wraca pan? Mówi się, że pana powrót do mediów to początek jakiejś gry politycznej, na której końcu jest powrót do polityki.

Marcin Mastalerek: Nie rozpocząłem gry politycznej, a na dziś nie planuję powrotu do polityki. Bardziej występuję w roli życzliwego komentatora, dlatego że serce mam po prawej stronie. Jestem związany ze środowiskiem PiS, z prawicą od pierwszego roku studiów. Życzliwości nie można jednak mylić z potakiwaniem czy wazeliniarstwem. Ja z życzliwości szczerze mówię to, co uważam za prawdziwe, nawet gdy czasami ktoś może to wziąć za przejaw krytyki.

A czy w tym sercu po prawej stronie ma pan żal do PiS? Ludzie prawicy robią kariery, trafiają do ministerstw, komisji, a współtwórca dwóch zwycięskich kampanii z roku 2015 na aucie.

Żałować to można skrzywdzonych zwierząt, ale polityka? To jest twarda gra dla dużych chłopców i dużych dziewczynek. Tutaj na żal nie ma miejsca.

Ja tam pana nie żałuję, bo to prawda, że taka jest polityka, ale pytam, czy pan ma żal. Gdy przez rok haruje się w kampanii, to później dość powszechne jest oczekiwanie, że człowieka nie wypchną z obozu. Dlaczego do tego doszło?

Nie mówiłem o kulisach i kuchni politycznej wtedy, nie będę i dziś. Na takie zwierzenia musi być odpowiedni moment. No i jest taka stara zasada Bismarcka: grzeczność aż do stóp szafotu. Ja się do tej zasady stosuję. [śmiech] Myślę, że niewielu było takich, którzy zachowaliby się tak jak ja w tamtej sytuacji. Większość polityków prawej strony po tym, gdy odchodzili lub kiedy zostali zmuszeni do odejścia, chodziło po mediach i w bardzo mocnych słowach atakowało swój dotychczasowy obóz. Jedni robią to do dzisiaj, ale są też tacy, którzy mimo że

eprasa.pl 0e6beb08e8

ostro krytykowali PiS i personalnie samego Jarosława Kaczyńskiego, to dzisiaj mają się bardzo dobrze i sprawują bardzo eksponowane stanowiska. Obie te postawy są mi obce.

Poczekamy zatem na pamiętniki. Ale i bez pana PiS sobie radzi dość dobrze – sondaże najwyższe w historii, w niektórych badaniach poparcie dwa–trzy razy większe niż pozostałych partii. Idą po drugą kadencję?

Powiem to ze szczerej troski: prawa strona zbyt często narkotyzuje się sondażami, jest nimi uśpiona. A przecież była już taka jedna ekipa w Polsce, która postawiła wszystko na sondaże. Na początku kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy obok swojego biurka powiesiłem wydruk z sondażu, w którym Andrzej Duda miał 12 proc. poparcia, a Bronisław Komorowski ponad 50 proc. Dzisiaj politycy obozu dobrej zmiany powinni o tym pamiętać. Tymczasem wielu z nich upaja się – czy jak powiedziałem wcześniej: wręcz narkotyzuje się – sondażami. Ten bożek, jakim stają się sondaże, jest też niebezpieczny z innego powodu. Jeśli ludzie trwale uwierzą, że te sondaże są sprawdzone i bardzo wiarygodne, to gdy przyjdzie kampania, bardzo łatwo będzie grać sondażami i manipulować nimi, puszczając także słabsze sondaże, tak by ludzie żyli w przekonaniu, że obóz rządowy traci poparcie.

Na czym polega to narkotyzowanie się sondażami na prawicy?

Stan narkotyzowania się polega na tym, że potrzebujemy tej substancji – w tym przypadku sondaży – coraz więcej i częściej, uzależniamy się od tego i nie myślimy trzeźwo. A trzeba mieć chłodną, trzeźwą głowę, by nie dać się uśpić. Mam swoją małą tezę – że wiele działań politycznych lub brak tych działań wynika właśnie z sondaży. To powoduje również, że w obozie rządowym nie ma działań proaktywnych, a są głównie reaktywne.

Co ma pan na myśli?

Co z tego, że ktoś przygotuje nawet dobre technicznie spoty, gdy będą one zaledwie odpowiedzią na sytuację kryzysową w dodatku spóźnioną o wiele dni? W dzisiejszym świecie w takich sytuacjach liczą się już nie dni, ale godziny. Liczy się to, komu w ciągu pierwszych godzin uda się narzucić swoją narrację, swoją interpretację jakiegoś wydarzenia czy decyzji. Spójrzmy nawet na ostatnie zamieszanie związane z ustawą o IPN. Przecież od ponad roku działa Polska Fundacja Narodowa, w tej chwili z ponad 200-milionowym stanem na koncie, która miała się zajmować szeroko pojętym wizerunkiem Polski na świecie. Paradoksalnie to PFN dzisiaj pilnie potrzebuje agencji PR, która zajmuje się zarządzaniem kryzysowym i zajmie się nadszarpniętym wizerunkiem fundacji. Ten przypadek pokazuje, że można mieć dużo pieniędzy, wszelkie instrumenty do prowadzenia kampanii promujących Polskę, a na końcu, mówiąc językiem Stalina, o wszystkim decydują kadry. Brakuje też odpowiedniego timingu wynikającego z opracowanej strategii, tzn. ustalenia, co i kiedy wrzucamy na agendę polityczną. Tak jakby zwyciężyło przekonanie, że 500+ załatwi wszystko, załatwi wysokie poparcie, i to na zawsze.

> Niech nikt na prawicy nie liczy na to, że PO, Nowoczesna czy lewica będą się tak kłóciły, jak kłócą się dzisiaj. Przestrzegam: oni pójdą razem

Czy dobrze pana rozumiem: nawet na Nowogrodzkiej pojawiają się pokusy, by wejść w buty Donalda Tuska i zrobić pisowską wersję ciepłej wody w kranie?

Myślę, że Jarosław Kaczyński dostrzega to zagrożenie. To raczej problem współpracowników prezesa, nad którymi góruje intelektualnie. Poza tym mamy dość powszechne przekonanie na prawicy, że opozycji nie ma, i to też działa demotywująco do proaktywnych działań.

A jest? Rozbita PO nie potrafi przedstawić szkicu programu, Nowoczesna dryfuje gdzieś na marginesie, PSL drży przed wyborami samorządowymi, Kukiz'15 to raczej ruch sprzeciwu wobec wszystkiego, a o lewicy zafiksowanej na sprawach aborcji szkoda nawet gadać.

Wszystko to prawda. Ale przyjdzie taki moment przed kampaniami, gdy mainstream, establishment III RP przestanie prowadzić frakcyjne walki w opozycji. Zobaczy pan: będzie pełna konsolidacja. Niech nikt na prawicy nie liczy na to, że PO, Nowoczesna czy lewica będą się tak kłóciły, jak kłócą się dzisiaj. Pójdą po rozum do głowy albo do tego zostaną przymuszeni. Poza tym zbyt często zapominamy, że to są dalej silni ludzie. Tam są wciąż duże pieniądze, a interesy nie tylko w Polsce, lecz i za granicą. Przestrzegam: oni pójdą razem. Prawdopodobnie Donald Tusk będzie zachęcany przez elity – w tym te brukselskie – by wracał i w jakiś sposób działał. Przeciwnik będzie potężny.

Jak duże to środki? Czy po tych dwóch latach układ sił się wyrównał? W 2015 r. to był pojedynek Dawida z Goliatem – przynajmniej przy pojedynku Duda–Komorowski. Europoseł PiS kontra cała machina III RP: finansowa, instytucjonalna. A dziś? Szanse się wyrównały?

Prawica uzyskała kilka przyczółków, które trochę wyrównują rywalizację polityczną, ale zasoby instytucjonalne, medialne, finansowe, także koneksje międzynarodowe, czyli ten kapitał gromadzony przecież przez wiele lat, jest cały czas większy po stronie liberalno-lewicowej. Mam wrażenie, że niektórzy dziś odreagowują porażki, które przez lata ponosiła prawica, i myślą, że zwycięstwa będą przychodzić same, bez wysiłku, ot tak sobie. Nie, one nie przyjdą same. Nasze dwa zwycięstwa w 2015 r. wzięły się z dobrej strategii i ciężkiej wielomiesięcznej

eprasa.pl 0e6beb08e8

pracy, by ją skutecznie wdrażać w życie. Wiele osób jednak, które dzisiaj piastują wysokie stanowiska, nie było zaangażowanych w tamte zwycięskie kampanie, dlatego zwyczajnie nie wie, jak ciężką pracę wykonaliśmy.

Dziś wielu ma przekonanie, że to będzie spacerek. Mecz z przeciwnikiem z trzeciej ligi, grającym oldbojami.

Ktoś, kto nie był w kampanii wyborczej, nie uczestniczył w niej, może tak myśleć. Tymczasem niekiedy jedno, nawet z pozoru małe wydarzenie, potrafi zresetować cały układ sił.

Dziś ten układ sił – przynajmniej polityczny – jest wyraźnie na korzyść PiS.

To prawda. Zwróćmy jednak uwagę na to, że opozycja jest w takim momencie strukturalnym, w jakim PiS było też dwa lata po przegranych wyborach. A każda opozycja po przegranych wyborach potrzebuje czasu na przegrupowanie się, na jakieś walki frakcyjne. Tak było również w 2009 r. w szeregach PiS, tak było w 2013 r. Pamiętam te czasy i proszę mi wierzyć: przyjdzie taki moment przed kampaniami, gdy jednak mainstream, establishment przestanie prowadzić frakcyjne walki w opozycji, będzie pełna konsolidacja.

Pana zdaniem Kaczyński jest świadomy powagi sytuacji? Czy może jest jak w przypadku Tuska, gdy każda decyzja polityczna była poprzedzona sondażem?

To zupełnie inna sytuacja niż w przypadku Donalda Tuska – Jarosław Kaczyński jest bardzo mocno odporny na moc i urok sondaży. Uważam, że jego problem nie dotyczy, bo on zdaje sobie z tego sprawę. Tu chodzi bardziej o otoczenie polityczne, także część prawicowych publicystów... Liczę na to, że przyjdzie otrzeźwienie.

Duża część środowisk opozycyjnych miała nadzieję na to, że rządy Zjednoczonej Prawicy będą znów na chwilę; że jak w latach 2005–2007 wszystko rozpadnie się po dwóch latach. Na to się nie zanosi. Wygląda na to, że to władza na dłużej.

To prawda. To ważny sukces obozu, na który składa się wiele przyczyn. Po pierwsze, dotrzymano słowa, co na tle PO i poprzednich rządów jest czymś niespotykanym oraz bardzo dobrze odbieranym przez społeczeństwo. Mam na myśli te wszystkie transfery socjalne, politykę społeczną, do tego wyraźne sukcesy w ściąganiu VAT. Po drugie, to fakt, że opozycja jest słaba. A po trzecie – last, but not least – to polityka prezydenta Dudy. Proszę zwrócić uwagę, że notowania obozu wzrosły po lipcowych wetach. Marka prezydenta jest dziś największą wartością obozu dobrej zmiany.

Dałoby się coś poprawić?

Nie ma dobrej komunikacji, nie ma dobrego PR. Przy lepszej komunikacji i koordynacji w tym zakresie poparcie społeczne byłoby jeszcze wyższe, trwalsze i stabilniejsze. My w kampanii mieliśmy wszystko przemyślane. Nawet nasi reprezentanci w mediach nie byli przypadkowi. Dysponowaliśmy odpowiednimi badaniami i na tej podstawie jedni politycy chodzili do mediów, inni mieli się od nich trzymać z daleka. Wystarczy, że porównam to z tym, kto dzisiaj reprezentuje PiS w mediach, i widzę, że tamte reguły już nie obowiązują. Pamiętajmy także, że w polityce liczy się wiarygodność. To jest rzecz bardzo ważna. Proszę mi jednak powiedzieć, jak zachować wiarygodność na Śląsku, np. przed górnikami i ich rodzinami, kiedy osoba, która w rządzie Ewy Kopacz odpowiadała za program likwidacji kopalń, była w ostrym sporze z nami i górnikami, już za rządów PiS została mianowana do zarządu największej spółki energetycznej, spółki skarbu państwa. Przecież ludzie widzą to, przecierają oczy ze zdumienia i pytają z oburzeniem: co to PiS wyprawia?

Czyli pana zdaniem szklany sufit dla PiS to nie 30 proc., jak kiedyś mówiono, nie 50 proc., jak myśli się teraz, ale...?

Sky is the limit. Choć PiS znowu popełnia błąd, zbyt wysoko windując oczekiwania elektoratu. Po co politycy PiS publicznie tak wielką wagę przywiązują do zwycięstwa w Warszawie? Po co publicznie mówią, że to dla partii bardzo ważne, że to kluczowa sprawa? Przecież wygrać w Warszawie będzie trudno i lepiej zaskoczyć wszystkich stwierdzeniem, że nikt nam nie wróżył sukcesu, a nasz kandydat wygrał, niż narazić się na medialny ostrzał pt. „Spektakularna porażka PiS w stolicy" czy podobne.

Przed nami wybory samorządowe. Ile PiS musi odbić sejmików wojewódzkich, by uznać je za sukces?

Słusznie mówi pan, że tutaj obok miast wojewódzkich kluczowa będzie liczba zdobytych sejmików wojewódzkich, a nie procenty wyborcze. Gdyby Platformie udało się odbić 8–10 sejmików, myślę, że PiS mogłoby uznać wybory za sukces. Zwracam tylko uwagę, że ten maraton wyborczy zaczyna się dla PiS od najtrudniejszych dla prawicy wyborów, bo samorządowe zawsze były najtrudniejsze. Pamiętam, że kiedy w 2014 r. byłem szefem PiS w województwie łódzkim, to po dobrej kampanii i ciężkiej pracy mieliśmy czterech prezydentów miast, gdy wcześniej nie mieliśmy żadnego. W tych samych wyborach na bardzo prawicowym Podkarpaciu tylko jeden kandydat PiS został prezydentem miasta. To pokazuje, że nawet w trudnych warunkach można wygrywać. Te wybory będą też trudne dla PiS z innego powodu. Po zmianach w ordynacji wyborczej to w dużej mierze także na rządzie będzie spoczywać sam proces organizowania wyborów. Tym razem PiS nie będzie mogło atakować rządzących, że PKW źle działa, że opóźnia się ogłoszenie wyników wyborów, że w trakcie głosowania czy liczenia głosów dochodziło do nieprawidłowości lub fałszerstw.

Powiedzą, że Mastalerek się tu dziś mądrzy, bo chce wrócić.

Mówiłem już panu na początku, że na dzisiaj nie mam takich planów.

A na jutro?

Odpowiem, parafrazując bohatera jednego z polskich filmów: wrócę do polityki dopiero, jak wrócę z Radomia.

A kiedy pan tam jedzie?

Nie wybieram się.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Kto się boi normalizacji?

Gdyby opozycja zmieniła narrację i zachowanie na łagodniejsze, mogłaby zapoczątkować procesy bardzo niekorzystne dla obozu władzy. Ale jest na to zbyt histeryczna. I chyba również po prostu za głupia

PIOTR SKWIECIŃSKI

Kiedy w Warszawie w proteście przeciw rządom PiS spalił się Piotr Szczęsny, Ivan Krastev, bardzo znany politolog (przy tym zdecydowanie przeciwny PiS i generalnie temu, co określa jako przelewającą się po zachodnim świecie falę populizmu), napisał w „New York Timesie", że to działanie było nie tylko nieskuteczne, lecz wręcz przeciwskuteczne. Prawu i Sprawiedliwości bowiem właśnie, paradoksalnie, służy jego zdaniem „zachowywanie się tak, jakbyśmy żyli w Niemczech lat 30. lub we wschodniej Europie okresu komunizmu". A to dlatego, że zdaniem Krasteva „populizm kwitnie, gdy polityka zaczyna dotyczyć bardziej symboliki niż treści", a „populistyczni wyborcy – w Polsce i gdziekolwiek – łatwo wybaczą swoim liderom nieefektywność w rządzeniu, nawet zmianę kursu. Ale nie zniosą, jeśli ich populistyczni krzyżowcy zaczną zachowywać się jak »normalni politycy«".

Tak uważa Krastev, podkreślając, że rządy, których nie cierpi, są mimo wszystko demokratycznie wybrane i nikogo nie mordują. Pyta, czy „największym zagrożeniem dla Europy jest »normalizacja« populistów (pod tym pojęciem rozumie on niechętną akceptację rządów nielubianych przezeń partii), czy też powinniśmy obawiać się również histerii wrogów populizmu?". A swoje wywody wieńczy konkluzją, że w latach 70. młodzi niemieccy lewicowi radykałowie byli do tego stopnia ogarnięci obsesją, że nie ma większych różnic między nazistowskimi Niemcami a powojenną RFN, iż na skutek tego głębokiego błędu w ocenie sytuacji skończyli jako terroryści i wrogowie demokracji.

Innymi słowy Krastev podpowiada polskiej opozycji, aby w dobrze pojętym własnym interesie stonowała narrację; aby przestała być totalna, wtedy (zapewne nie od razu) twardy elektorat PiS zacznie pękać.

Opozycja jednak wyraźnie nie czytuje Krasteva. Za to Jarosław Kaczyński zachowuje

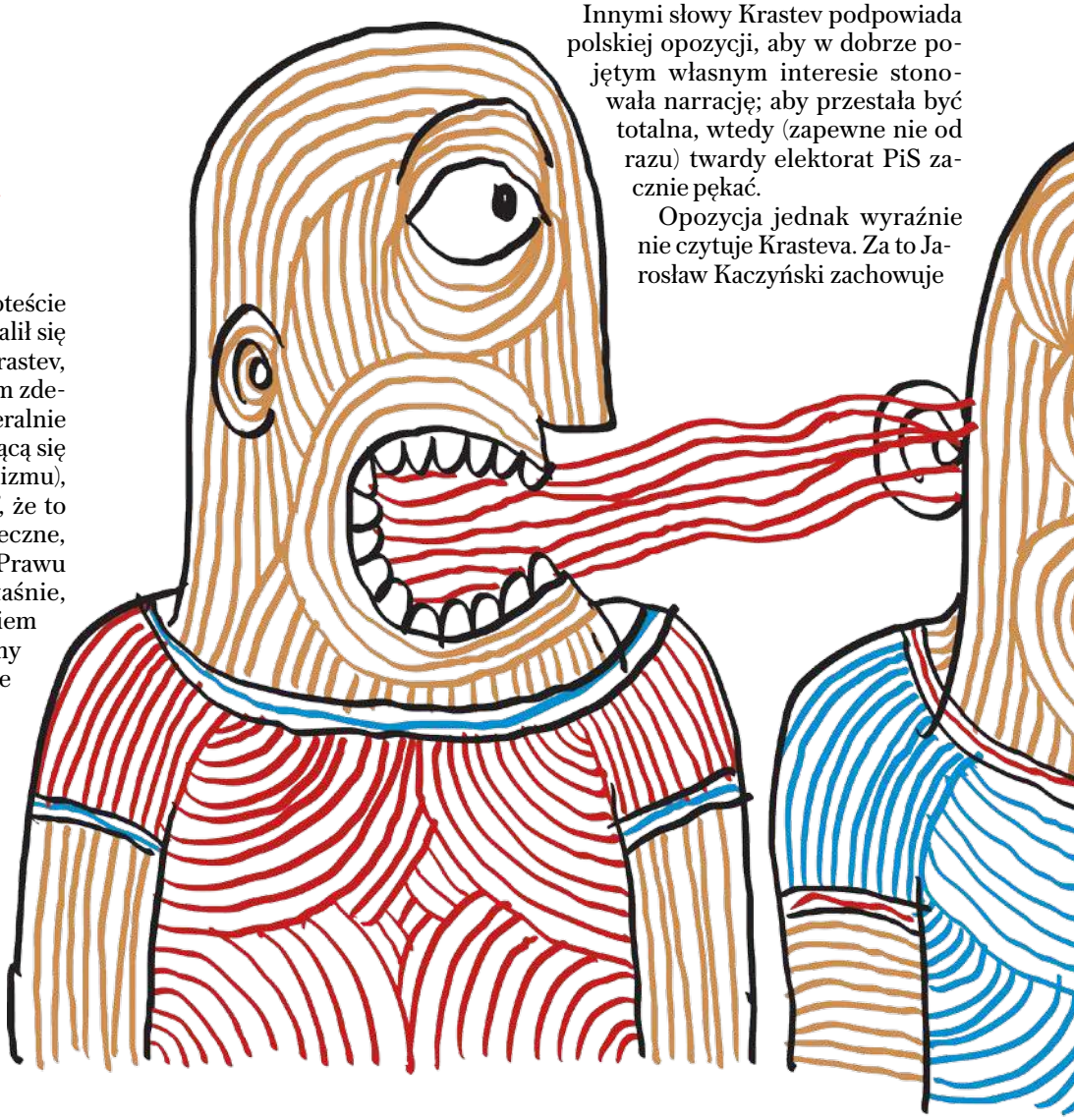

eprasa.pl 0e6beb08e8

się tak, jakby kierował się (oczywiście à rebours) jego wskazaniami.

W czym nie byłoby nic wstydliwego, bo Krastev ma rację.

„SWÓJ–OBCY"

Ma rację, wychwycił bowiem charakterystyczną cechę twardego rdzenia elektoratu i PiS, i w ogóle polskiej prawicy (teraz te pojęcia praktycznie zawierają się w sobie, ale nie zawsze tak było). Otóż ten rdzeń dysponuje specyficznym systemem rozpoznawania „swój–obcy". „Swoi" to ci, w których walą TVN i „Wyborcza". „Obcy" – ci, w których nie walą, a już zwłaszcza ci, których te media traktują w sposób demonstracyjnie lepszy.

Przy czym nawiasem dodajmy, że ten system potrafił być efektywny, bo rzeczywiście można wymienić kilka sytuacji z niedawnej przeszłości, kiedy taka zmiana tonu wobec pewnych polityków czy ekspertów sygnalizowała rychłą zmianę ich usytuowania na scenie publicznej. Choć oczywiście bywał to też element mechanizmu samonapędzającego się, w którym potępionych jako odstępcy do rzeczywistego odstępstwa popychało właśnie przedwczesne potępienie. Ale tak czy owak zmiana tonu TVN jako narzędzia dekomponowania formacji IV RP wielokrotnie udowodniła swoją skuteczność.

I tak być może stałoby się teraz, gdyby opozycja potrafiła zrealizować sugestie Krasteva. Rdzeń elektoratu PiS wierzy w tę partię dlatego, że uważa ją za wyraziciela własnych negatywnych emocji wobec elit III RP. Widoczna nienawiść drugiej strony, jej wojenna retoryka i praktyka wobec PiS utwierdza tę część elektoratu w przekonaniu o autentyczności własnych liderów, o prawdziwości łączących ich z tą częścią elektoratu więzów. Zmiana tej retoryki i tej praktyki zakłóciłaby świat rdzeniowego zaplecza PiS. Wprowadziłaby dezorientację i nieufność.

Oczywiście byłyby także odmienne efekty takiego fenomenu. Z jednej strony zmalałby mobilizacyjny potencjał opozycji, ale z drugiej – obozu rządzącego również. Elity IV RP poczułyby się ostatecznie pewnie. Uznałyby, że wreszcie siedzą mocno w siodle. Od czego niebezpiecznie blisko do przeświadczenia, że ewentualna wyborcza porażka PiS (trudno ją sobie teraz wyobrazić, ale do wyborów jeszcze prawie dwa lata) wcale niekoniecznie musi oznaczać zagrożenie ich życiowych pozycji. Co także sprzyjałoby procesom dekompozycyjnym.

OPERACJA OSŁONOWA

Fundamentalne fakty polityczne rzadko mają tylko jedną przyczynę, z reguły jest ich kilka, splecionych z sobą. Dotyczy to również twardego kursu przyjętego przez polskie władze w narzuconym im konflikcie z Izraelem. Ów kurs motywowany był koniecznością obrony polskiej podmiotowości w warunkach próby narzucenia nam obcego dyktatu, i to była w oczywisty sposób przyczyna najważniejsza. Inną była pewna cecha Jarosława Kaczyńskiego, który jest mistrzem wytrzymywania nacisków i dekoniunktury, sytuacji oblężenia. Ta jego umiejętność w największym chyba stopniu zdecydowała o tym, że w końcu, tylekroć uznawany za skazanego na polityczną

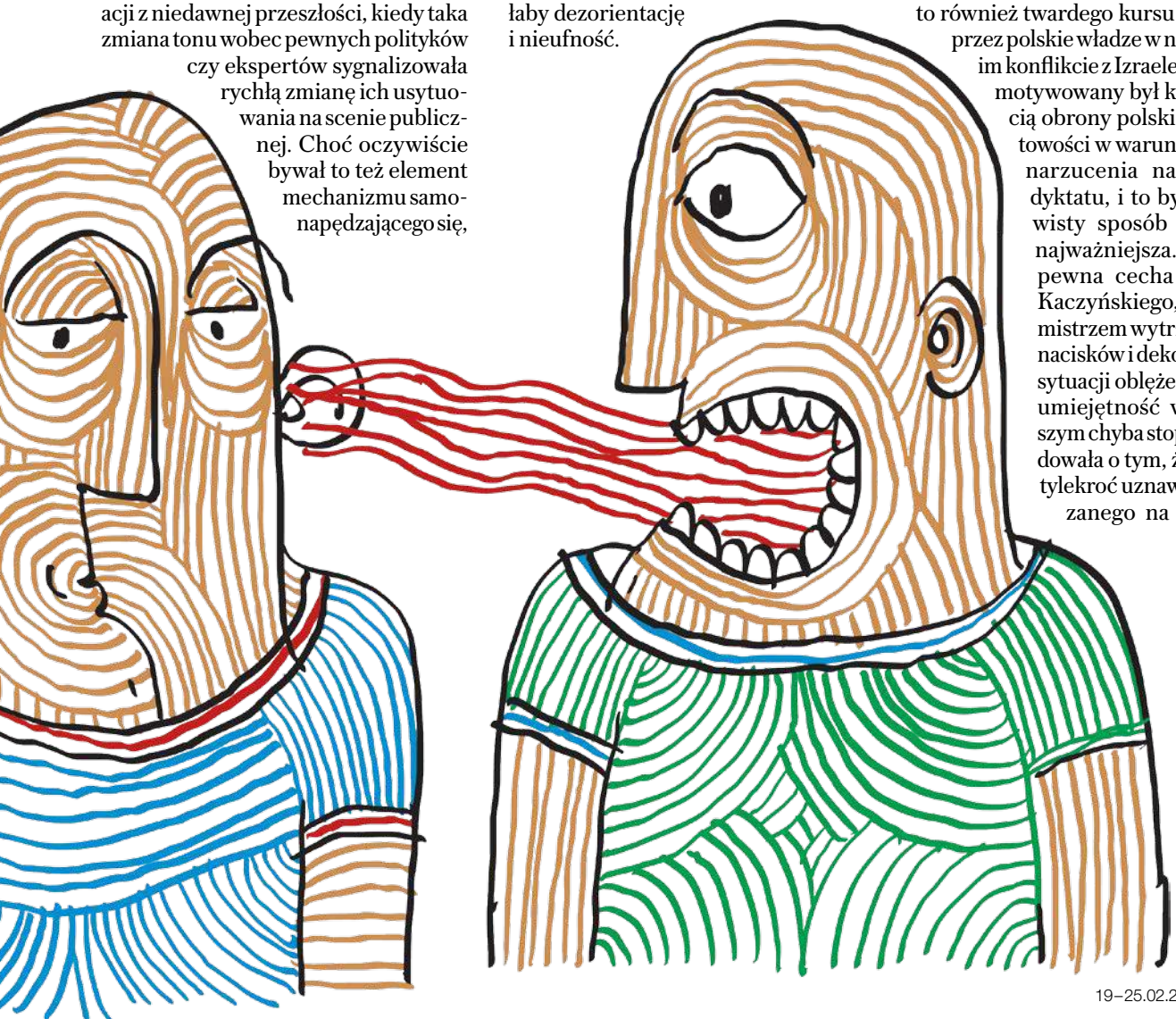

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0e6beb08e8

zagładę, odniósł zwycięstwo. Ta cecha i to doświadczenie z pewnością skłania prezesa PiS do przyjmowania w wielu sytuacjach taktyki jednoznacznego, twardego oporu.

Ale można postawić hipotezę, że była jeszcze inna przyczyna. Kilka tygodni temu pisałem na tych łamach o generalnej zmianie linii pisowskiej władzy. O manewrze mającym na celu wyhamowanie rewolucji na etapie głębokiej reformy.

Objawy tego manewru muszą wzbudzać niepokój radykalnego rdzenia zaplecza i elektoratu pragnącego – odwrotnie – pogłębienia rewolucji. Dymisja Antoniego Macierewicza, potem błyskawiczne wyczyszczenie „do spodu" MON i podległych temu resortowi spółek z jego ludzi, wcześniejsze usunięcie swojskiej Beaty Szydło i zastąpienie jej światowym Mateuszem Morawieckim, ogólna zmiana tonu, złagodzenie propagandy – to się radykalnemu rdzeniowi podobać nie może.

A skoro tak, to błyskawiczne przyjęcie przez Kaczyńskiego bardzo twardej linii w momencie, w którym nagle Polska stała się obiektem niespodziewanego ataku (że niespodziewanego, to inna rzecz, i ta nieświadomość chluby pisowskiej władzy nie przynosi), a jeszcze bardziej bezpośrednio potem, kiedy zdecydowano nie szukać kompromisu na etapie prac senackich, może mieć jeszcze jeden aspekt. Może być uznane za działanie osłonowe wobec opisanego wyżej manewru. Za (skuteczną) próbę przekonania tej części zaplecza i elektoratu, że tak naprawdę nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o rzecz dla tej części zaplecza i elektoratu najważniejszą. Ta rzecz to stan konfliktu ze złym światem. Konfliktu będącego przejawem i sprawdzianem czystości toczących go „naszych". Konfliktu będącego wartością samą w sobie. Konfliktu, bez którego świat traci sens.

Wojna z Izraelem i amerykańskimi organizacjami żydowskimi przywróciła światu ów sens. Dowiodła, że „nasi" nie wycofali się z wojny przeciw antypolskim siłom – i tym wewnętrznym, i tym zewnętrznym. Rozproszyła niepokój i rozgoryczenie.

Spowodowała coś jeszcze – pozwoliła na zmobilizowanie „naszych". Jak to określił pewien intelektualista z formacji IV RP, po raz kolejny poczuł się jak „biały" z powstania styczniowego. Czyli nie chciał wybuchu tego konfliktu, uważał jego wywołanie za przynajmniej w części efekt błędu i nieudolności „naszych", ale skoro wojna już wybuchła, to przecież patriotycznym obowiązkiem jest stanąć po stronie ojczyzny. Po raz kolejny po żołniersku stanąć pod sztandarem...

> Awersja do tego, co jest nazywane populizmem, częściej oznacza realnie niechęć beneficjentów systemu do dokonania w nim zmian niż mądrą powściągliwość

Raz jeszcze – to nie jest przyczyna najważniejsza; najważniejsza była realna sytuacja dyktatu i konieczność przeciwstawienia się mu. Ale gdzieś w dalszej kolejności była, sądzę, również kalkulacja, że radykalny rdzeń elektoratu powinien otrzymać sygnał równoważący ostatnie inne, złe dla niego informacje.

TO STRASZNE SŁOWO NA „P"

„Populistami" Krastev nazywa PiS. To w jego języku epitet. Używany, dodajmy, bez sensu. Populista bowiem to polityk, który eksploatuje prawdziwe problemy dla uzyskania poklasku tłumów, ale problemów tych nie rozwiązuje. Tymczasem PiS ma swoje diagnozy dotyczące tego, co w Polsce było i jest złe, i te systemowe diagnozy aplikuje, starając się głęboko zmienić państwo. Nie znaczy to, że zawsze ma rację, ale ugrupowaniem populistycznym nazwać go nie sposób.

Choć z drugiej strony... Można się też zastanowić nie nad tym, kto jest rzeczywistym populistą, tylko nad tym, kogo zachodni establishment populistą nazywa.

A określa tak tych, którzy uważają, iż reakcja na nędzę, niesprawiedliwość czy – mówiąc ogólnie – zło musi być skuteczna i zrozumiała dla przynajmniej większości danego społeczeństwa. Niekoniecznie całość tej reakcji musi być taka, ale przynajmniej jej część musi być prosta i zrozumiała, niegubiąca się w skomplikowanych meandrach poczynań obliczonych na wywołanie dalekich skutków pośrednich. Takie reformy oczywiście też są potrzebne, bywają nawet systemowo istotniejsze, ale część zmian musi być do ogarnięcia dla przeciętnego człowieka. Bo inaczej zmiana nie zostanie przyjęta jako czynienie sprawiedliwości. A wtedy wzrasta prawdopodobieństwo, że będzie politycznie nieskuteczna.

Z kolei awersja do tego, co jest nazywane populizmem, częściej oznacza realnie niechęć beneficjentów systemu do dokonania w nim zmian niż mądrą powściągliwość. Niż dążenie do niewylewania dziecka z kąpielą i poszukiwania sposobu do leczenia przyczyn, a nie skutków.

Patrząc z tej perspektywy, etykieta populizmu nie jest czymś, co mnie odrzucałoby czy odstraszało.

* * *

„Dzisiejsi populiści nie pragną normalizacji – obawiają się jej" – pisał Krastev. I już konkretnie o Polsce: „Po wielu miesiącach protestów poparcie dla rządu jedynie wzrosło. Partia rządząca chce utrzymać ostrą polaryzację w społeczeństwie". Jego zdaniem nie da się zwalczyć „populistów" za pomocą imitowania ich polityki opartej na dzieleniu ludzi oraz sprawianiu nieustannego wrażenia ostatniego, totalnego boju o wszystko.

W sensie taktycznym ma dużo racji. Ale adresuje swoje przestrogi do polskiej liberalnej opozycji, która intelektualnie nie dorasta mu do pięt, jest natomiast niewolnicą histerii. Histerii własnej i popierających ją mediów. Dlatego nie sądzę, żeby była w stanie skorzystać z rad Krasteva.

Musiałaby bowiem w tym celu przezwyciężyć swoją naturę. A coś takiego trudno sobie wyobrazić.

39/0118/F

eprasa.pl 0e6beb08e8

Jeden
z największych
producentów
surowców
chemicznych
w Europie

POLSKI
KAPITAŁ

SYNTHOS
synonim
innowacyjnej
POLSKI

synthos
chemical innovations

100
pracowników
naukowych

3000
pracowników

7
zakładów
produkcyjnych

70
lat tradycji

synthosgroup.com

eprasa.pl 0e6beb08e8

Post, który od zawsze królował w życiu chrześcijanina, we współczesnym świecie został zdetronizowany do rangi diety odchudzającej

Post to duchowa sytość

Z Markiem Zarembą, autorem książki „Boży skalpel", dyplomowanym dietoterapeutą, rozmawia Dorota Łosiewicz

Czy nasi przodkowie pościli?

Marek Zaremba: Oczywiście, chociaż w naszej świadomości bardziej funkcjonują np. skojarzenia z okropnym obżarstwem szlachty. W rzeczywistości czas ucztowania i „staropolskiego" obżarstwa, szczególnie w okresie przed rozbiorami Polski, był przeplatany długimi okresami niezwykle surowego postu. Prekursorem polskiej linii postnych potraw był Damian Zaremba, kuchmistrz rodziny Lubomirskich z Kruszyna.

Skąd więc w naszej społecznej świadomości takie skojarzenia?

Surowy zakaz powstrzymywania się w określonym przez religię okresie nie tylko od jedzenia mięsa, lecz także od spożywania mleka, masła, serów i jaj sprawiał, że ówczesny post był czymś zupełnie innym niż ten niemal symboliczny post, który obowiązuje wierzących współcześnie. Skrupulatnie przestrzegano również ograniczeń ilościowych, co sprawiało, że w tym czasie nawet zamożni ludzie po prostu głodowali. Gdy do tego wszystkiego przypomnimy fakt, że dni postnych było wówczas sto kilkadziesiąt w roku, wtedy staje się jasne, skąd żarłoczność naszych przodków oraz księży w dniach, w których pościć nie musieli.

Obraz suto zastawionego stołu w staropolskiej kuchni to stereotyp?

Tak naprawdę główną cechą kuchni staropolskiej było nieustanne przeplatanie się postu i obżarstwa, powściągliwości i łakomstwa, wyrze-

eprasa.pl 0e6beb08e8

Fot. Shutterstock

czenia i świętowania. Odwiedzający Polskę podróżnicy, w tym katolicy, byli zszokowani siłą i powszechnością praktyk postnych. Gorliwy katolik w XVII-wiecznej Polsce pościł przez niemal pół roku! Dziś katolicy z ledwością są w stanie odmówić sobie słodyczy czy lampki wina w czasie Wielkiego Postu lub mięsa w piątek.

No właśnie. Zaczynamy Wielki Post. Czy w dzisiejszych czasach wszechogarniającej konsumpcji post jest w ogóle możliwy?

Współczesna kultura Zachodu post już dawno wpisała na czarną listę zarówno pokutnych, jak i dietetycznych herezji. Co gorsza, są również chrześcijanie, którzy boją się podjąć post ze strachu przed tym, co pomyślą sobie o nich ich domownicy czy znajomi. Podczas biznesowych spotkań lub rodzinnego pizza party dostaniemy przecież rumieńców i doznamy dyskomfortu, zamiast z radością oznajmić, że post jest dla nas drogą do głębszej jedności z samym Bogiem. Poza tym zawsze znajdą się ludzie, którzy zadadzą pytania typu: czy głodzenie się nam nie zaszkodzi? Czy dzień bez jedzenia nie spowoduje poważnej choroby?

A te pytanie nie są uzasadnione?

A czy zadajemy sobie pytania odwrotne? Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach z reguły dobrze wie, co jest dla niego dobre. Organizm wysyła nam czytelne sygnały, które nieomylnie pokazują, co zdrowiu służy, a co może mu zaszkodzić. Mam tutaj na myśli nie tyle rodzaj, ile ilość pokarmu, ta bowiem jest obecnie przytłaczająca. Tak wielkiej nadwagi, jaką dźwiga współczesny człowiek, nie było od początku ludzkości. Kto ignoruje takie sygnały, poczuje się wkrótce bardzo źle, będzie niedomagający i schorowany. Człowiek jest wspaniałym dziełem samego Boga, wyposażonym w intuicję oraz rozsądek, i powinien w duszy stale wygrywać dźwięki umiarkowania miłe samemu Stwórcy, zwłaszcza zaś dźwięki mądrości. Nasze struny wstrzemięźliwości powinny być poruszane z wielką delikatnością, aby nasze przesadne czasem łakomstwo poprzez naiwność myślenia o żołądku bez dna nie doprowadziły nas do ruiny.

Większość ludzi pewnie zwyczajnie boi się głodu.

Jestem pewny, że lęk przed głodem jest większy od uczucia głodu.

Czym jest więc post?

Post jest doskonałym źródłem i drogą do uzdrowienia wewnętrznego. To dobrowolna postawa chrześcijanina, który poprzez jednoczenie się z Jezusem pragnie ofiarności, dobra i miłości. To szkoła pokochania również siebie jako dziecka Bożego, droga do dbałości o zdrowie w świetle umiarkowania, lecz bez zbytniej obsesji. Post jako źródło uzdrawiania uczy nas, że podejmując go w intencji konkretnej osoby – załóżmy o jej nawrócenie czy, daj Boże, świętość – nie mamy prawa jej w żaden sposób oceniać. Bóg dokonuje bowiem podczas postu przemiany w nas i w ludziach, sytuacjach czy przekonaniach według Jego woli. To bardzo ważne w postnym stylu życia, aby wzrastały nasza wiara i współpraca z otrzymaną łaską. Post oddziela nas od całego tego hałasu w tle, który ukrywa prawdę o nas samych. W tej nowej ciszy zmuszeni jesteśmy skonfrontować się z naszymi uzależnieniami i duchowym otępieniem, z którego często nie zdajemy sobie nawet sprawy. Poszcząc regularnie, z czasem umiarkowanie w naszym życiu zaczyna nabierać kolorów tęczy i zaczynamy dostrzegać Tego, który jest jej źródłem. Wstrzemięźliwość już nas nie odstrasza, ponieważ post powoli odrywa z nas etykiety społecznej aprobaty, sukcesu i samouwielbienia. Znikają krytykanctwo, ocenianie, wszelkie domysły i fałszywe projekcje naszego umysłu. Doświadczamy duchowej sytości, której wcześniej się nie spodziewaliśmy. To nie jest uczucie krótkie, impulsywne, jak po skosztowaniu szklanki gorącej czekolady. To czasem wręcz niezwykle długi finisz głębokiego smaku wewnętrznej harmonii, który paradoksalnie wzrasta na naszych słabościach.

Fot. Grzegorz Gołębiowski

eprasa.pl 0e6beb08e8

Ale post sprawia, że stajemy się fizycznie słabsi.

Ta dobrowolna słabość jest niezbędna dla tych, którzy chcą być duchowo umocnieni i dokonywać wielkich Bożych dzieł. Święty Paweł w liście do Koryntian nauczał, że „Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co niemocne, aby mocnych poniżyć". Bóg ukazuje się nam bardzo często wtedy, gdy jesteśmy najsłabsi. Uciszając nasze ciało, zobaczymy, że nasz wewnętrzny hałas jest głośniejszy, niż nam się wydawało. Nic jednak nie ujawni lepiej, jak hałaśliwe są nasze pragnienia, dopóki nie będziemy ich próbowali skonfrontować z ciszą i postem. Żyjąc w zachodniej kulturze, chcemy nasze pragnienia zaspokajać niemal natychmiast. Nawet te duchowe. Ilu z nas krąży od rekolekcji do rekolekcji i ciągle poszukuje „duchowych" wrażeń? Jednak dobre samopoczucie i rozpieszczanie naszego ciała czy ducha stałym komfortem nie jest celem ludzi, którzy zmierzają do Królestwa Bożego. Post jest zupełną przeciwnością dobrego samopoczucia, powoduje nagłe zdanie sobie sprawy z tego, jak bardzo czasem polegamy na fałszywym poczuciu komfortu, który wcale nie gwarantuje nam wewnętrznej równowagi. Najczęściej bowiem kurczowo trzymamy się fałszywych przyjemności i poczucia bezpieczeństwa. Mamy niewielką możliwość usłyszenia w tym Boga, co widać po kondycji współczesnego Kościoła i stale narzekających wiernych.

Co pan ma na myśli?

Współczesny katolik zadaje sobie więcej trudu, by oceniać i krytykować Kościół, niż by się za niego pomodlić. Post może być doskonałym remedium na tę wewnętrzną pychę!

Jak więc pościć?

Post to nie tylko dobrowolna decyzja o tym, aby się głodzić. Post nie jest wcale związany z rezygnowaniem z jedzenia, ale z poszukiwaniem bliższej relacji z Bogiem, a głód to miejsce spotkania dwóch zakochanych – potrzykroć świętego Boga i grzesznego człowieka. Bóg nie potrzebuje postu, my tak! Prawdziwie pościć oznacza zatem przede wszystkim poszukiwać Boga. Post pokazuje, że tylko Jezus może realnie pokonać grzech oraz nasze słabości. Poszcząc, wzrastamy w pokorze, która uzdrawia nas ze współczesnej hipokryzji oraz skupiania uwagi wyłącznie na sobie. Podczas postu połączonego z modlitwą kierujemy nasze zmysły do wewnątrz, aby dostrzec, że prawdziwe lekarstwo oraz wsparcie jest wyłącznie na zewnątrz – w Bogu i w ludziach w pełni z Nim zjednoczonych. Poszcząc, naśladujemy zatem Chrystusa, który całkowicie zaufał Ojcu.

> Post oddziela nas od całego tego hałasu w tle, który ukrywa prawdę o nas samych

Post potrzebny jest chrześcijaninowi, by...

...umiał przezwyciężać w sobie to, co cielesne, by zwyciężało to, co duchowe, to w obecnych czasach niezwykle zacięta walka wewnętrzna. Współczesnemu człowiekowi coraz trudniej przychodzi uznanie osobistych błędów i podjęcie decyzji o zawróceniu z niewłaściwej drogi. Już nie potrzebujemy wznosić posągów ani złotych cielców, jak czyniono to kiedyś, sami bowiem uczyniliśmy z siebie „przedmioty" pożądania, oczekując w wirtualnej sferze podziwu i nadania nam przez innych najczęściej „zafałszowanej" wartości. Kiedy w wyglądzie i tym, co posiadamy czy osiągamy, upatrujemy wyłącznie naszej wartości lub poczucia spełnienia, ostatecznie tracimy poczucie wolności.

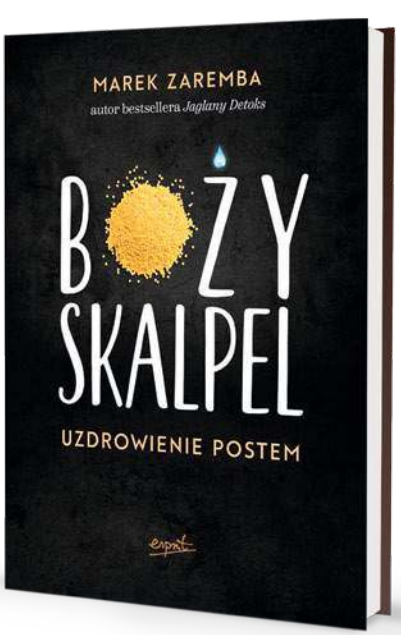

Post i dieta to więc nie to samo?

To nie to samo, bo inne są cel i motywacja. Post, który od zawsze królował w życiu chrześcijanina, we współczesnym świecie został zdetronizowany właśnie do rangi diety odchudzającej. Współczesne obsesje dietetyczne rujnują życie czasem całych rodzin. Jako dietetyk mogę to potwierdzić z ręką na sercu. Człowiek, aby cokolwiek zjeść, coraz częściej potrzebuje badań naukowych. Szukając wyłącznie raju na ziemi, miotamy się pomiędzy tym, co jeść, a czego nie jeść, ponieważ nieustannie wszystko analizujemy i badamy. Post odrywa nas od przesadnego lęku o zdrowie. Uczy, że celem życia jest relacja z Bogiem, i wzmacnia naszą czujność na pokusy nadmiernego dogadzania podniebieniu. Owocem postu połączonego z modlitwą są zatem rozwijające się w nas cnoty. Pokora, cichość, umiarkowanie, cierpliwość, miłość i pokój, które wzmacniają naszą wiarę i nadzieję. Post prowadzi do wyjątkowej bliskości z Bogiem i z najbliższymi. Moje dzieci mówią, że odkąd poszczę i modlę się na różańcu, jestem najlepszym tatą na świecie!

Pościł pan przez 40 dni. Swoje doświadczenia zapisał pan w dzienniku. Co pan zrozumiał?

Post to Boży skalpel, którym operuje nas Stwórca. To droga do wewnętrznej wolności, harmonii oraz Bożej dyscypliny, a ponieważ Bóg kocha post, poszcząc, stajemy się prawdziwymi przyjaciółmi samego Boga!

eprasa.pl 0e6beb08e8

Historia modnie ubrana

Autorka kostiumów ***Elżbieta Radke*** *wylicza, że kobiecych strojów, i to tylko na Wawel, zostało zaprojektowanych i wykonanych około stu*

Fot. Gałązka/KPA

eprasa.pl 0e6beb08e8

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. Marcin Makowski

Wywołujący gorące dyskusje serial „Korona królów" już dziś może sobie przypisać wielki sukces. I ci, którzy są za, i przeciwnicy wracają do przeszłości. Chętniej sięgają do źródeł. Przypominają sobie fakty, poszerzają tło wydarzeń historycznych, lecz skupiają się również na detalach. Niektórzy odkrywają, że historia też może być modnie ubrana.

GRY SALONOWE

Najpotężniejsza i najbogatsza kobieta swoich czasów Elżbieta Łokietkówna z pewnością wyznaczała trendy. Nie tylko w modzie. To ona rozjaśniała i ubarwiała mroczny Wawel. Przede wszystkim jednak wzmacniała pozycję panującego na nim króla.

Ponoć gdy płoną lasy, nie żałuje się róż. Jednak czy szczęku broni i salonowych politycznych gier od wieków nie dopełniały m.in. takie „drobiazgi" jak stroje? Czy nie one podkreślały pozycję, ale też – bywało – oszałamiały gości i dekoncentrowały strategicznych przeciwników?

Doskonale rozumiała i umiejętnie wykorzystywała siłę wizerunku węgierska królowa Elżbieta. Rozmachem i przepychem torująca sobie drogę przez współczesną jej Europę. Przy czym bogactwo stylu było jedynie dopełnieniem politycznych talentów królewskiej żony i matki. Kobiety, która w świecie zdominowanym przez mężczyzn przez wiele lat miała w rękach wielką, realną władzę.

– To ona pomogła uczynić z Polski mocarstwo – zwraca uwagę Kamil Janicki, redaktor naczelny magazynów historycznych Ciekawostki Historyczne.pl i Twoja Historia.pl, a także autor „Dam polskiego imperium". – Za jej sprawą Kazimierz Wielki utrzymał się na tronie i zapracował na swój przydomek. Ona też, niemal jednoosobowo, sprawiła, że polskim królem została Jadwiga Andegaweńska.

KRÓLOWA KRÓLÓW

Elżbieta Łokietkówna, co zrozumiałe, jest najszczodrzej ubraną postacią serialu. Grająca ją Katarzyna Czapla nie może się nachwalić urody szykowanych dla jej bohaterki sukien. Piękne hafty, kolory, jedwabie... Aktorka, która zafascynowana swoją postacią sporo się na jej temat dowiedziała, podkreśla, że na Wawelu, na którym wychowywała się przyszła węgierska władczyni, panowała asceza. Matka, królowa Jadwiga, bardzo tego pilnowała. Na takim tle Elżbieta musiała wyglądać jak kolorowy ptak. Bogactwo jej garderoby, także na planie, zostało wyraźnie zaznaczone.

Autorka kostiumów do „Korony królów" Elżbieta Radke wylicza, że kobiecych strojów, i to tylko na Wawel, zostało zaprojektowanych i wykonanych około stu. Na potrzeby serialowej produkcji wiele rozwiązań i detali zaczerpniętych z historycznych przekazów musiało zostać zmodyfikowanych.

– Poszukiwanie źródeł kobiecych ubiorów z lat 1333–1339 [ekranowa opowieść dotarła jak dotąd do roku 1335 – przyp. red.] i zastosowanie tych ciekawych zapisów w praktyce jest nawet możliwe – stwierdza Elżbieta Radke – ale suknie zasznurowywane z przodu bądź z tyłu, często dodatkowo po bokach, składają się z kilku warstw, które należy po kolei nakładać. Jedna na drugą. To wymaga czasu. I pomocy. W średniowieczu podobne czynności wykonywały dwórki i służki, po kilka przy królowej czy księżnej. Na planie serialu takiej obsługi nie ma.

Co ciekawe, każda dwórka i służka w tamtym czasie nosiła na pasku w sakiewce przybornik do szycia. Bynajmniej nie z powodu nieustannego zajmowania się robótkami. Zbyt obcisłe stroje często rozpruwały się w miejscu łączenia i trzeba było je zszywać.

Źródła mówią też, że by suknia piękniej się układała, szyto ją na przyszłej właścicielce. – To dopiero musiała być zabawa – uśmiecha się kostiumograf. – I ze zdejmowaniem tak przygotowanej sukni kłopot był niemały.

WŁADCZYNI MODY

Królowa Elżbieta Łokietkówna wniosła na surowy, zimny w wystroju Wawel świeży powiew mody włoskiej. Luksusowej, bo jako najbogatszą kobietę na kontynencie stać ją było na najdroższe tkaniny i klejnoty.

– Wielkie wrażenie robiło na mnie to, że podróżowała po całej Europie, głównie prowadząc polityczne misje – mówi Katarzyna Czapla. – Przepych jej orszaku i bogactwo prezentów, które rozdawała, były ogromne. Z tych podróży przywoziła również modowe nowinki. By wprowadzić je do swojej garderoby, zatrudniała wytrawnych krawców. To ona wniosła na Wawel kolor.

– W pewnym sensie była trendsetterką swojej epoki – zgadza się z aktorką Elżbieta Radke.

Charakterystycznym elementem stroju Elżbiety były rękawiczki noszone bez względu na porę roku i miejsce, przesłaniające oszpeconą dłoń. Jak podają przekazy, zamachowiec (węgierski

eprasa.pl 0e6beb08e8

możnowładca Felicjan Zach, mszcząc zhańbienie córki Klary) uciął królowej cztery palce u prawej ręki, gdy ta zasłoniła nią małoletnich synów.

Elżbieta tuszowała ułomność. Miała podobno wiele rękawiczek. Od jedwabnych, bogato haftowanych, po skórkowe. Zawsze były pięknie zdobione.

Autorka kostiumów nie chce zdradzać modowych ciekawostek, które pojawią się w serialowej historii po 1339 r., ale taka bohaterka jak królowa węgierska zapewne dostarczy jeszcze wielu ciekawych rozwiązań w stroju. Może także sprowokuje kolejne dyskusje. Oby merytoryczne.

DEKOLT DAMY

Redaktor naczelny Ciekawostek Historycznych ocenia: – Trudno się odnosić do historyczności strojów w „Koronie królów". Materiały i barwy się nie zgadzają, brakuje typowych wyznaczników mody XIV-wiecznej, które znane są np. z wykonanych za życia wizerunków Elżbiety Łokietkówny (jak choćby „siatki" skrywające włosy – tzw. crinale). Zdecydowanie najgorzej wypadają stroje Aldony Anny.

Historyk krytykuje m.in. wielkość dekoltów, „choć moda tej epoki była skromna". Najwięcej zastrzeżeń ma do sukni ślubnej Aldony. – Na taką okazję zakładano uroczystą, jedwabną, długą i skromną suknię, a nie białą z guzikami – dodaje autor „Dam polskiego imperium".

Opinia jest surowa. Nie uwzględnia jednak realiów filmowej produkcji. Trzeba też podkreślić, że dotyczy zaledwie części z niemałej liczby kobiecych kostiumów, które się pojawiły w serialu. Kamil Janicki nie może skrytykować całości, bo kolejne odcinki są w realizacji. Powstają następne projekty, również strojów, i to z uwzględnieniem konstruktywnych uwag.

Historykowi trudno także będzie zaprzeczyć pozytywnemu zjawisku, które zapoczątkowała emisja „Korony królów": również prowadzone przez niego portale zyskały po wielokroć większą grupę odbiorców. Ludzie są ciekawi historycznych szczegółów. A czasy Kazimierza Wielkiego cieszą się wyjątkowym zainteresowaniem.

INSPIRUJĄCE HIERARCHIE

Elżbieta Radke też to widzi. „Korona królów" jest projektem zarazem inspirującym i rozbudzającym wyobrażenie o tamtej epoce. Jednocześnie bardzo trudnym.

Co podają bazowe źródła? W czasie panowania Kazimierza Wielkiego (1333–1370) kobiety nosiły (nakładaną na długą koszulę) suknię złożoną z dwóch warstw. Spodnia była traktowana jak strój nieoficjalny. Szyto ją z cienkiej wełny, lnu lub jedwabiu. Na nią wkładano, dostosowaną krojem, suknię wierzchnią, najczęściej wykonaną z tkanin wełnianych i sznurowaną z przodu, boków lub z tyłu.

O pozycji społecznej właścicielki świadczyła m.in. szerokość rękawów. Szczególnie popularny był krój przylegały do ciała, aż do bioder, a poniżej luźno opadający fałdami do ziemi. W chłodniejsze dni damę chronił ozdabiany po brzegach i spinany na ramieniu płaszcz. Tyle baza, ale, jak wiadomo, diabeł tkwi w szczegółach.

Kostiumograf „Korony królów" zwraca uwagę, jak niewiele jest dokumentów świadczących o wyglądzie kobiety z czasu panowania Kazimierza, poza tym dotkliwie brakuje publikacji oraz materiałów archeologicznych dotyczących np. dodatków i ozdób, a stan zachowania źródeł materialnych pozostaje ubogi. Jedno jest pewne: ówczesne ubiory odzwierciedlały pozycję społeczną, dworską. I w serialu widać różnicę w hierarchii: królowa–dwórka, służka–mieszczka...

WSZYSTKO MA SWÓJ CZAS

– Przestudiowaliśmy wiele materiałów naukowych, m.in. Codex Manesse [zbiór średniowiecznej poezji niemieckiej, spisany na pergaminie i bogato zilustrowany w latach 1305–1340 – przyp. red.], aby choć w minimalnym przybliżeniu oddać ducha tamtych czasów – mówi Radke. – Wiem, wiem, że tkaniny nie z epoki, że barwione syntetycznie, że nie szyte ręcznie, że firanki (choć jedwabne), że koce (tak, wełniane, nie polarowe), za długie paski, suknie z syntetyku (zapewniam, że to jedwabie, wełny, żakardy).

Autorka kostiumów nie przeczy, że wśród komentarzy pojawiają się wypowiedzi, z którymi można dyskutować. – Ale czy wszyscy wypowiadający się, nawet historycy, mogą udowodnić, jak naprawdę wyglądały ubiory z tamtej epoki? – pyta retorycznie. Skoro już 30, 40 lat później zmieniała się moda kobieca, rządziły inne fasony sukien, inne nakrycia głowy, pojawiło się więcej aksamitnych tkanin na polskim dworze. – Też chciałabym pokazać te różnice – dodaje – ale wszystko ma swój czas.

eprasa.pl 0e6beb08e8

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Zapolska o kłamstwie

Po co coś zmieniać, dodawać, kiedy sam tekst wystarczy" – coś takiego powiedziała reżyser Anna Wieczur-Bluszcz po premierze przedstawienia Teatru Telewizji. Państwo mogą zobaczyć efekty tej deklaracji w ten poniedziałek, 19 lutego, w Jedynce TVP. „Żabusia" Gabrieli Zapolskiej.

Aż szokująco brzmi taka deklaracja „zwykłego teatru". Można by rzec „mieszczańskiego". Atmosferę sentymentu do przeszłości podsycił Mateusz Damięcki pojawiający się tu skromnie w jednej scenie. Przypomniał, że jego babcia, aktorka Irena Górska-Damięcka, grała Żabusię przed wojną we Lwowie.

Ta inscenizacja to zaprzeczenie opisywanych przeze mnie niedawno zabaw Marcina Wrony z „Panią Dulską" i „Ich czworo". On przenosił dzianie się, a czasem poszczególne postaci, do nowszych epok, nadając akcji szaleńczy rytm współczesnej popkultury. Tu wszystko jest mniej więcej takie jak w roku 1896. Może poza jedną sceną – quasi-erotyczną – między główną bohaterką a jej kochankiem granym przez Damięckiego. Nie wiem, czy ta sytuacja wyglądałaby tak, a na pewno nie tak byłaby grana. Ale reszta przesycona jest nieco stylizowanym duchem epoki.

I nie odnieśliśmy jednak wrażenia muzeum, a czegoś mocnego, aktualnego. A zarazem mnie znowu wepchnęło to w rozważania o duchu samej Zapolskiej.

Szefowa Teatru Telewizji posadziła za stołem większość obsady, żeby aktorzy opowiadali, co wyczytali ze swoich ról. Aktorka Małgorzata Kocik grająca pryncypialną Manię, siostrę głównego bohatera, natychmiast oznajmiła, jak przystało na postępową kobietę, że niepokoi ją filozofia teścia głównego bohatera (świetny Sławomir Orzechowski) uznającego, że mężczyzna oglądający się za kobietami innymi niż żona nie popełnia zdrady. Że obowiązują go inne normy niż kobiety.

Istotnie ta filozofia doczekuje się krzywego zwierciadła. To nie oznacza wszakże, że zdradzające kobiety doczekują się łatwego wybaczenia. W wielu sztukach Zapolska piętnuje obłudę wynikającą z uświęconych, „patriarchalnych" tradycji. Tu jednak zderzamy się też z obłudą kobiet, które prawo do własnych standardów wywalczają sobie – jak Żabusia – sprytem, grą.

Więcej, mamy również pytanie o cenę kłamstwa, pozornie nieszkodliwego, bo na początku niewyrządzającego nikomu krzywdy. Temat potraktowany serio, całkiem jak w dramatach Ibsena. To skądinąd jedna z najmniej wesołych komedii Zapolskiej. Mało tu „skeczy" jak w „Pani Dulskiej". Dużo łez, omdleń i zwykłej ponurości.

Tak też to zagrano. Arkadiusz Janiczek to dziś jeden z najzabawniejszych aktorów średniego pokolenia, ale jako pan Bartnicki, ojciec rodziny, jest co najwyżej charakterystyczny, w końcówce tragiczny. Kamila Baar-Kochańska tworzy w Teatrze Telewizji kolejną dobrą rolę. Jej Żabusia to postać, która od początku kreuje samą siebie, a jednak w pewnym momencie ją to przerasta. Pozostali są wyraziści, ale nie szarżują. To coraz bardziej dramat, może nawet moralitet. I dlatego współczesny?

Szepnąłem do Małgorzaty Małaszko, szefowej Programu Drugiego Polskiego Radia, że tej Zapolskiej nie sposób było dogodzić. Biła w patriarchat, ale kobiety wyzwolone z więzów drażniły ją także. Była za uczciwością. Należałoby tylko (bagatela!) ustalić, czy istnieje system gwarantujący uczciwość. W sensie ludzkim w finale coś się zacina. Kłamstwo jest bezpieczniejsze od prawdy. Co nie znaczy, że dobre, o czym opowiada wieczna malkontentka. Pisarz powinien być trochę skazany na taką rolę.

Piotr Zaremba

12/0218/F

TAURON

czysta oferta Twoje 300

Prąd i gaz w **obniżonych cenach**

Naprawa urządzeń na prąd oraz gaz

i **300 zł** zwrotu za prąd!*

Zgłoś się po Twoje 300 zł

tauron.pl/twoje300

555 444 555

Opłata jak za zwykłe połączenie telefoniczne, zgodnie z taryfą operatora.

* Naprawa urządzeń przez 2 lata do 6000 zł. Szczegóły w Regulaminach na tauron.pl/twoje300. Bonus wypłacany na konto rozliczeniowe za energię elektryczną w TAURONIE po dokonaniu rejestracji na tauron.pl/zwrotzaprad

tauron.pl

eprasa.pl 0e6beb08e8

Książę nastroju

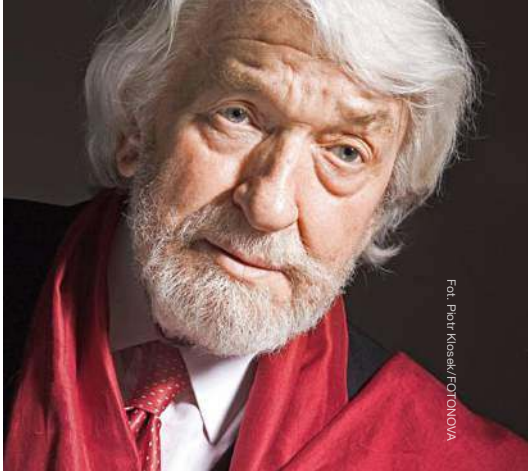
Fot. Piotr Kiosek/FOTONOVA

Skończyła się epoka. Mieczysław Święcicki wybrał się daleko za Planty

KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Było to w roku pańskim 1964. W erze szczególnej. Ruscy trzymali Polaków za gardło. Gospodarka przypominała wielkie sito. Wyciekało prawie wszystko. Wiara w lepszy, wspaniały świat. Ludzki zapał, pomysły, energia. Ale na szczęście kwitła polska kultura. Komuniści byli zręcznymi graczami. Wiedzieli jedno: trzeba pozwolić inteligencji się wyszumieć. Tę bowiem najbardziej kreatywną część społeczeństwa można spacyfikować tylko w jeden sposób: nie można jej zamknąć w klatce.

Nieco wcześniej w Krakowie, w 1956 r., powstała Piwnica pod Baranami. Był to moim zdaniem najwspanialszy kabaret literacki świata. Każdy koncert w interpretacji jego artystów stawał się wydarzeniem. Założyli go Piotr Skrzynecki oraz studenci krakowskich uczelni: Leszek Chromy, Krzysztof Penderecki i Mieczysław Święcicki. W latach 60. pojawili się m.in. Ewa Demarczyk wraz z kompozytorem Zygmuntem Koniecznym, Leszek Długosz, Wiesław Dymny, Krystyna Zachwatowicz.

Po raz pierwszy zobaczyłem Piwnicę pod Baranami i wszystkich jej aktorów, mając ok. 17 lat. Mówiło się: „Musisz to zobaczyć! Trzeba tam być!". Pamiętam tę ściśniętą do absurdu ciżbę ludzką. Oświetloną snopem jednego reflektora twarz Skrzyneckiego, jego surrealistyczne teksty i dzwoneczek, którym po każdym numerze machał, przywołując tłum do porządku. Pamiętam młodziutką Ewę Demarczyk i jej zniewalające „Madonny". No i ochrzczonego wkrótce Księciem Nastroju Mieczysława Święcickiego.

Stawał przed mikrofonem nieco pochylony, w garniturze w prążki, w krawacie zawiązanym w gruby węzeł. Przyciągał jak magnes! Jego „Jęczmienne łany" z muzyką Koniecznego do wiersza Burnsa to było cacuszko. Romantyczny erotyk, który nuciło moje pokolenie.

Leszek Długosz w swej książce „Piwnica idzie do góry" wspomina: „Mietek wywoływał niejednoznaczne wrażenie. Jego kokieteria, przymilanie się, szarmanckość wskazywałyby na naturę rasowego uwodziciela, lecz pewna nieporadność, jakby zażenowanie, podawało w wątpliwość konstrukcję zdobywcy i pożeracza serc. Osiągnął efekt czarującego szelmostwa. Igrał sztuką dwuznaczności i nieporadnością nieśmiałego narzeczonego".

Pamiętam, gdy po przedstawieniu wracaliśmy do placu na Groblach. Miecio nucił, wciąż nucił i podśpiewywał, a my z nim. Pusty Kraków, stare mury i fosy, przyćmione światło gazowych latarni, stukot końskich kopyt w dali, umykający cień dorożki. Zdawało się, że ta noc nigdy nie przeminie. Nie spieszyliśmy się. Byliśmy młodzi – za młodzi na sen. Zbyt piękni, by choć przez sekundę zwątpić w piękno tamtego świata. W mieszkaniu Miecia pachniała sień, wszędzie stały antyczne sofy i fotele, pozłacane lustra, na wieszakach przycupnęły płaszcze gości, i jego kapelusz. Nuciliśmy „Mój powrót" Pierre'a Ronsarda. Ta noc mogła nigdy się nie skończyć.

W Piwnicy Święcicki śpiewał szlagiery i romanse. Ze swoim szelmowskim uśmiechem wykonywał również piosenki-scenki: „Pani dziś jest bez koszulki", „Wando, kocham cię nad życie".

Wspomina Leszek Długosz: „Najbardziej oryginalnym i dojrzałym artystycznie przedsięwzięciem Mietka w Piwnicy i poza nią było przywrócenie świadomości tamtego pokolenia samej postaci i romansów Aleksandra Wertyńskiego. Przez to dokonanie wystylizował i uwyraźnił się najbardziej".

W marcu 2018 r. Mietek skończyłby 82 lata.

Wspomina go również Adam Jaźwiecki: „W chwili Jego śmierci cokolwiek napiszę, będzie wspomnieniem czasów niezapomnianych. Krakowskiej Cyganerii do bólu, która była dla artystycznego świata mitem, żądzą poznania, doznania, kochania. Naśladowania zachowań, stylem bycia. Cóż to był za czas! Mietek nie zwalniał tempa do końca, do ostatniej chwili, kiedy serce nagle zatrzymało bicie. I skończyła się epoka. Książę Nastroju, romansów, wybrał się daleko za Planty. Powracam więc jeszcze do tej lirycznej, nastrojowej, jak większość utworów Mieczysława Święcickiego piosenki: »Nie wołaj mnie! Przestań! Nie trzeba! Wróć do pokoju. Zamknij drzwi. Z konającego spływa nieba Słońce. Ogromna kropla krwi«".

Gdy już po mszy w kościele Mariackim rozejdą się tłumy żałobników, a z Cmentarza Rakowickiego odleci ostatni spłoszony gawron, zapewne niejeden z nas, jego wielbicieli, zanuci nie tylko „Jęczmienne łany". Zapewne także „Opium", „Litość miej" czy „Przejdą wiosny i lata" ze słowami Emila Zegadłowicza i muzyką Zygmunta Koniecznego. Lubię je wszystkie. Więcej – kocham. Są nie z tego świata. Cenię każdą Jego piosenkę. Nie do podrobienia. Szczególnie tę ostatnią o przepięknych, prościutkich strofach. Oto fragment:

Przejdą wiosny i lata / Jesień przejdzie bogata / Jedna, druga, dziesiąta / Przejdzie zima tak biała. / Kwestie ważne rozpląta / Rok, godzina, minuta / Skądsiś z nagła wysnuta / Moje dziewczę zapomni / O miłości i o mnie.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Bezgłowie

Przemysław Skrzydelski

Barbara Wysocka chyba nie wiedziała, co chce „Śmiercią Dantona" osiągnąć.

Trudno o większe zaskoczenie z ostatniego czasu. Barbara Wysocka przyzwyczaiła nas do czegoś innego. Jej dotychczasowe realizacje, choćby „Juliusz Cezar" sprzed dwóch lat, czerpały jednak sporo z szeroko pojętej postdramaturgii. „Śmierć Dantona" Büchnera, którą Wysocka wystawia teraz w Teatrze Narodowym, rozgrywa się zaś na przekór jej samej, za to z poszanowaniem gustów konserwatywnych, ale w rozrachunku końcowym – ze stratą dla wszystkich.

Na dużej scenie Narodowego ustawiono trzykondygnacyjną konstrukcję. Jej najważniejszym elementem jest ciągnąca się przez wszystkie piętra, pokryta rdzą i krwią rynna, po której stoczą się głowy zgilotynowanych. W ostatniej scenie radykał Robespierre (Przemysław Stippa) ze stoickim spokojem będzie zrzucał na nią kolejne ścięte głowy, jakby był zwykłym operatorem tej okrutnej machiny. Umiarkowany Danton (Oskar Hamerski) patrząc na to z dołu, również spokojny, ujrzy, do czego za każdym razem prowadzi rewolucja.

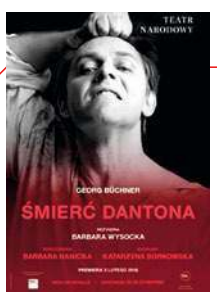

Georg Büchner
„Śmierć Dantona"
reż. Barbara Wysocka
Teatr Narodowy
(Sala Bogusławskiego)
premiera: 3 lutego 2018

Ten ostatni obraz spektaklu zapamiętam. Są w nim chłód, rezygnacja i rozczarowanie, nawet obrzydzenie tym, że puenta okazuje się oczywista. Przesyt banałem życia. Widać to w spojrzeniu Dantona, który swej spadającej głowie przygląda się, leżąc zmęczony niczym po uczcie. Jest przy nim żona Julia (interesująca Wiktoria Gorodeckaja). To mocna klamra, bo pierwsza scena przedstawienia rozgrywa się w domu uciech.

Ale wszystko, co dzieje się pomiędzy, to teatr pustej retoryki. Owszem, Hamerski i Stippa dostają swoje szanse na filozoficzne tyrady, chwilami walczą o coś więcej, korzystając z politycznego potencjału dramatu, czasem z ironii, lecz nie są w stanie się uwiarygodnić, zwłaszcza gdy w drugim planie oglądamy też kryminał reżyserowany najprostszymi sposobami. Stronnicy Robespierre'a spiskują w szarych garniturach, to funkcjonariusze systemu, dla których polityka sprowadza się do podliczania ofiar i wydawania rozkazów. To fatalne uproszczenie, a i spektakl byłby mocniejszy, gdyby wszyscy zostali w kostiumach od Büchnera. Wysocka najprawdopodobniej po prostu nie wiedziała, jak ożywić ten pisany trudną frazą dramat z 1835 r. I po co te współczesne telefony, maszyny do pisania? Przecież Wysocka zaczyna i kończy zupełnie inaczej. Przeczuwaniem śmierci. Kontrastem między słodyczą życia a nieuchronnością zmierzchu.

Młodość z wiolonczelą

Adam Ciesielski

20-letni Japończyk Haruma Sato wygrał XI Międzynarodowy Konkurs Wiolonczelowy im. Witolda Lutosławskiego. Rewelacją był laureat III nagrody, niespełna 17-letni Yibai Chen z Chin. Polacy się nie liczyli.

Mieliśmy aż 11 reprezentantów. Spośród nich jedynie 22-letnia Krystyna Wiśniewska przeszła do II etapu, do finału jednak nie dotarła. Prof. Kazimierz Michalik, honorowy szef jury, w wypowiedzi radiowej uspokajał, że – jak wynika z historii – Polacy wygrywają co drugi warszawski konkurs. Cóż, na razie karty rozdają inni, a ich często bardzo młody wiek zdaje się sygnalizować, że proces odkrywania i szlifowania talentów toczy się u nas zbyt wolno.

Konkurs umożliwia artystom (do lat 28) zaprezentowanie swych możliwości w repertuarze od baroku do współczesności. W tym roku kładziono nacisk na twórczość kompozytorów polskich. Dobrą innowacją jest wprowadzony na stałe obowiązek wykonania w finale Koncertu wiolonczelowego Lutosławskiego. To dzieło, dedykowane Mścisławowi Rostropowiczowi i przez niego prawykonane w 1970 r., było najpoważniejszym wyzwaniem. Najlepiej chyba, mimo ryzykownych zawahań, poradził sobie nastoletni Chińczyk Yibai Chen, który arcytrudnego utworu miał się ponoć nauczyć w ciągu zaledwie trzech dni, już w Warszawie. Zwycięzca Haruma Sato wyznał, że jemu zajęło to tygodnie ciężkiej pracy. Obaj ci laureaci, a także Japończyk Michiaki Ueno (II nagroda) i Amerykanin Oliver Herbert (nagroda IV) stoją u progu międzynarodowej kariery. Czy dogonią ich polscy rówieśnicy?

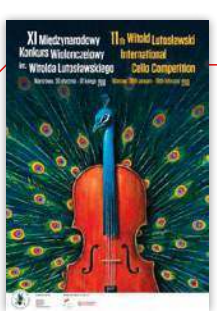

XI Międzynarodowy Konkurs Wiolonczelowy im. Witolda Lutosławskiego
Warszawa,
30 stycznia–10 lutego 2018

Emocje wiolonczelowe w Filharmonii Narodowej wzbudziły żywe zainteresowanie. To przedsmak gorączki, jaką wywoła wrześniowy pianistyczny I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Legionowe brathanki

Wojciech Stanisławski

Czy liczy się tylko I Brygada, czy wszyscy, którzy przelewali krew w mundurach wszelkich możliwych barw i krojów?

Ordynans Józef Szwejk jest doskonałym bohaterem powieści; może aż nazbyt doskonałym, skoro, osobliwie w Polsce, jego przygody wystarczają nieraz za całą wiedzę o czeskich doświadczeniach czasu wojny światowej. Dla nierzadkich (niestety) entuzjastów postrzegania czeskich losów, postaw i dziejów jako zaprzeczenia urody Polski tłusty, cwany i tchórzliwy Szwejk jest wymarzoną antytezą beliniaka na siwku.

Nie należy się tym za bardzo przejmować: Szwejk, nawet z nadwagą, więcej ma uroku niż niejeden tekturowy ułan, tyle że jako reprezentant czeskich losów w przededniu czechosłowackiej niepodległości jest po prostu fałszywy. O ile większość słyszała o Legionie Czechosłowackim – formacji utworzonej w 1915 r. w Rosji, która walczyła z Niemcami, odegrała kluczową rolę w wojnie domowej z bolszewikami i przez Władywostok, Pacyfik, Amerykę trafiła nad Wełtawę – o tyle mało kto prócz specjalistów jest świadom roli, jaką „mit legionowy" odegrał w międzywojennej Republice Czechosłowackiej.

Legioniści czescy, opiewani przez Rudolfa Medka, rzeźbieni w kamieniu i drewnie, podejmowani na Hradczanach są jeśli nie bliźniakami, to najbliższymi kuzynami weteranów I Brygady – zarówno jeśli chodzi o legendę literacką, jak i o zbudowany na jej podstawie projekt polityczny, który dał żołnierzom spod Kostiuchnówki i Zborowa dominującą rolę w Polsce i Czechosłowacji czasów międzywojnia. Podobieństwo tego mitu, jego składowych, do których należą motyw ofiary, krwawej bitwy, garstki wybrańców, o których „mówiono, że stumanieni", odwoływanie się do Sienkiewicza i Jiráska, ale też podobieństwo narzędzi, za pomocą których ów mit konstruowano, jest uderzające i każe nam na serio zastanowić się raz jeszcze nad czeską pamięcią.

Inna rzecz, że to uderzające podobieństwo można w jakiejś mierze tłumaczyć sytuacją, w której znalazły się po roku 1918 Polska i Czechosłowacja. Oba państwa powstały z wielopokoleniowej niewoli, wymyślały się niejako od nowa, w biegu musiały opowiedzieć kluczową dla nich Wielką Wojnę i pogodzić zasługi weteranów walczących po różnych stronach frontu, ważąc zarazem zasługi tych, którzy służyli w armiach zaborczych, i wybrańców z Brygady czy Legionu.

Marcin Jarząbek opowiedział tę historię w sposób fascynujący: jakby nie dość było paradoksalnego zestawienia legionistów z dwóch państw, ethosów i stron frontu, przypomniał dzieje najważniejszych formacji, w których przelewali krew Polacy, Czesi i Słowacy, mało tego cały wymiar „instytucjonalnych ram pamięci weteranów", czyli wszystkich akademii, stowarzyszeń, funduszy pomocy, ustaw, całego obszaru relacji między państwem a samymi weteranami: poranionymi, spragnionymi uznania, skłóconymi.

Dokonał tego na stu kilkudziesięciu stronach w sposób bardzo klarowny, nie przytłaczając czytelnika swoją erudycją, której godne świadectwo dają przypisy, by przejść do rozdziału w moich oczach najważniejszego, traktującego o „kanonie pamięci": o tym, w jak różny sposób można opowiedzieć dzieje niedawnej

wojny i legionowe w niej zasługi, o tym, jak kanon ten podlega „negocjowaniu" i zaprzeczaniu, jak rodzą się jego subwarianty czy wręcz „kontrwersje" polityczne czy regionalne.

To książka świetna, napisana w stylu, za którym wzdychamy, czytając najlepszych historyków anglosaskich, i mam nadzieję, że prędko zostanie przełożona – nie tylko na czeski. Nawet jednak tych, których mniej obchodzą dzieje weryfikowania uprawnień weteranów powstania styczniowego czy wojenny austro-węgierski obyczaj wznoszenia drewnianych „kolumn pamięci", w które następnie wbijano złote, srebrne i żelazne gwoździe (!), finansując z ich sprzedaży opiekę nad wdowami i sierotami, zachęcam do przeczytania wspomnianego rozdziału o kanonie pamięci i o tym, jaki dystans dzieli „kanon ekskluzywny" (tylko I Brygada!) od „inkluzywnego" (liczą się wszyscy, którzy przelali krew). Dziś mamy okazję do podobnych wyborów – i podobnych błędów.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Marcin Jarząbek, „Legioniści i inni. Pamięć zbiorowa weteranów I wojny światowej w Polsce i Czechosłowacji okresu międzywojennego", wyd. Universitas 2017

Monsieur Katchinos de Pologne

Cięty krytyk i wyważony historyk, badacz modernizmu i publicysta; opracowanie bibliograficzne jego dorobku było ostatnią publikacją naukową Jadwigi Kaczyńskiej. Ale monografia Kasprowicza, antologia felietonu literackiego mniej są pamiętane niż chlebaki, z którymi wędrował po Warszawie, nosząc w nich projekty listów otwartych i zasiłki dla uwięzionych.

Początek tak typowy dla warszawskich kolumbów z roczników dwudziestych: tajne komplety, ukrywanie Żydów, batalion „Baszta". „W niedzielę, kiedy pluton szedł na mszę, mnie zostawiono przy telefonie, bo byłem niewierzący. Gdy Niemcy rozpoczęli szturm, zostałem posłany, by ściągnąć pluton. Ujrzałem wspaniały obraz: msza, chłopcy zakładający hełmy, trzask ładowanych karabinów i ks. Zieja w tym wszystkim, udzielający absolutio in articulo mortis". Jednym z lepszych dowodów na to, że w światach książek zdarzają się przedziwne, urągające prostemu następstwu czasu związki i pokrewieństwa, jest to, że Czesław Miłosz, nieznający przecież 18-letniego Lipskiego, tak wiernie sportretował go w „Zdobyciu władzy", w rozdziałach traktujących o powstaniu, jako strzelca Bertranda.

Dziesięć lat później w bierutowskiej Warszawie Jan Józef Lipski będzie używać rzutnika do bajek, by podczas spotkań ze znajomymi wyświetlać im skopiowane na kliszę fragmenty „Światła dziennego", pierwszego wydanego na emigracji tomu Miłosza; rychło potem podejmie inne konspiracje, inne zadania. Zachowa dystans do bezkrytycznych apologii „zrywu", co wolno każdemu kawalerowi Krzyża Walecznych, który ze strzaskaną ręką spędził kilkanaście godzin w kanałach, ale na rozprawach, przesłuchaniach i knuciu spędzi ponad 30 lat, stając się z czasem nestorem PRL-owskiej opozycji.

Łukasz Garbal w książce, która chyba tylko przez kokieterię nosi podtytuł „Krótka biografia" (za kilka miesięcy ma się ukazać jej jeszcze dłuższa, opatrzona aparatem naukowym wersja) podąża za swoim bohaterem po wszystkich warszawskich chodnikach, redakcjach, kawiarniach. Jak przystało na biografię osoby publicznej, to zarazem po trosze bryk z najnowszej historii politycznej Polski, po trosze – świetny obraz parantel powojennej inteligencji, wadzącej się z PRL i zarazem zmuszonej do współistnienia z nim ściślejszego niż inne „stany". Garbal pisze o Lipskim z bliską wszechwiedzy kompetencją, ale też z rewerencją, jaką żywi się dla mistrza: czy dlatego może zbyt lekko traktuje kwestię kłopotliwej genezy Klubu Krzywego Koła? W tej kwestii szczególnie liczę na przyszłą, rozszerzoną wersję pracy. Zarazem „Prezydent opozycji" wpisuje się, obok niedawnych „Zgliszcz" Piotra Zaremby, w ciąg ważnych prób odmłodzenia, opowiedzenia na nowo powojennego oporu „organicznego", nieoświetlanego rażącym blaskiem rocznicowych rac.

Łukasz Garbal, „Prezydent opozycji. Krótka biografia Jana Józefa Lipskiego", Instytut Pamięci Narodowej 2017

Lipski, sam figlarz, stał się lekko tylko zawoalowanym bohaterem aż dwóch heroikomicznych poematów Janusza Szpotańskiego: ufam, że autor, który zatytułował swą książkę, odwołując się do jednego z tych pysznych utworów, wybaczy mi podobny zabieg.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Adamski poleca

Polak potrafi!

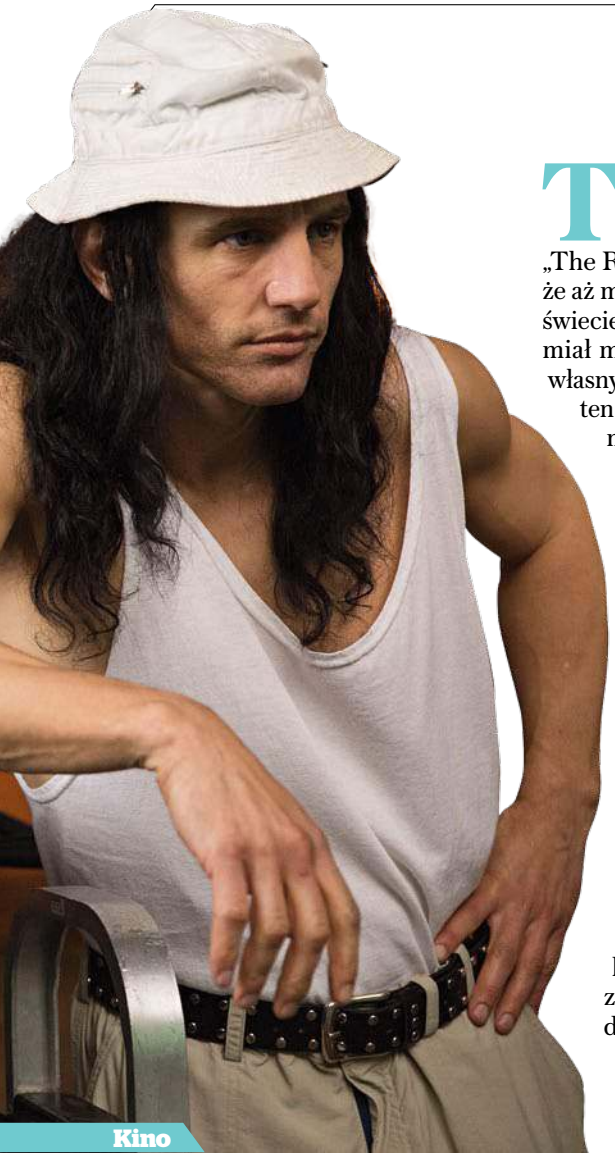

Kino

Tommy Wiseau zyskał miano reżysera najgorszego filmu wszech czasów. Do niedawna twórca „The Room" z 2003 r. (filmu tak złego, że aż mającego miliony fanów na całym świecie) był postacią enigmatyczną. Skąd miał miliony dolarów, by sfinansować własny film? Gdzie naprawdę się urodził ten mówiący z dziwnym akcentem samozwańczy artysta?

Po sukcesie „The Disaster Artist" Wiseau stał się celebrytą. Kiedy James Franco dostał za rolę Złoty Glob, Wiseau wszedł na scenę i złapał za mikrofon. Okryty glorią Franco go odepchnął. Znamienna kropka nad i filmu, który opowiada przecież o odepchniętym przez Hollywood filmowcu. Dokumentalista Rick Harper twierdzi, że ukrywający swoją prawdziwą tożsamość Tommy Wiseau to Tomasz Wieczorkiewicz z Poznania. A więc Polak potrafi?

Wiseau (James Franco) to niepoprawny marzyciel. Zakochany w sobie ekscentryk, zazdrosny o sukces jedynego oddanego przyjaciela Grega (Dave Franco). Egocentryzm Wiseau połączony z brakiem talentu jest sam w sobie komiczny. Jednak oparty na powieści Grega Sestero i Toma Bissella scenariusz pokazuje też dramatyzm tej postaci. Bracia Franco znakomicie oddali istotę przyjaźni Grega i Tommy'ego. Dwaj loserzy odrzuceni przez filmowy mainstream pozostali wobec siebie lojalni, choć ze strony żyjącego w poczuciu ciągłej zdrady Tommy'ego lojalność ma swoją cenę.

„The Room" podczas premierowego pokazu dostał salwy braw i wywołał spazmatyczny śmiech widowni. A przecież Wiseau tworzył film z myślą o dramaturgu Tennessee Williamsie! Łzy rozpaczy zamienił na łzy szczęścia. Czy jednak pogodził się z rolą czołowego obciachowca kina? Jak musiała wyglądać przemiana filmowca, który z pełnego ambicji ekscentryka stanął w jednym szeregu z Edem Woodem?

Brakuje mi w tym filmie magii właśnie „Eda Wooda" Tima Burtona. Magii, której Wood był oddany. Wiseau wciąż słyszał, że może się wcielać jedynie w wampiry. Może dlatego tak usilnie ukrywał wschodnioeuropejski akcent? Jednocześnie łaknął uwagi otoczenia, tak jak wampiry łakną krwi. Drugi Béla Lugosi? Nie. Burton pokochał swojego bohatera. Franco swojego wykorzystał i odepchnął, robią o nim jednak kawał dobrego kina.

„THE DISASTER ARTIST", REŻ. JAMES FRANCO, DYSTR. WARNER BROS

Cios w korporacje

VOD

Dokumentalny serial „Dirty Money" jest potężnym ciosem w rosnącą wszechwładzę korporacji. Brzmi niepokojąco? Nawet taki libertarianin jak piszący te słowa przyznaje z pokorą, że państwa narodowe są coraz bardziej bezsilne w zderzeniu z absurdalnie bogatymi korporacjami. Nie jest ten serial infantylnym spojrzeniem lewaków z burd antyglobalistów. Nie jest to też kolejna manipulacja Michaela Moore'a. Netflix wyprodukował show, który uderza w przekręty korporacji obiektywnie, bezkompromisowo i bez ideologizowania.

Poraża już pierwszy epizod sześcioodcinkowego serialu zdobywcy Oscara Alexa Gibneya. Obnaża bowiem przekręt korporacji Volkswagena, która fałszowała pomiary emisji spalin w swoich autach. Skandal skończył się olbrzymimi odszkodowaniami i wymianą sprzętu przez niemieckiego giganta. Odcinek o VW zaczyna się od ujęć Adolfa Hitlera, który wymyślił ideę „auta dla ludu". Końcowe sceny ukazują, jak kilka lat temu (sic!) testowano wpływ spalin diesla na żywe organizmy. Konkretnie na małpy trute spalinami popularnego „garbusa". Nieświadome małpy oglądały przy tym kreskówki. Porażająca perwersja.

„DIRTY MONEY" JEST DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 0e6beb08e8

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Dynastia w różowych kajdankach

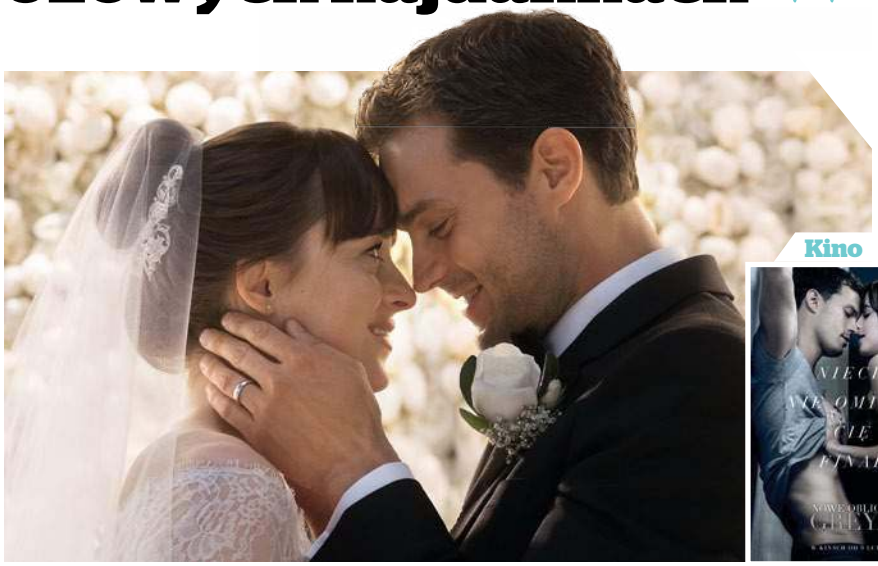

Kino

Nareszcie! Koniec opartej na ukochanej przez miliony czytelników, dostępnej nawet na półkach dyskontów, grafomańskiej erotyce E.L. James. Ostatnia część sado-maso bombonierkowego (copyright: Michał Oleszczyk) romansidła kopciuszka o imieniu Anastasia (Dakota Johnson) i perwersyjnego księcia (Jamie Dornan) ma jeden walor. Kończy się prorodzinnie! Małżeńska harmonia, dzieci, bajkowe życie ułożonej familii – okropny banał, ale w czasach kwestionowania istoty rodzinnych więzi jest to truizm potrzebny. Tylko co z tego, skoro trzeba do niego przebrnąć przez trzy grafomańskie, fatalnie zagrane, pokracznie wyreżyserowane i głupawe filmy. Nie potępiam ich z pozycji moralisty. Lubię libertyńskie „9 i pół tygodnia", „Oczy szeroko zamknięte" Stanleya Kubricka uważam zaś za małe arcydzieło. Te filmy również eksploatowały ciemną stronę ludzkiej seksualności. W drapieżny i przewrotny sposób.

Trylogia o Greyu to plastikowy produkt dla mas. Cukierkowo oswajający sadomasochizm, skrojony pod masowe wyobrażenia o życiu „bogaczy". To taka „Dynastia" z pejczem i różowymi kajdankami. Wszystko jest tutaj bezpiecznie zamknięte w ramy poprawnego, popularnego kina. Lśniącego na zewnątrz i pustego w środku. Nawet jeżeli James mówi nam, że perwersyjność wallstreetowego księcia bierze się z tragicznego dzieciństwa, osuwa się w sensacyjność fabuły, to i tak wybrzmiewa z jej opowieści prosta, pierwotna wręcz fascynacja ludu bogactwem finansowej trumpowskiej arystokracji. To zresztą trylogia pasująca do ery Trumpa – ikony turbokapitalizmu i libertyna stającego się twarzą konserwatywnej kontrrewolucji.

Tym razem Christian Grey i Anastasia będą badać granice swoich seksualnych fantazji w małżeństwie. Czy może to być związek „wyzwolony"? Czy kajdanki z zabaw sado-maso i kajdanki małżeńskie... no dobrze, kończę analizę tego „dzieła". Możliwe, że Polacy („Greye" to najchętniej oglądane filmy w polskich kinach po 1989 r.) wiedzą o tej serii coś, czego ja nie dostrzegam. Nie będę więc się nad tą pasją znęcać. Szkoda mi tylko Jamesa Foleya, który z twórcy klimatycznych obrazów jak „W swoim kręgu" czy „Glengarry Glen Ross" przeistoczył się w hollywoodzkiego rzemieślnika do wynajęcia. Przejść od reżyserowania sztuk Davida Mameta do ekranizacji erotyki sprzedawanej w Biedronkach? Koszmar.

„NOWE OBLICZE GREYA",
REŻ. JAMES FOLEY, DYSTR. UIP

Linia żenady

DVD

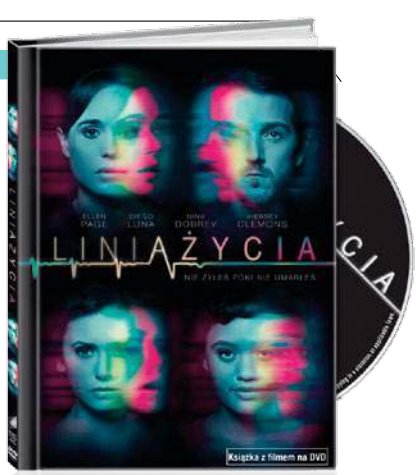

Nie wiem, po co na nowo robić filmy, których oryginały wciąż wywołują u widzów żywe emocje. „Linia życia" Joela Schumachera z 1990 r. nie jest żadnym arcydziełem, ale ma swój niepodrabialny klimat. Nowa wersja opowiada dokładnie o tym samym, tylko w sposób o wiele gorszy.

Czworo studentów medycyny podejmuje się eksperymentu polegającego na zatrzymaniu pracy serca. Chcą doświadczyć, czym jest śmierć kliniczna. Wydłużają kolejne eksperymenty, aż dotykają innej rzeczywistości. Początkowa radość z otwarcia podświadomości, poszerzenia granic umysłu zamienia się w koszmar z prześladującymi studentów upiorami. Oryginał skupiał się na kwestii poczucia winy, próbie jej odkupienia i przesłaniu, by nie igrać ze złem. Tutaj wszystko skupia się na wyświechtanym sloganie z co drugiego horroru klasy C: „Coś przeszło przez drzwi, które otworzyliśmy". Apeluję, by nie otwierać drzwi na seans tego niewypału.

„LINIA ŻYCIA",
REŻ. NIELS ARDEN OPLEV, DYSTR. UIP

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 0e6beb08e8

Zaremba o dobrych i złych lekcjach historii

Cywilizowana rozmowa o historii z ludźmi ukształtowanymi przez świat wirtualny jest możliwa. Szamani mogą się stać mniej słyszalni

Rys. Maciej Maliczak, Shutterstock

PIOTR ZAREMBA

Byłem jednym z tych, którzy bili się do zwycięskiego końca o przywrócenie w szkołach średnich normalnej kursowej historii od pierwszej do ostatniej klasy. To zabawne, ale ci, którzy kibicowali jej redukcji, żądali równocześnie szkolnych debat, wypraw do muzeów, oglądania podczas lekcji źródeł i filmów.

W SZKOLE I PO SZKOLE

Na to musi być czas. Z drugiej strony dyskusje muszą mieć solidną podbudowę faktograficzną. Teza, że kursowa historia do końca i czteroletnie liceum stwarza perspektywy bogatych lekcji, dających i nauczycielowi, i uczniowi szanse na wygadanie się, wydaje się oczywistością.

Kiedy czytałem nowe podstawy programowe do szkół podstawowych i średnich, odniosłem wrażenie, że Ministerstwo Edukacji Narodowej z tej szansy korzysta. Posypały się oskarżenia, że czegoś tam nie ma lub jest za mało, ale często te pretensje opierały

eprasa.pl 0e6beb08e8

się na przeinaczeniach. Miało zabraknąć powstania wielkopolskiego, ale przecież jest „kształtowanie polskich granic w latach 1918–1921". Ze zgrozą konstatowano brak Lecha Wałęsy, gdy są bohaterowie „Solidarności".

Czasem ataki miały naturę otwarcie ideologiczną. Jak wtedy, gdy komentatorka „Krytyki Politycznej" żądała, żeby obok „cudu bitwy warszawskiej 1920" był „cud wejścia do Unii Europejskiej". Rzecz w tym, że dokumenty MEN nie nazywają zwycięstwa nad bolszewikami „cudem". A polska szkoła mówi po prostu o „wejściu do Unii Europejskiej".

Tyle że historyczna edukacja to nie tylko szkoła, choć jako dawny nauczyciel wzywam, aby ją docenić. Taka edukacja odbywa się całe życie.

Polska jest mocno zwrócona ku historii. Nawet jeśli wzrost czytelnictwa historycznych magazynów się zatrzymał, pojawiają się kolejne bodźce, choćby zalew historycznych filmów i seriali. Dyrektor Jedynki TVP Mateusz Matyszkowicz zapowiada ich sporo: armia Andersa, likwidatorzy z Kedywu, młodość Piłsudskiego, historyczna panorama dwudziestolecia międzywojennego z perspektywy kobiet. Ale także powrót do historii dawniejszej, niepenetrowanej przez polską kinematografię od lat. Na razie mamy czasy Piastów w popularnej „Koronie królów", ale ma się też pojawić obraz ambitniejszy. Słychać plotki, że chodzi o adaptację książek Elżbiety Cherezińskiej o czasach średniowiecza. Zarazem obchody 100-lecia niepodległości będą sprzyjać historycznym fascynacjom. Możliwe, że aż do przesytu.

Zarazem... dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego Jan Ołdakowski przy okazji propagandowej wojny z Izraelem zaprosił dziennikarzy stamtąd do swojej placówki. Okazało się, że nie odróżniają tego powstania od powstania w getcie, nie wiedzą też, że w Auschwitz byli jacykolwiek polscy więźniowie obok Żydów. Mają zresztą podstawowe braki także w opisie martyrologii własnego narodu. To oni zaś moderują, a często inspirują dyskusję o naszej wspólnej historii.

Może także dlatego tak ona wygląda. Ale zżymając się na to, postawmy pytanie, czy nasi dziennikarze są wyposażeni w komplet podstawowej wiedzy, w czasach gdy historia bywa ważnym tematem politycznym? Potem postawmy pytanie o inne opiniotwórcze środowiska. Nie pamiętamy już polityków mających kłopot z datowaniem powstania warszawskiego czy czasów „Solidarności"?

Zachwyceni zanurzeniem Polaków w historii nie rezygnujmy z nawoływania do permanentnej edukacji towarzyszącej nam przez całe życie. Ma ona, powinna mieć, swoje reguły.

KOMPLIKUJMY, SZUKAJMY SPRZECZNOŚCI

Komplikowanie opowieści o historii jest naszym zadaniem, co nie znaczy, że łatwo się z niego wywiązać. Pamiętam swoje doświadczenie nauczycielskie – sprzed 30 lat. Wbrew stereotypowi otwartych młodych głów większość uczniów nie pożąda komplikacji. Woli tezy proste jak cepy, bo łatwiej je, chwilowo przed klasówką, wkuć.

Dzisiejsi Polacy są podobni do opornych uczniów. Część z nich ma kłopot z przeczytaniem, ze zrozumieniem prostego tekstu. Ale i ci bardziej wyedukowani z ochotą przyjmują narracje schematyczne, jednostronne, często podkoloryzowane, ale nie po to, aby uwzględniać wiele barw, lecz żeby przebił się jeden jaskrawy kolor.

Wynika to z tabloidyzacji przekazu, poetyka internetowego memu dominuje nad żmudnym przebijaniem się przez rzeczywistość, przez sprzeczne racje, przez plątaninę interesów, wrażliwości i skutków równoważonych przez inne skutki. Inny powód to wyjątkowe natężenie politycznej i ideowej polaryzacji. Historia jest dla wielu ludzi i środowisk orężem.

Jesteśmy w przededniu okrągłej, 50. rocznicy Marca '68. I myślę o niej z niepokojem, bo jej wymowa może rzutować na delikatne stosunki polsko-żydowskie. Ale nie tylko dlatego.

W marcu 1981 r. na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się sesja naukowa poświęcona tym zdarzeniom. Na skutek solidarnościowej odwilży można już było o nich mówić. Niektóre głosy były tam bardziej jednostronne, inne mniej, przeważała narracja dawnych Komandosów, czyli lewicowej opozycji spod znaku Adama Michnika. Ale w sumie dostawaliśmy wielobarwny, ciekawy obraz. A dziś...

A dziś każda z nisz ma swoją wąską wersję. Część prawicy niemal kupiła obraz ówczesnej propagandy władzy, chociaż w marcowych manifestacjach widzimy nawet, na dalszym planie, twarze 19-letnich braci Kaczyńskich. W tej wersji Marzec to niejasna rozgrywka na szczytach władzy: nacjonaliści z aparatu PZPR i MSW kontra dzieci dawnych stalinowców, ci ostatni powodowani złą wolą.

Z kolei środowiska liberalno-lewicowe budują swoje kapliczki, tworząc przy okazji z Marca pałkę. Każdy z prawicy, kto próbuje dyskutować ze środowiskami żydowskimi, to oczywiście spadkobierca ministra Moczara.

Nie drażni mnie to, że Marzec jest dla tych środowisk synonimem wolności. Bo zbuntowani studenci, wcale nie tylko lewicowi, naprawdę szukali jej na ulicach polskich miast. Ale pomija się niewygodne pytania. Choćby o to, czy Polacy naprawdę nie mogli być zdezorientowani, widząc wśród ludzi zmuszanych do emigracji prawdziwych stalinowców? Albo o to, dlaczego Moczar zyskał tak łatwo wspólny język z niektórymi dawnymi akowcami?

Podczas sesji marcowej w roku 1981 te pytania padły. Nad obecnymi mniemaniami lewicy, także środowisk żydowskich, unosi się za to przekonanie, że „antysyjonistyczna" kampania Gomułki i Moczara to wyraz antysemickiej woli polskiego narodu.

Im bardziej rozległe procesy społeczne, tym więcej komplikacji. Nieprzypadkowo dziś mądrzy ludzie z obu stron ideowej barykady powtarzają, że nieprawdziwy jest obraz Polaków w 100 proc. heroicznych, gdy trzeba było chronić podczas wojny Żydów, ale kłamstwem jest obraz narodu szmalcowników. Niestety nawet tak proste zdanie, wykluczające dwie skrajności, dla wielu jest za trudne, o czym można się przekonać, śledząc internetowe dyskusje. Byłbym spokojniejszy, gdyby zwłaszcza wśród nauczycieli i akademickich wykładowców takie podejście cieszyło się zrozumieniem. Także wśród dziennikarzy i animatorów publicznych debat.

eprasa.pl 0e6beb08e8

KOMPLIKACJE MAJĄ GRANICE

Ale zajmowanie się historią nie polega wyłącznie na żmudnym przekopywaniu faktów, wychwytywaniu sprzeczności, choć każdy może się indywidualnie do tego ograniczyć. Wielu historyków, zwłaszcza o poglądach liberalno-lewicowych, kwestionuje pojęcie „polityki historycznej". Tyle że każda decyzja, co eksponować w muzeach czy komu postawić pomnik, to element takiej polityki. Prowadzi ją każde państwo.

Prowadzi ją także szkoła. Dlatego broniłem decyzji twórców nowego programu dla ośmioletniej podstawówki, aby w klasie czwartej swoistą propedeutyką przedmiotu historia były życiorysy narodowych bohaterów. Czas na komplikacje przyjdzie później. Małe dzieci powinny widzieć, kto się szczególnie zasłużył ojczyźnie.

Czy po takim wstępie będzie później miejsce na pogłębione studia, spory, wątpliwości? Powinno być choćby na pytanie: czy dzielny konspirator i twórca polskiej armii Józef Piłsudski to równocześnie w ostatnich latach swego życia kontrowersyjny dyktator? Albo na dyskusje o antysemityzmie w Polsce. Ale podglebiem powinna być duma z własnej historii. Wiem, że trudno pogodzić jedno z drugim. Trzeba próbować.

Nauka historii w polskiej szkole zaczyna się od odwoływania się do konkretnego miejsca i konkretnych historii ludzkich, także rodzinnych. Nauczyciela czeka tu wiele trudnych zadań. Bo te osobiste doświadczenia i rodzinne tradycje bywają zdradliwe.

Czyja pamięć ma przesądzać: potomków zwolenników sanacji czy opozycyjnych endeków albo socjalistów? A co do okresu bezpośrednio po ostatniej wojnie – czy istotnie jedynym doświadczeniem wartym utrwalenia powinni być Wyklęci, skoro przy całej szlachetności ich postaw nie było to doświadczenie masowe? A co z cywilnym oporem? Co z wyborami tych, którzy decydowali się przetrwać w pozytywistycznym zaangażowaniu w pracę służącą wspólnocie? Recepty podsuwane przez obecny obóz władzy są zbyt proste. A jego liderzy sami nie są potomkami antykomunistycznych partyzantów.

Ktoś, kto tę historię wykłada, skazany jest tu na mediowanie między różnymi doświadczeniami a wrażliwościami. To trudne, bo jego samego warunkują biografia i przekonania.

> Historyczna edukacja to nie tylko szkoła, choć jako dawny nauczyciel wzywam, aby ją docenić. Taka edukacja odbywa się całe życie

Zarazem taka mediacja ma swoje granice. A co z wrażliwością osób wywodzących się z dawnego komunistycznego obozu władzy? Należy im się ludzki szacunek, ale czy także inkorporowanie ich punktu widzenia do wspólnej świadomości? Tej formułowanej przez szkołę, media, świat polityki. Nie chciałbym, aby nurt akceptacji dla narodowej niesuwerenności i totalitarnych praktyk był nurtem „równoprawnym".

SPRAWDZAJMY WSZYSTKO

Nie zawsze więc wystarczy komplikować, choć nie mam prostej recepty na inteligentną syntezę. Wszystkim popularyzatorom historii doradzam za to jedno – profesjonalną nieufność wobec informacyjnego szumu.

Bywa, że jego producentami są nawet historycy (lub osoby podające się za historyków). Oto Szymon Datner oceniał kiedyś, że ok. 200 tys. Żydów umknęło podczas Holokaustu machinie deportacji do obozów śmierci. Z nich mniej więcej połowa ocalała. Druga połowa, ok. 100 tys., to ludzie, którzy zginęli potem w różnych okolicznościach. Pewnie także na skutek donosów, czasem mordów dokonywanych przez Polaków.

U prof. Jana Grabowskiego liczba owych zabitych „z winy Polaków" to już 150 do 200 tys. Jan Tomasz Gross dorzucił lekką ręką kolejne 50 tys. Te coraz wyższe, „znajdowane" w następstwie bardzo wątpliwych (także u Datnera) metod liczby są elementem swoistej licytacji. O skalę surowej oceny polskiego społeczeństwa.

Ale po prawej stronie dzieje się czasem to samo. Rozumiem żądanie dokończenia ekshumacji w Jedwabnem, lecz niefrasobliwość, z jaką politycy, a czasem i historycy, żądają w publicystycznej manierze, aby już dziś unieważniać ustalenia IPN dotyczące tego mordu, trąci szamańskimi praktykami. Można dziś zresztą powiedzieć dowolną rzecz, nie posiłkując się badaniami, tylko własnym mniemaniem.

Miejsce żmudnych ustaleń zajmują rzucane ad hoc przypuszczenia, na ich podstawie powstają całe grube tomy z tak kontrowersyjnymi założeniami jak konieczność polsko-niemieckiego sojuszu w roku 1939. Tabloid, mem, blog zastępują naukową katedrę. Myślę, że zwłaszcza ludzie młodzi nie odróżniają jednego od drugiego.

Warto im uświadamiać i to, że internet roi się od wymyślonych przemówień prawdziwych historycznych postaci, a hasła Wikipedii rzadko bywają bezbłędne. Internetowe fora pełne są apokryfów. Są one zdradliwe zwłaszcza wtedy, kiedy zgadzają się z naszymi mniemaniami o historii.

Przez kilka dni moi znajomi z Facebooka delektowali się sowieckim plakatem wyrażającym w roku 1940, a więc po pakcie Ribbentrop–Mołotow, radość z powodu niemieckich bombardowań Londynu. Duch niby prawdopodobny. Ale plakat okazał się mistyfikacją. A historia to nauka o faktach, nie o duchu, bo wtedy zmieni się w propagandę opartą na manipulacjach.

Przed czym przestrzegam wszystkich. Nie przestrzegam za to przed rozmową. Moje doświadczenie przekonuje mnie, że cywilizowana rozmowa o historii, także z ludźmi ukształtowanymi przez świat wirtualny, jest możliwa. Dyskusja o faktach, jak i o interpretacjach. Trzeba szanować cudzą wrażliwość, co nie musi oznaczać potakiwania. I mieć samemu niewiele wstępnych założeń. Ale też bronić tego, co przeszło weryfikację jako fakt. Szamani nie znikną, staną się jednak słabiej słyszalni.

7/0218/F

eprasa.pl 0e6beb08e8

Fot. Andrzej Wiktor

Młodzież chce być dumna ze swojego kraju

Warto pamiętać i ciągle przypominać nasze polskie drogi do niepodległości i umacniać świadomość, że niepodległość jest wartością, jedną z najważniejszych, o którą trzeba walczyć i stale jej pilnować – powiedział marszałek Sejmu Marek Kuchciński, otwierając wystawę

To ważne słowa. Zwłaszcza dziś, kiedy stoimy u progu obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, ich głębokie przesłanie powinno zastanowić każdego, komu leży na sercu los Ojczyzny.

Kiedy pochylam się nad tym zdaniem – ja, młody człowiek, urodzony już w wolnej Polsce – zdaję sobie sprawę, jak odpowiedzialne zadanie stoi przed młodym pokoleniem, które miało to szczęście, że urodziło się po zmianie systemu. Czy młodzież zdaje sobie sprawę z tego zadania? Mam nadzieję, że tak. Polska droga do wolności była długa, trudna i wymagająca wiele poświęcenia. Trzeba o tym przypominać, aby ten dar docenić. Dlatego cieszę się, że młodzież w całym kraju, dzięki wystawie „W drodze do niepodległości", będzie miała okazję zapoznać się z najistotniejszymi wydarzeniami związanymi z odzyskaniem przez Polskę niepodległości.

Piszę o wystawie zainaugurowanej 7 lutego w Sejmie Rzeczypospolitej, którą otworzył sam marszałek Sejmu Marek Kuchciński. Polityk w swoim przemówieniu podczas ceremonii stwierdził, że „niepodległość jest jedną z najważniejszych wartości" i „warto przypominać sobie polskie drogi do niepodległości". I taki jest cel wystawy, której inicjatorami są prezes zarządu PERN S.A. Igor Wasilewski oraz prezes zarządu Banku Pocztowego S.A. Sławomir Zawadzki. Wasilewski i Zawadzki założyli, że wystawa będzie krążyć po szkołach, aby – jak powiedział prezes PERN – „budować wśród młodzieży poczucie tożsamości narodowej i poczucie dumy z historii". A jest z czego być dumnym!

Wystawa składająca się z 30 plansz jest częścią większego projektu – „Dla Niepodległej", której partnerami oprócz PERN i Banku Pocztowego są Archiwum Akt Nowych i Narodowe Archiwum Cyfrowe. Partnerzy chcą wyposażyć szkoły w dodatkowe pomoce naukowe, m.in. teczkę sztubaka oraz 14 innych plansz, które prezentują sylwetki wybitnych postaci związanych z walką o niepodległość, jej utrwalaniem i tworzeniem suwerennego państwa, np. marszałka Józefa Piłsudskiego, Ignacego Paderewskiego, gen. Józefa Hallera czy Romana Dmowskiego, Wojciecha Korfantego i Eugeniusza Kwiatkowskiego. Czy jednak w dobie social mediów jest miejsce na to, aby o historii Polski mówić za pomocą wystawy? Prezes Wasilewski nie ma wątpliwości: „Młodzież dzisiaj chce być dumna ze swojego kraju i jego historii. Chce pokazywać, że ma pewną historię, że nie jest tylko tu i teraz, ale że ma oparcie w historii. »Dla Niepodległej« wpisuje się w tę potrzebę". Zdaniem prezesa spółki PERN młodzież wystarczy zainteresować, a jeżeli to już się uda, ona sama sięgnie po więcej. „Pokazanie pewnego elementu powoduje, że młodzież sama zaczyna szukać, czytać więcej. Wiem to z własnego doświadczenia, bo mam dwójkę dzieci w wieku młodzieżowym, i widzę, że uświadomienie powoduje, iż młodzież sięga, czyta i dowiaduje się rzeczy, których normalnie by nie robiła" – podkreśla Wasilewski.

Wystawa „W drodze do niepodległości" to ważna inicjatywa nie tylko dlatego, że skierowana jest do młodzieży. O jej wartości stanowi to – co podkreślił z kolei minister Henryk Kowalczyk – że pójdzie ona w „teren".

„Mam nadzieję, że wystawa będzie znakomitym materiałem towarzyszącym w wielu małych ośrodkach, które zgodnie z intencją pana prezydenta Andrzeja Dudy, aby obchody 100-lecia odzyskania niepodległości nie były tylko obchodami centralnymi, lecz żeby te obchody były wszędzie obchodzone lokalnie, aby wydobywać lokalnych patriotów, osoby, które powiedzmy z trzeciego szeregu bardzo wydatnie przyczyniły się do odzyskania polskiej niepodległości" – mówił minister środowiska.

Warto odwiedzić stronę www.dlaniepodleglej.pl i zaprosić wystawę do swojej szkoły.

Kamil Kwiatek

eprasa.pl 0e6beb08e8

Kałuża Merkel

Niemieccy chadecy i socjaldemokraci stali się niewolnikami własnego porozumienia

PIOTR CYWIŃSKI

Co ma wspólnego Martin Schulz z jogurtem? Krótki okres przydatności do użytku" – kpią Niemcy z byłego kandydata socjaldemokratów na kanclerza, byłego szefa SPD, dziś szeregowego towarzysza. To samo można by jednak powiedzieć o całym starym-nowym rządzie kanclerz Angeli Merkel.

Kompromisy mają to do siebie, że nie ma stron w pełni usatysfakcjonowanych. W przypadku kleconej na siłę pół roku po wyborach rządowej koalicji przegranych CDU/CSU-SPD nikt nie jest nawet choćby częściowo zadowolony. Chadecy i socis dogadali się, bo nie mieli innego wyjścia. Gdyby nie stworzyli wspólnego gabinetu, w Niemczech musiałoby dojść do wyborczej powtórki, co dla obu tych obozów mogłoby się skończyć jeszcze większą klęską niż we wrześniu ub.r. Największym przegranym jest Martin Schulz, który liczył na to, że dzięki dogadaniu tej tzw. wielkiej koalicji uratuje się od politycznego niebytu. Ale to już wczorajszy śnieg. Był Schulz, nie ma Schulza – na skutek buntu w łonie własnej partii nie obejmie ani stanowiska szefa niemieckiej dyplomacji, ani żadnej innej ministerialnej posady.

W SPD trwa dziś walka o to, kto ma być jej nowym przewodniczącym. Także wśród chadeków słychać głosy, że czas Merkel dobiega końca, że przydałoby się wielkie wietrzenie na kierowniczych piętrach w siostrzanych partiach CDU/CSU.

To naturalne, że kiedyś kariera „Mutter der Nation", jak jeszcze niedawno Niemcy nazywali swoją ulubioną kanclerz, musi się skończyć. Merkel urzęduje już 12 lat. Jednakże rozprawianie o jej politycznym pogrzebie jest mocno przesadzone i przedwczesne.

KARDYNALNY BŁĄD

Kto zna charakter tej wyszydzanej niegdyś „szarej myszy ze Wschodu" (Merkel pochodzi z dawnej NRD) i drogę, jaką przeszła, zanim jako pierwsza kobieta w historii Niemiec objęła urząd kanclerza, a także jej późniejsze, inteligentne eliminowanie przeciwników, w tym we własnej partii, ten ma świadomość, że ustąpi wtedy, kiedy będzie chciała, i bynajmniej nie w okolicznościach, w jakich przepadł Schulz. Nawiasem mówiąc, Merkel już zdążyła zapowiedzieć, że zamierza rządzić do 2021 r.

Ale prawdą jest także to, że zarówno ona, jak i jej formacja znalazły się w arcytrudnej sytuacji. Powód utraty popularności „matki narodu" wśród rodaków jest tylko jeden: polityka imigracyjna, firmowana też, a może nawet w głównej mierze, przez współrządzącą dotychczas SPD, która doprowadziła do kryzysu społecznego zaufania w Niemczech oraz do turbulencji i podziałów w całej Europie. Gdyby nie ten kardynalny błąd, wyniki wrześniowego głosowania byłyby z pewnością bardziej korzystne dla unitów z CDU/CSU, bo summa summarum Niemcom nie wiedzie się źle; mają stabilny rozwój gospodarczy, nadwyżkę budżetową, minimalne bezrobocie, rekordowy eksport itd.

To jednak tylko jedna strona medalu. Niezłe makrowskaźniki wskaźnikami, ale w istocie chadecy od lat borykają się z poważnym problemem własnej tożsamości. „Z partii, która godziła treści konserwatywne, liberalne i socjalne, Merkel zdołała wyczarować ideologiczne nic" – pisał swego czasu w „Die Welt" publicysta i polityk Alexander Gauland, wieloletni członek CDU (należał do tego ugrupowania przez 40 lat), obecnie jedna z kluczowych postaci i poseł Alternatywy dla Niemiec, największej partii opozycyjnej w Bundestagu. W latach sukcesu gospodarczego i politycznego Bundesrepubliki za rządów Merkel, „najbardziej wpływowej kobiety świata" (w rankingu amerykańskiego dwutygodnika „Forbes"), przycichła nieco dyskusja, na ile nazwa Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej ma jeszcze uzasadnienie i dokąd w ogóle zmierza niemiecka prawica.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Horst Seehofer, lider CSU, Angela Merkel, kanclerz Niemiec, i Martin Schulz

Fot. photocosmos7/Shutterstock.com x3

LITERA „C"

Nie da się ukryć, że u podstaw dzisiejszych problemów Merkel leży kwestia ideowej identyfikacji niemieckich chadeków. Pamiętam wystąpienie 72-letniego seniora CDU Erwina Teufela sprzed kilku lat, które wywołało w tej formacji prawdziwą burzę. Ten były premier Badenii-Wirtembergii wyłuszczył to, co od dawna leżało na sercu nie tylko jemu. Jak stwierdził, jego przystąpieniem przed ponad półwieczem do CDU powodowały wyraźnie określone względy ideały: polityka proeuropejska, a w kraju socjalna gospodarka rynkowa, ochrona państwa prawa, demokracji, wartości konserwatywnych, rodziny i sprawiedliwości społecznej. Teufel nie zostawił suchej nitki na dzisiejszym zarządzie swej partii, do której młodzi wstępują dziś dla karier, w której dawne ideały nie grają już żadnej roli, lecz zmieniają się w zależności od tego, z której strony wieje wiatr. Jak wytykał, chadecy politycy sami niejednokrotnie łamią normy społeczno-obyczajowe, a ugrupowanie straciło kontakt ze społeczeństwem, oderwało się od chrześcijańskich korzeni i nie wiadomo, czego chce, za czym się opowiada ani do czego zmierza.

Krytyka cenionego Teufela podziałała na kanclerz Merkel i zarząd unitów jak oblanie ukropem, ale od faktów trudno uciec. Od czasu rozbiórki muru berlińskiego szeregi chadeków opuściło ponad ćwierć miliona członków, co mówi samo za siebie. Znany za Odrą politolog prof. Arnulf Baring pomstował: „Troska o status par jednopłciowych, o single z dziećmi... – niech będzie, ale podstawową komórką funkcjonowania państwa i demokracji była i jest rodzina. Przy dostosowywaniu się do ducha czasów trzeba zachować punkty orientacyjne dla społeczeństwa, których dziś CDU nie ma" – podkreślał w jednej z rozmów. Choć chadecy mają wypisaną na sztandarach obronę wartości chrześcijańskich, w ocenie hierarchów kościelnych polityka unitów wręcz temu zaprzecza.

Pierwszym powodem ostrego zatargu CDU/CSU z Kościołem była liberalizacja ustawy antyaborcyjnej; to rząd chadecko-liberalny Helmuta Kohla zalegalizował przerywanie ciąży pod warunkiem uzyskania przez kobiety zaświadczeń o odbytej konsultacji, które mieli wydawać... księża. Ta praktyka została w Niemczech zarzucona dopiero po interwencji Watykanu. Obecnie formalne potwierdzenia o zasięgnięciu porady przed dokonaniem aborcji wydają urzędy zdrowia i organizacje społeczne, w tym stowarzyszenie... Pro Familia. Kościół zirytowało też prawne uznanie jednopłciowych małżeństw. Niemieccy biskupi niejednokrotnie już występowali o usunięcie ze skrótu nazw partii chrześcijańskich demokratów litery „c".

ZGNIŁY KOMPROMIS

„Wartość ma dziś tylko to, co da się przeliczyć na pieniądze. Ale wychowania w rodzinie kształtującego podstawy do życia w społeczeństwie nie da się tym określić, więc nie jest nic warte" – kwitował gorzko Teufel. Niemiecką prawicę znamionowały dawniej trzy nurty: chrześcijańsko-społeczny, oparty na wykładni wiary w Boga i pojęciu rzymskokatolickiej sprawiedliwości, narodowo-konserwatywny, uwypuklający znaczenie niemieckiej kultury i tradycji, oraz liberalno-rynkowy, ukierunkowany na ekonomię i gospodarkę. W ostatnich latach obóz chadeków wyraźnie zdominowali ci ostatni.

„Nie dajmy sobie wmówić, że konserwatyzm i nowoczesność to sprzeczności. Jest wręcz przeciwnie, kto tego nie rozumie, ten już przegrał" – ostrzegał partyjnych kolegów sam kanclerz Kohl tuż przed śmiercią. No i stało się. Wprawdzie chadecy z CDU/CSU wygrali niedawne wybory, ale z najgorszym rezultatem od lat. Dla ratowania skóry zawierają obecnie zgniły kompromis z lewicą z SPD. Partyjni koledzy Merkel zarzucają jej, że poszła na zbyt wielkie ustępstwa wobec socjaldemokratów. Ale ci ostatni też nie mają powodów do radości, i w tym obozie narasta bunt partyjnych dołów, również w dużej mierze z powodów ideologicznych, utraty, by nie powiedzieć zdrady lewicowych ideałów, i to z jeszcze większą siłą. Dodatkowo na kryzys ideowy w SPD nakładają się rozgrywki personalne. Wbrew przewidywaniom kierownictwo w tej partii nie zostało powierzone namaszczonej przez Schulza

eprasa.pl 0e6beb08e8

„czerwonej" Andrei Nahles, komisarycznym szefem (do nadzwyczajnego zjazdu, 22 kwietnia w Wiesbaden) został hamburski burmistrz Olaf Scholz, z najdłuższym stażem w zarządzie socis. Co to oznacza? Jeszcze nic, ale wieszczy na lewicy trzęsienie ziemi, gdyż Scholz jako członek ścisłego kierownictwa jest współodpowiedzialny za wrześniową klapę wyborczą swej formacji.

BUNT KOBIET

Tymczasem na szczycie SPD nie zasiądzie kobieta, co byłoby pierwszym tego rodzaju przypadkiem w ponadstuletniej historii tej partii. Co kuriozalne, uniemożliwił to bunt... kobiet. Prócz 47-letniej Nahles, która dopiero na zjeździe będzie mogła zgłosić swą kandydaturę na przewodniczącą, tę funkcję chciałaby także objąć mało znana w Niemczech była policjantka, 41-letnia Simone Lange. Niby – jak powiedziała – nic nie ma przeciw towarzyszce Nahles, ma natomiast coś przeciw odgórnemu wyznaczaniu szefa SPD przez partyjną wierchuszkę, bo „powinna go wyłaniać szeroka baza". Aspirantce Lange przyszła w sukurs m.in. urzędująca minister ds. rodziny Katarina Barley, która – zapewne po reprymendzie ze strony zarządu – zmieniła nagle front i wyraziła na Twitterze „pełne poparcie dla Nahles". Rozgorzałej dyskusji o wyborze nowego przewodniczącego/przewodniczącej SPD nie dało się już jednak zatrzymać.

Po stronie Lange przeciw objęciu schedy po Schulzu przez Nahles opowiedziały się m.in. premier Nadrenii-Palatynatu Malu Dreyer, notabene przeciwniczka koalicji rządowej z chadekami, i Manuela Schwesig, była minister w gabinecie Merkel, obecnie premier Meklemburgii-Przedpomorza. Co wyniknie z tego buntu kobiet, to się dopiero okaże, w każdym razie wielka koalicja CDU/CSU-SPD stoi pod wielkim znakiem zapytania. Nawet jeśli partyjne doły w SPD zgodzą się na jej powstanie (jeśli tej zgody nie będzie, to w Niemczech dojdzie do wyborczej powtórki), stary-nowy gabinet Merkel będzie funkcjonował w trybie warunkowym: każda z tych formacji liczy bowiem na poprawę swych notowań i, jeśli po wygaszeniu kryzysu imigracyjnego któraś z nich to osiągnie, może i tak dojść do przedterminowych wyborów, tyle że np. za dwa lata. Taki właśnie termin wyznaczyła sobie sama lewica dla dokonania sprawdzianu, czy zostaną spełnione jej postulaty przez gabinet kanclerz Merkel.

Równolegle w SPD toczy się ostra rozgrywka, kto będzie nowym szefem niemieckiej dyplomacji. Dotychczasowy szef tego resortu Sigmar Gabriel chciałby zachować tę funkcję, ale i tu pojawiły się schody.

> Aby odciągnąć sympatię wyborców od Alternatywy dla Niemiec, CDU/CSU-SPD wymyśliły powołanie nowego resortu: Heimatministerium, czyli federalnego ministerstwa ojczyźnianego, które ma zadbać o patriotyzm lokalny

WIELKA NIEWIADOMA

Na ministra Gabriela, wcześniej szefa SPD, spadły zarzuty, że w rywalizacji z Schulzem wykazał się dyskredytującym brakiem opanowania. Gabriel sam zamierzał wystartować przeciw Merkel jako lider lewicy, a uniemożliwił mu to poprzez wewnętrzne intrygi właśnie Schulz, po pożegnaniu się z posadą przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. Gdy kilka dni temu usunął się ze sceny, Gabriel zacytował publicznie córeczkę, która powiedziała, że „tatuś będzie miał wreszcie spokój z tym niemiłym panem z włosami na twarzy".

Wprawdzie Gabriel przeprosił za swe wynurzenia, ale w międzyczasie pojawili się nowi pretendenci do zastąpienia go przy biurku szefa MSZ: obecnie minister sprawiedliwości w rządzie federalnym Heiko Maas i wiceszef Bundestagu Thomas Oppermann – obaj bez większego doświadczenia w polityce zagranicznej. Maas, 51-letni jurysta, katolik, dwukrotnie żonaty, triatlonista z zamiłowania, wywodzi się z Kraju Saary. Podczas urzędowania w gabinecie Merkel na jego głowę posypały się zarzuty, że usiłował ograniczyć wolność prasy i swobody obywatelskie, a także, że przyczynił się do dymisji prokuratora federalnego, czym naruszył niezależność wymiaru sprawiedliwości. Z kolei 64-letni Oppermann, z wykształcenia germanista i anglista, który za młodu odmówił odbycia obowiązkowej służby wojskowej, dwukrotnie żonaty, bibliofil i miłośnik piłki nożnej, były minister nauki i kultury w rządzie Dolnej Saksonii, był uwikłany w aferę, w której jakoby ostrzegł pośrednio kolegę partyjnego, posła Sebastiana Edathy'ego, podejrzanego o zainteresowania dziecięcą pornografią, że prowadzone jest przeciw niemu dochodzenie. Ten ostatni uniknął śledztwa, ponieważ nagle zaginął jego laptop, czyli nie było materiału dowodowego. Czy i kto zostanie szefem niemieckiej dyplomacji, okaże się niebawem. Trudny wybór...

Chadecy i socjaldemokraci stali się niewolnikami własnego porozumienia. Losy wielkiej koalicji to dziś wielka niewiadoma. Zarówno kanclerz Merkel, jak i Olaf Scholz, komisaryczny szef socjaldemokratów, sprawiają wrażenie, jakby stali w kałuży i bali się zrobić krok w którąkolwiek stronę, aby nie wpaść w jeszcze większą dziurę ukrytą pod powierzchnią wody. Aby odciągnąć sympatię wyborców od Alternatywy dla Niemiec, CDU/CSU-SPD wymyśliły powołanie nowego resortu: Heimatministerium, czyli federalnego ministerstwa ojczyźnianego, które ma zadbać o patriotyzm lokalny. Cokolwiek to znaczy, pozostaje fundamentalne pytanie: czy powrót do zatraconych w Niemczech wartości, do – jak to ujął politolog Baring – punktów orientacyjnych dla społeczeństwa, da się zadekretować poprzez stworzenie przez koalicję przegranych nowego urzędu? Można wątpić.

52/0118/F

eprasa.pl 0e6beb08e8

Poczta Polska

EKSPRES PIENIĘŻNY

PRZEKAZ NA CZAS

NAWET W 10 MINUT*

PRZESYŁASZ → ← ODBIERASZ

GOTÓWKA NA POCZCIE

www.poczta-polska.pl

* 10 minut dotyczy tylko opcji “na teraz”.
Do terminów realizacji usług nie wlicza się przypadków określonych w Regulaminie.
Usługa jest realizowana w sieci własnej bez agencji pocztowych.
Szczegóły w Regulaminie usługi dostępnym na www.poczta-polska.pl i sieci placówek pocztowych.
Informacja zawarta w niniejszym materiale nie stanowi oferty w rozumieniu Art.66 ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 Kodeks Cywilny.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Nie będzie Niemiec... Wreszcie

Już nie da się ukryć przed opinią publiczną politycznego trzęsienia ziemi, jakie zapanowało w najbogatszym kraju Europy, czyli w Niemczech. Do pechowego 2015 r. elity niemieckie trzęsły Unią Europejską i każdym jej krajem członkowskim z osobna. Zasobna kasa łaskawie wspierała bankrutujące państwa europejskiego Południa, pouczając ich obywateli, jak należy żyć i pracować, żeby osiągnąć gospodarcze sukcesy. Grecy to lenie i brudasy, a południe UE to nieudacznicy i pożyteczni idioci, którzy dali się wrobić w nielegalną imigrację muzułmańską i teraz są na łasce Brukseli i Berlina. Wprawdzie niemieckie siły zbrojne to zdemoralizowani żołnierze i rozpadające się czołgi oraz samoloty, ale jest kasa i na tej kasie Berlin buduje swoją przewagę zewnętrzną. Jednocześnie tracąc grunt pod nogami wewnątrz państwa. Coś poszło nie tak. Zapraszając miliony tzw. uchodźców muzułmańskich, kanclerz Angela Merkel w swojej arogancji i pysze nie wzięła pod uwagę bardzo prostej – i może dlatego zlekceważonej przez nią – prawidłowości. Otóż obok wzniosłych haseł o tolerancji, za pomocą których Niemcy próbowały zatrzeć zbrodniczą przeszłość i awansować na autorytet moralny, co to wyciągnął wnioski ze swojej historii, zaskrzeczała rzeczywistość. To było coś w rodzaju euforii, takiej bardziej teutońskiej. Niemcy trzęsąc UE, inwestując gdzie się da, bazując na taniej sile roboczej i niedostatku rynków Europy Wschodniej, uznały się za tak wielką i światową potęgę, że stawiają pod znakiem zapytania sojusz atlantycki i znaczenie dla Europy stojących na jego czele Stanów Zjednoczonych. Ten „światowy policjant" nie jest już Europie potrzebny. Upojone własną potęgą wpuściły do swego kraju element obcy cywilizacyjnie i kulturowo. Podobnie jak pozostałe kraje europejskiej północy, w nadziei, że przynajmniej poprawią demografię. Rozwydrzone dobrobytem zachodnie Europejki nie chcą mieć dzieci, władze mogą jednak liczyć na rozrodczość muzułmanek. Skutki takiej „polityki otwartości" objawiają się rosnącą przestępczością wśród niepoddających się integracji przybyszów, co spowodowało, że obywatele Niemiec, Szwecji czy Belgii czują się jak obcy we własnym kraju i wkrótce to oni, a nie cudzoziemcy, będą się zamykać w gettach chronionych przez policję. Już dziś do codzienności należą napaści na żydów i chrześcijan, a ulicami miast paradują muzułmańskie byczki z hasłami „Allahu Akbar!" na ustach.

Berlin doszedł do wniosku, że musi się liczyć z rosnącym znaczeniem wschodniego sąsiada, że rząd PiS nie pozwoli już więcej pomiatać polskim narodem

Wszystko to doprowadziło do klęski obu rządzących w RFN partii – chadeckiej CDU/CSU i socjaldemokratycznej SPD. Od pół roku trwają wysiłki na rzecz utworzenia nowego rządu, a tymczasem rośnie niechęć, a nawet nienawiść obywateli do establishmentu i coraz głośniejsze jest żądanie ustąpienia Angeli Merkel z funkcji kanclerza RFN. Chadecja poszła na daleko idące ustępstwa wobec socjaldemokratów. Oddała im sześć ważnych ministerstw, w tym resort finansów, co się dotąd nie zdarzyło. Również MSZ, ale na szczęście zrezygnował z niego Martin Schulz, mocno niepopularny zarówno w krajach UE, jak i we własnej partii.

Mamy do czynienia z nową i bardzo niepewną sytuacją polityczną w Niemczech, która każe ich przywódcom liczyć się z największym i najbardziej wpływowym sąsiadem na wschodzie, z Polską. Niewygodną, bo prawicową i konserwatywną, niepasującą do poprawnej politycznie tzw. chadecji. Ale interes jest najważniejszy. Przez wszystkie lata rządów PO-PSL media niemieckie, w tym publiczna telewizja, wyżywały się na polskim patriotyzmie, uczuciu rzadko spotykanym w starej Europie, zdawałoby się, dostatecznie wypranej z narodowej godności. Niemal co tydzień na łamach mediów niemieckich pisało się o „polskich obozach koncentracyjnych". Wyprodukowano filmy obrażające Polaków i ich bohaterską przeszłość wojenną. I wszystko to przy milczącej aprobacie kanclerz Merkel i jej rządu. I oto nieoczekiwanie Merkel i szef MSZ Sigmar Gabriel wystąpili z oficjalnym zaprzeczeniem istnienia „polskich obozów" i przyjęciem przez naród niemiecki odpowiedzialności za Holokaust i zbrodnie popełnione na narodzie polskim. Co się stało? Ano Berlin doszedł do wniosku, że musi się liczyć z rosnącym znaczeniem wschodniego sąsiada, że rząd PiS nie pozwoli już więcej pomiatać polskim narodem i w tym celu znowelizował ustawę o IPN. Wreszcie nie będzie Niemiec bezkarnie pluł nam w twarz.

Osłabiony wewnętrznymi niepokojami rząd niemiecki liczy na poparcie rządu polskiego w jego staraniach o zachowanie supremacji na arenie europejskiej. Okazało się bowiem, że nie wrócą czasy wiernopoddaństwa postkomunistycznych elit, które były gotowe puścić rodaków w z torbami, byleby tylko wpuszczono je do europejskich przedpokojów. Teraz będą musiały czekać za drzwiami.

74/0118/F

eprasa.pl 0e6beb08e8

Tandeta intelektualna

Człowiek chce się koniecznie wyróżniać spośród innych członków społeczności na poziomie wioski, gminy, miasteczka oraz metropolii. Nie jest to proste w dzisiejszych czasach. Jako że wszystko jest dostępne dla wszystkich, a co najgorsze, wszystkich nas na to wszystko stać, więc jak pojawi się jakiś nowy sznyt portek albo majtek damskich, natychmiast markety zapełniają się tą nowością i starania o oryginalność okazują się klapą. Na złość celebrytkom modny przedmiot, za który one płacą ciężkie tysiące euro w paryskich butikach, w supersamie identyczny można kupić za kilkaset, i to złotych. Z podobną tandetą mamy do czynienia w dziedzinie intelektu. W różnych mediach i na portalach parających się problematyką polityczną krajową i zagraniczną królują reprezentanci tandety umysłowej, którą korposzczury biorą za wyrób paryski, a nawet hollywoodzki. Oni mają coś do powiedzenia, a czasami nawet za wiele. Na każdy temat. Jednym z ostatnich przykładów jest reżyserka i feministka Agnieszka Holland.

To, co powiedziała, poruszyło sumienia redakcji TVN24 i sypiącego piaskiem po oczach różnych lemingów Konrada Piaseckiego. Pani Holland zabłysnęła wiedzą prawniczą, stwierdzając autorytatywnie, że „ustawa IPN jest bublem prawnym", a „to, co jest głupie w tej ustawie, to, że próbuje z nas zrobić jakiś mesjański naród. A to odbiera zasługi bohaterom, bo jeśli wszyscy byli bez win, to po co byli bohaterowie". Nie, nie jesteśmy narodem mesjańskim, o ile mi wiadomo, to był nim i zamierza być nadal naród żydowski. Może nie? Polacy są narodem normalnym i należy mu się szacunek, tak jak każdemu innemu narodowi, który walczył ze zbrodniczym najeźdźcą, także w imieniu Żydów.

I tak przeszliśmy od tandety ciuchowej do tandety intelektualnej, która pęta się po mediach i portalach. Czasem wolałabym Agnieszkę Holland prezentującą feministyczną modę damską na ściance niż zabierającą głos w sprawach jej obcych i nieznanych.

Krystyna Grzybowska

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście
jest ubezpieczenie!

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia:
podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl

eprasa.pl 0e6beb08e8

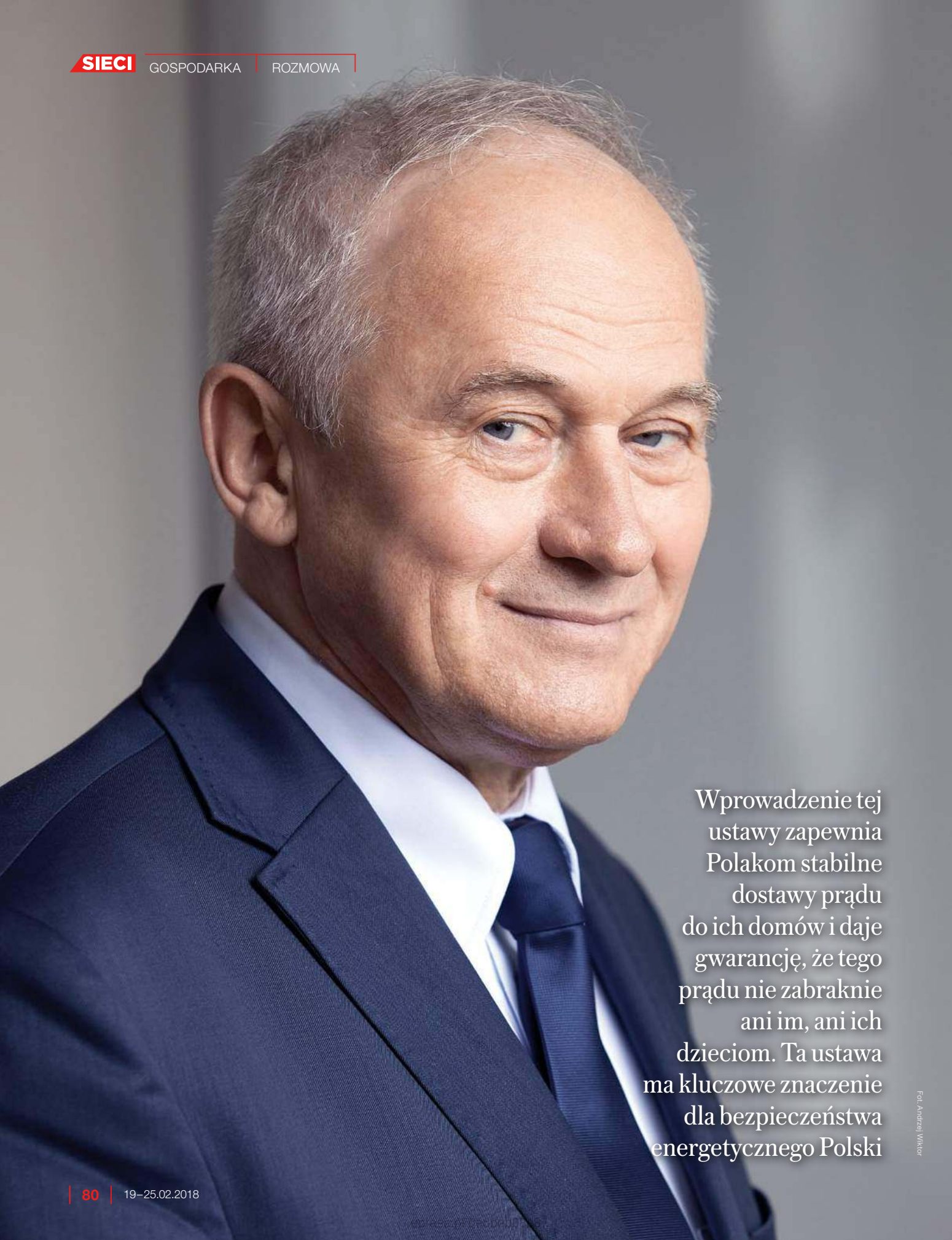

Wprowadzenie tej ustawy zapewnia Polakom stabilne dostawy prądu do ich domów i daje gwarancję, że tego prądu nie zabraknie ani im, ani ich dzieciom. Ta ustawa ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa energetycznego Polski

Fot. Andrzej Wiktor

Tworzymy rynek mocy

Z Krzysztofem Tchórzewskim, ministrem energii, rozmawia Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej"

Od wielu miesięcy zabiegaliśmy w Komisji Europejskiej o notyfikację polskiego rynku mocy. Na początku lutego Bruksela potwierdziła, że założenia polskiej ustawy o rynku mocy są zgodne z unijnymi uregulowaniami dotyczącymi pomocy publicznej. To o tyle ważne, że oddala widmo tzw. blackoutów – nie będziemy się bać, że latem zabraknie prądu. Ustawa o rynku mocy została podpisana przez prezydenta Andrzeja Dudę pod koniec grudnia zeszłego roku i weszła w życie 18 stycznia tego roku. Panie ministrze, czy to już ten moment, żeby otwierać szampana?

Krzysztof Tchórzewski: Wejście w życie przepisów ustawy o rynku mocy to duży sukces mój, pracowników i współpracowników Ministerstwa Energii. Rynek mocy jest jednym z najbardziej złożonych mechanizmów polskiego sektora energetyki, który został do tej pory zgłoszony Komisji Europejskiej i uzyskał jej akceptację. Proces notyfikacji ustawy o rynku mocy był jak dotychczas najtrudniejszy, ale też najszybszy i najsprawniejszy, jaki przeprowadziliśmy.

Przyjęcie przez Komisję Europejską naszych propozycji to m.in. efekt aktywnej współpracy oraz konstruktywnego dialogu z KE i partnerami w Europie. Cieszę się, że nasze argumenty spotkały się z ich zrozumieniem i akceptacją. Chcemy bowiem realizować naszą politykę energetyczną w ścisłej współpracy z partnerami z zagranicy i z poszanowaniem wspólnego interesu Unii Europejskiej, jednak priorytetem dla nas jest i zawsze będzie interes gospodarczy i bezpieczeństwo energetyczne Polski i Polaków. Jestem zadowolony, że w tak ważnej sprawie, jak bezpieczeństwo energetyczne Polski, znajduję zrozumienie w KE.

Oczywiście ustawa o rynku mocy to tylko jeden z elementów prowadzonej przez nas polityki. Od dwóch lat konsekwentnie modernizujemy sektor energii na wielu polach. Restrukturyzujemy górnictwo, dywersyfikujemy dostawy energii, rozwijamy elektromobilność. Wszystkie nasze działania mają na celu kompleksową reformę całego sektora, tak aby odpowiadał on na potrzeby państwa polskiego, polskiej gospodarki i obywateli. Nie otwieramy więc na razie szampana.

Choć dzięki stałej współpracy z KE wiele już osiągnęliśmy, to przed nami nadal dużo pracy i wyzwań. Jestem przekonany, że w perspektywie wieloletniej poprzez wzrost podaży energii elektrycznej zapewnimy możliwość stałego rozwoju gospodarczego naszego kraju i bezpieczeństwo dostaw energii dla obywateli.

Co daje Polakom i panu, jako ministrowi odpowiedzialnemu za energię, ta ustawa?

Przede wszystkim dzięki temu, że dostawca energii w ramach zaplanowanych w ustawie aukcji może otrzymać nawet 15-letni kontrakt, jej wprowadzenie zapewnia Polakom stabilne dostawy prądu do ich domów i daje gwarancję, że tego prądu nie zabraknie ani im, ani ich dzieciom. Ta ustawa ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa energetycznego Polski, ponieważ transformację polskiej energetyki rozkładamy na więcej lat.

Prognozy wskazują, że w najbliższych latach w miarę postępującego rozwoju gospodarczego i technologicznego znacznie wzrośnie zapotrzebowanie na prąd. Brak działań ze strony rządu mógłby doprowadzić w dłuższej perspektywie czasowej do uzależnienia Polski od importu energii elektrycznej z zagranicy. Wprowadzenie rynku mocy pozwala tego uniknąć.

Nowe przepisy to także ważny sygnał dla spółek energetycznych. Sektor potrzebuje inwestycji w nowoczesne technologie i nowe moce wytwórcze. Rynek mocy zapewnia przedsiębiorstwom energetycznym stabilność i zachęca do podejmowania decyzji inwestycyjnych, które są niezbędnym elementem modernizacji sektora.

Krytycy podkreślają, że to może prowadzić do subsydiowania węgla w Polsce, a nie regulowania rynku mocy. Podejmie pan minister polemikę?

Jedną rzecz trzeba bardzo wyraźnie podkreślić – rynek mocy w takim kształcie, w jakim zaproponowaliśmy go w Ministerstwie Energii, nie faworyzuje żadnej z technologii wytwarzania energii. Ma się on przede wszystkim przyczynić do wzrostu bezpieczeństwa energetycznego Polski, a Polakom zapewnić stabilne i pewne dostawy prądu w rozsądnej cenie. W dłuższej perspektywie czasowej mechanizm ma się przyczynić do transformacji polskiej energetyki w kierunku niskoemisyjnym.

Oczywiście w kontekście bezpieczeństwa energetycznego kluczowe znaczenie ma wykorzystanie własnych zasobów surowcowych i rozwój sektora energetycznego. Stawiając na własne zasoby surowcowe, naturalną koleją rzeczy jest szukanie kompromisu w zakresie możliwości zmniejszenia emisji przy jednoczesnym wykorzystaniu najnowocześniejszych elektrowni węglowych.

eprasa.pl 0e6beb08e8

W obliczu wyzwań, przed jakimi staje dziś sektor, nowego znaczenia nabiera również rola odnawialnych źródeł energii w ogólnym miksie energetycznym. Dotychczasowy sposób wspierania OZE nie był korzystny ani z punktu widzenia potrzeb państwa, ani obywateli i wspierał przede wszystkim jedną technologię. Stawiamy na dynamiczny rozwój odnawialnych źródeł energii, wspieramy klastry energetyczne, dbając o różnorodność form energetyki odnawialnej. Poza farmami wiatrowymi oczekujemy budowy pól fotowoltaicznych i biogazowni, których brak odczuwa szczególnie polska wieś. Będziemy wspierać takie formy produkcji energii, które zapewniają stabilne dostawy.

Czyli czekamy teraz na inwestycje i modernizacje istniejących instalacji, które choć wykorzystują węgiel i gaz, dzięki najnowszym technologiom będą zdolne obniżyć do minimum emitowane zanieczyszczenia?

Od czasu powstania Ministerstwa Energii konsekwentnie motywujemy spółki energetyczne do inwestowania. Nasze działania przynoszą odczuwalne efekty. Przykładem niech będą – wstrzymany przez poprzedni rząd, a realizowany teraz przez Energę – projekt budowy elektrowni w Ostrołęce i inwestycja PGE w Turowie. Konsekwentnie budowane są też bloki energetyczne PGE w Opolu, Tauronu w Jaworznie, a elektrownia Enei w Kozienicach została już oddana do użytku. Wznowiona została również wspólna inwestycja PGNiG i Tauronu w Stalowej Woli.

Dotychczas budowa konwencjonalnych elektrowni była nieopłacalna, ponieważ w ramach polityki energetycznej UE elektrownie węglowe wchodzą do pracy w ramach tzw. merid order (stosu bilansu energetycznego) dopiero po źródłach niskoemisyjnych (OZE, gaz). W efekcie sprzedawały mniej energii, co przekładało się na ich rentowność. Ustawa o rynku mocy rozwiązała ten problem. Umowy zawarte w ramach tej ustawy zapewniają odpłatność dla bloków energetycznych za ich pozostawanie w gotowości do dostarczenia energii.

To jakich inwestycji możemy się spodziewać? Czy zbliżamy się do budowy polskiej elektrowni atomowej, czy jednak będziemy szukać innych rozwiązań?

Przed cywilizacyjnym wyzwaniem stoi Polska Spółka Gazownictwa (PSG). Dotychczas zgazyfikowane zostało 58 proc. terytorium Polski. Istnieją w Polsce nawet miasta, do których nie ma dostaw gazu. Czyste powietrze i działania na rzecz poprawy komfortu życia Polaków wymagają większego zaangażowania i wysiłku w tym zakresie. Będę dążył do tego, aby ambitny cel PSG zgazyfikowania 65 proc. terytorium Polski do 2022 r. został zrealizowany.

Cały czas szukamy rozwiązań, które będą najkorzystniejsze dla Polaków, polskiej gospodarki i energetyki. Dlatego poważnie rozważamy również udział atomu w naszym miksie energetycznym. Jest to inwestycja bardzo kosztowna, ale w dłuższej perspektywie czasowej bardzo korzystna i efektywna. Gwarantuje pewność dostaw energii elektrycznej, a jednocześnie jest zeroemisyjna, co szybciej zmniejszy średnią wielkość emisji w Polsce. Z zadowoleniem przyjąłem wstępną deklarację Orlenu o zainteresowaniu taką inwestycją. W kontekście rozwoju elektromobilności byłby to innowacyjny skok w przyszłość.

> Samochód elektryczny jest wizją, która musi być zrealizowana

Właśnie. Nie uciekniemy od pytania o najbogatszą spółkę polskiej gospodarki – Orlen. Ostatnia zmiana na stanowisku prezesa ma, jak rozumiem, doprowadzić do „pilnowania kosztów i rozsądnych, kontrolowanych inwestycji" – to strategia sprawdzona w spółkach energetycznych.

Orlen to największa polska spółka paliwowa i obecna zmiana na stanowisku prezesa jest jak zmiana zawodnika w sztafecie. Nie wynika ona ze złej oceny jakości pracy poprzedniego prezesa, dlatego nadal podtrzymuję propozycję dla obecnego zarządu, aby prezes Jasiński pozostał jego doradcą.

Na zakończenie moje ulubione pytanie do ministra energii – o elektromobilność... W kontekście walki ze smogiem rozwój elektromobilności zyskuje dodatkowe znaczenie.

Elektromobilność to światowa przyszłość. Wczesne zaangażowanie Polski daje nam szansę na równoprawne uczestnictwo w tym wyścigu. Mam przekonanie, że znajdziemy się w jego czołówce. Od kilku lat dużo się mówi o elektromobilności. W praktyce poszczególne państwa robią niewiele. Powstała pętla niemocy – nie tworzy się punktów ładowania, bo nie ma samochodów elektrycznych, nie kupuje ani nie produkuje się samochodów elektrycznych, ponieważ nie ma gdzie ich ładować.

Podpisana przez prezydenta ustawa o elektromobilności gwarantuje zaangażowanie państwa w budowę infrastruktury dla elektromobilności. To pozwoli wyjść z tego impasu. Do końca 2020 r. powstanie ok. 6 tys. punktów ładowania o normalnej mocy ładowania energii elektrycznej oraz 400 punktów ładowania o dużej mocy ładowania, a także 70 punktów tankowania CNG rozmieszczonych w 32 aglomeracjach i na obszarach gęsto zaludnionych.

Zapewni to ustawa o Funduszu Niskoemisyjnego Transportu, który gwarantuje narzędzia finansowe do realizacji zadań postawionych w ustawie o elektromobilności. Musimy pamiętać, że transport elektryczny to również odpowiedź na potrzebę czystego powietrza w miastach. W naszych aglomeracjach to niska emisja z ruchu samochodów spalinowych niszczy nasze zdrowie. Samochód elektryczny jest wizją, która musi być zrealizowana.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Polski Holding Nieruchomości na placu budowy

Z Maciejem Jankiewiczem, prezesem zarządu Polskiego Holdingu Nieruchomości SA, rozmawiamy o pięciu latach obecności PHN SA na GPW, inwestycjach i odważnych projektach deweloperskich

Fot. PHN

Właśnie mija pięć lat od debiutu PHN SA na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie. Czas zatem na podsumowanie tego okresu.

Maciej Jankiewicz: Pięć lat obecności PHN na GPW należy podzielić na dwa okresy. Pierwsze trzy lata zostały poświęcone restrukturyzacji grupy kapitałowej, jak również dostosowaniu jej do warunków rynkowych. Następnie w chwili obejmowania przeze mnie stanowiska prezesa zarządu, niespełna dwa lata temu, skupiliśmy się na zarządzaniu kosztami, poprawie efektywności ekonomicznej oraz przygotowaniu i realizacji ambitnego planu inwestycyjnego. W kwietniu 2017 r. przyjęliśmy strategię na lata 2017–2023, w której założyliśmy osiągnięcie wysokich wskaźników rozwojowych.

Jak wygląda więc realizacja wspomnianej przez pana strategii?

Jest to proces wieloletni, jednak już po niespełna roku od jej przyjęcia możemy się pochwalić osiągnięciami. W październiku 2017 r. PHN osiągnął najniższy wskaźnik powierzchni niewynajętej w swojej historii – 14,2 proc., co stanowi spadek o 43 proc. w porównaniu ze styczniem 2016 r. (25,7 proc.). W ostatnim czasie podpisaliśmy z firmą Nokia wieloletnią umowę na wynajem ok. 7 tys. mkw. powierzchni i w ten sposób zakończyliśmy wynajem w jednym z najnowocześniejszych budynków PHN – Domaniewska Office Hub. Nasza inwestycja magazynowa Hillwood & PHN Pruszków również zyskała nowego najemcę – jest nim firma DPD Polska, która zajmie 11,6 tys. mkw. powierzchni. Warto też wspomnieć o najbardziej miarodajnym wskaźniku efektywności Grupy Kapitałowej PHN, jakim jest EBITDA. W 2016 r. osiągnęła poziom 50,3 mln zł wobec 25,2 mln zł w 2012 r. Oznacza to wzrost o prawie 100 proc. na przestrzeni kilku lat.

Jak wygląda obecnie wycena akcji spółki?

Należy mieć na względzie bardzo niską płynność kursu akcji z uwagi na specyfikę akcjonariatu spółki. Niemal 97 proc. akcji jest w posiadaniu inwestorów długoterminowych, w tym do skarbu państwa należy ok. 70 proc. akcji, natomiast ok. 27 proc. akcji jest w posiadaniu otwartych funduszy emerytalnych. Jestem przekonany, iż w 2018 r. będą widoczne pierwsze efekty realizacji naszego planu inwestycyjnego, co w przyszłości przyniesie wzrost wartości waloru.

Pomówmy więc o planach inwestycyjnych na najbliższe lata.

W najbliższych latach intensyfikujemy realizację projektów komercyjnych i mieszkaniowych. Przykładowo obok Intraco zamierzamy zbudować nowy budynek biurowy – Intraco Prime, w Gdyni przy inwestycji Yacht Park – kompleks biurowy Marina Office oraz nowoczesny budynek biurowy w Warszawie przy al. Prymasa Tysiąclecia. Z niecierpliwością czekamy też na pozwolenie na budowę naszej kluczowej inwestycji komercyjnej – biurowca PHN Tower przy ul. Świętokrzyskiej 36. Mimo że kompletne wnioski złożyliśmy do Urzędu m.st. Warszawy wiele miesięcy temu, wciąż nie mamy decyzji w tej sprawie. Brak pozwolenia na budowę wynika tylko i wyłącznie z działania miasta.

Co stoi na przeszkodzie wydania pozwolenia na budowę?

Z prawnego punktu widzenia nie ma żadnych przeciwwskazań do wydania zgody na budowę. Wierzymy, że sprawa szybko znajdzie swój pozytywny finał.

Czy PHN wykorzystuje hossę na rynku mieszkaniowym?

Faktycznie sytuacja na rynku mieszkaniowym przez ostatnie kilka lat jest dobra. Po objęciu funkcji przez nowy zarząd w 2016 r. nie zastaliśmy żadnych gotowych projektów mieszkaniowych. Stworzyliśmy nową strategię i wprowadziliśmy drugi, oprócz biur, filar działalności PHN – w obszarze inwestycji deweloperskich. Poprzednia strategia z 2014 r. nie zakładała rozwoju działalności na rynku inwestycji mieszkaniowych i uwzględniała jedynie selektywną działalność w tym zakresie. Pod koniec 2017 r. rozpoczęliśmy budowę luksusowych apartamentów Yacht Park w Gdyni oraz osiedla mieszkaniowego Vis À Vis w Warszawie. Liczba zarezerwowanych apartamentów i mieszkań w ciągu zaledwie kilku miesięcy jest bardzo zadowalająca. W przygotowaniu jest kilka kolejnych projektów mieszkaniowych w Warszawie, Łodzi i we Wrocławiu.

Rozmawiał Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 0e6beb08e8

Bezpieczeństwo w bankach

Fot. Shutterstock | 3/1217/F

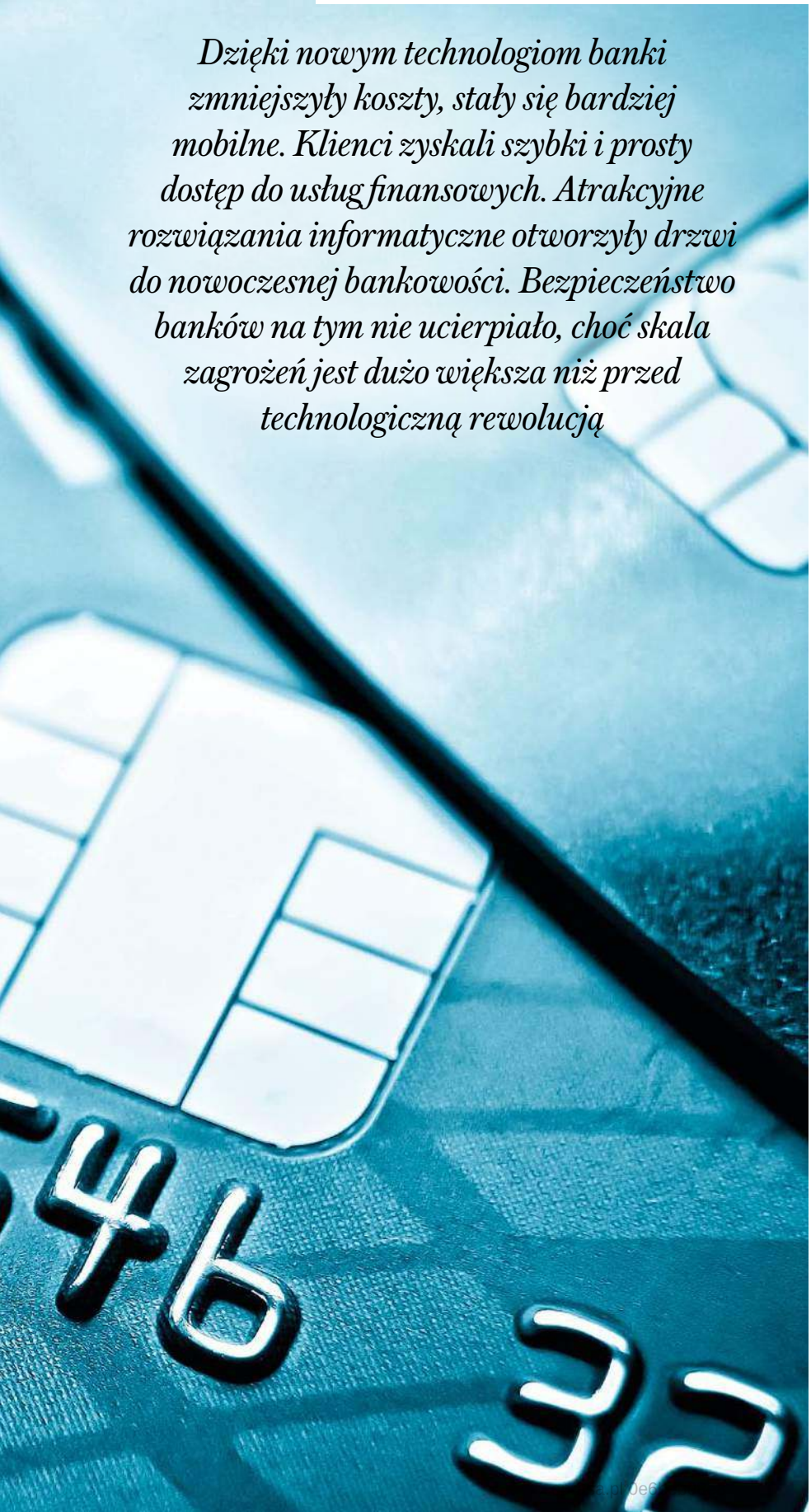

Dzięki nowym technologiom banki zmniejszyły koszty, stały się bardziej mobilne. Klienci zyskali szybki i prosty dostęp do usług finansowych. Atrakcyjne rozwiązania informatyczne otworzyły drzwi do nowoczesnej bankowości. Bezpieczeństwo banków na tym nie ucierpiało, choć skala zagrożeń jest dużo większa niż przed technologiczną rewolucją

Internet wykorzystywany jest na olbrzymią skalę, a sieć cybernetycznych powiązań obejmuje już nie tylko sferę komunikacji, lecz również przedmioty codziennego użytku. Ryzyko związane z działalnością cyfrową to kluczowe zagrożenie, z jakim mierzą się dzisiaj instytucje finansowe. Każdy błąd popełniony w tej dziedzinie, każdy wrogi program wpuszczony do sieci może oznaczać dla banków straty nie tylko finansowe, lecz także reputacyjne.

Cyberatak przeprowadzony przez profesjonalnych przestępców grozi nie tylko utratą ważnych danych finansowych i osobowych, lecz stwarza również zagrożenie dla zakładów produkcyjnych, elektrowni, infrastruktury komunikacyjnej. Jak podaje wydawany przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny „Bezpieczny Bank", w 2015 r. ataki hakerskie dotknęły 19 proc. polskich instytucji finansowych, w 2016 r. zaś już 37 proc. Dane dotyczące całego świata pokazują rosnącą skalę zagrożeń: według 22. edycji Security Intelligence Report (SIR) z sierpnia zeszłego roku liczba zaatakowanych kont użytkowników w 2016 r. wzrosła o 300 proc., natomiast prób zalogowania się ze złośliwych adresów IP – o 44 proc.

JAK WYŁOWIĆ ZAGROŻENIA?

Walka z cyberzagrożeniami nie polega na wygraniu jednej czy kilku bitew. To nieustanne ścieranie się z podstępnym wrogiem, który prowadzi wojnę podjazdową, stosując coraz bardziej wyrafinowane metody, od wyłudzenia danych (phishing) po wgrywanie złośliwego oprogramowania kopiującego informacje o koncie klienta. Banki muszą sobie z tym radzić, zakładając, że walka nigdy się nie skończy. Przeprowadzają regularnie testy bezpieczeństwa pod kątem najnowszych zagrożeń (to m.in. przyczyna nocnych wyłączeń systemów w bankach, określanych często mianem „prac konserwacyjnych"), inwestycje w sprzęt, np. w firewalle nowych generacji czy w rozwiązania sandboksowe umożliwiające otwieranie podejrzanych aplikacji i stron w bezpiecznym, odizolowanym od systemu środowisku.

W sektorze finansowym kluczowy element centrów zarządzania bezpieczeństwem (Security Operations Center – SOC) stanowią systemy klasy SIEM (Security Information and Event Management). Pozwalają one m.in. na analizę ruchów w sieci pod kątem automatycznego zapobiegania cyberatakom, na monitorowanie zasad przestrzegania reguł bezpieczeństwa przez pracowników, reagowanie na zagrożenia, a także na wykrywanie anomalii, czyli sygnałów niepasujących do ustalonego schematu działań.

Często to właśnie te systemy informują, że w sieci pojawił się cyfrowy złoczyńca. Anomalie wyłapują specjaliści z działu IT, na bieżąco monitorujący system banku. Coraz częściej robią to programy (roboty) specjalnie napisane po to, by identyfikować nietypowe zachowania. Ponieważ złośliwe oprogramowanie może bardzo szybko doprowadzić do nieodwracalnych szkód lub stworzyć trudne do wykrycia furtki prowadzące do sieci, a w przeciwdziałaniu atakom na system liczy się czas, rośnie rola maszyn w namierzaniu agresorów.

Obok coraz bardziej zaawansowanych narzędzi informatycznych w bankach funkcjonują doskonale wyszkolone zespoły specjalistów IT, często powiększane o tzw. łowców zagrożeń – threat hunters. Łączą oni wiedzę i doświadczenie z innowacyjną technologią. Według raportu „Disrupting the Disruptors, Art or Science?" firmy McAfee łowcy zagrożeń pozwalają zdobyć przewagę nad hakerami i cyberprzestępcami. Łowca, który jest częścią zespołu ds. bezpieczeństwa, bada ślady, wskazówki, hipotezy, a zdobytą w ten sposób wiedzę przekształca na skrypty i reguły. Według McAfee najlepsi łowcy zagrożeń są w stanie określić przyczynę ataku w 90 proc. przypadków (u mniej zaawansowanych wskaźnik wynosi 20 proc.).

TRZEBA WSPÓŁPRACOWAĆ

Banki nie tylko nieustannie monitorują stan bezpieczeństwa swoich systemów, lecz również współpracują z międzynarodowymi organizacjami zajmującymi się cyberbezpieczeństwem, takimi jak Microsoft Enterprise Security Group. Microsoft stworzył specjalną jednostkę pod nazwą Digital Crimes Unit, złożoną z prawników, ekspertów z dziedziny bezpieczeństwa sieciowego oraz informatyków. DCU współpracuje m.in. z FBI, Europolem i Interpolem, dostarcza unikatowych informacji na temat światowych zagrożeń. Efektem działań Digital Crimes Unit jest program Enterprise Customers Cyber Threat Intelligence Program (ECCTIP), ułatwiający wymianę informacji dotyczących zagrożeń. Bankowi eksperci dzięki takim przedsięwzięciom są w stanie zapobiec zagrożeniom, zanim dotrą one do naszego kraju. Mogą na przykład otrzymać adresy sieciowe wykorzystane do zdalnych ataków, m.in. w kampaniach phishingowych. Program umożliwia ograniczenie liczby zainfekowanych urządzeń w sieci.

> Obok coraz bardziej zaawansowanych narzędzi informatycznych w bankach funkcjonują tzw. łowcy zagrożeń, którzy są w stanie w 90 proc. przypadków określić przyczynę cyberataku

Banki nie zachowują wiedzy o cyberzagrożeniach dla siebie, ale dzielą się nią z innymi instytucjami, np. z Narodowym Centrum Cyberbezpieczeństwa, Bankowym Centrum Cyberbezpieczeństwa oraz z międzynarodowymi zespołami CERT (Computer Emergency Response Team; zespół CERT Polska działa od 1996 r.). Uprzedzanie o zagrożeniach, które dopiero mają się pojawić, daje często lepsze efekty niż walczenie z nimi, gdy wróg przypuści bezpośredni atak.

LUDZKIE BŁĘDY

Banki działające w Polsce mają nowoczesne systemy informatyczne, korzystają z najbardziej zaawansowanych technologii, więc ich systemy bezpieczeństwa uważane są za bardziej sprawne niż na Zachodzie. Wdrażają też ścisłe procedury związane z cyberbezpieczeństwem, a także mocno inwestują w szkolenie pracowników. To jedno z najbardziej czułych miejsc w każdej instytucji. Według 19. Światowego Badania Bezpieczeństwa Informacji (Global Information Security Survey), przygotowanego przez międzynarodową firmę doradczą EY, w 2016 r. beztroska lub brak świadomości pracownika to zdaniem 55 proc. ankietowanych firm najsłabsze ogniwo w łańcuchu bezpieczeństwa (rok wcześniej twierdziło tak 44 proc. badanych przedsiębiorstw).

Czasem wystarczy jeden błąd człowieka, by przestępca uzyskał dostęp do pilnie strzeżonych danych. Dlatego coraz częściej mówi się o „hackowaniu" ludzi, a nie systemów, jako najbardziej intratnej dziedzinie działalności przestępczej. Sieciowi złoczyńcy osiągają coraz większe umiejętności w manipulowaniu pracownikami, by przez phising, czyli podszycie się pod inną osobę lub instytucję, wyłudzić od nich informacje pozwalające zaatakować firmę i wydobyć z niej istotne dane.

Dotyczy to zarówno pracowników instytucji finansowych, jak i ich klientów. Stali się oni bardziej podatni na ataki chociażby z tego powodu, że bankowość mobilna otworzyła przed nimi nowe możliwości korzystania z usług finansowych, w dowolnym miejscu i czasie, niejednokrotnie mało przyjaznym pod względem bezpieczeństwa. Słabiej chroniony od komputera stacjonarnego smartfon pozwala na wykonywanie skomplikowanych operacji, wymaga jednak zachowania ostrożności i przestrzegania podstawowych zasad.

O czym należy pamiętać? Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na to, aby:

- nie udostępniać osobom postronnym kodów PIN ani haseł do konta,
- nie klikać w podejrzane linki wysyłane drogą mailową, nawet z adresów powołujących się na adres banku; żaden bank nigdy nie wysyła do swoich klientów pytań dotyczących haseł lub innych poufnych danych ani próśb o ich aktualizację,

eprasa.pl 0e6beb08e8

- nie używać wyszukiwarek internetowych do znalezienia strony logowania banku; takie linki mogą prowadzić do fałszywych stron lub stron zawierających wirusy,
- aplikacje instalowane zarówno na swoim telefonie, jak i komputerze stacjonarnym pochodziły z wiarygodnych źródeł, aplikacji z nieznanych źródeł lepiej unikać,
- lepiej nie korzystać z publicznych, niezabezpieczonych sieci WiFi, gdy dokonuje się operacji finansowych za pośrednictwem komputera, smartfona lub tabletu,
- podczas korzystania z aplikacji bankowej na smartfonie najlepiej używać oprogramowania, które szyfruje dane; w przypadku sprzedaży smartfona nie będziemy się obawiać, że ktoś niepowołany zdoła dotrzeć do wrażliwych informacji.

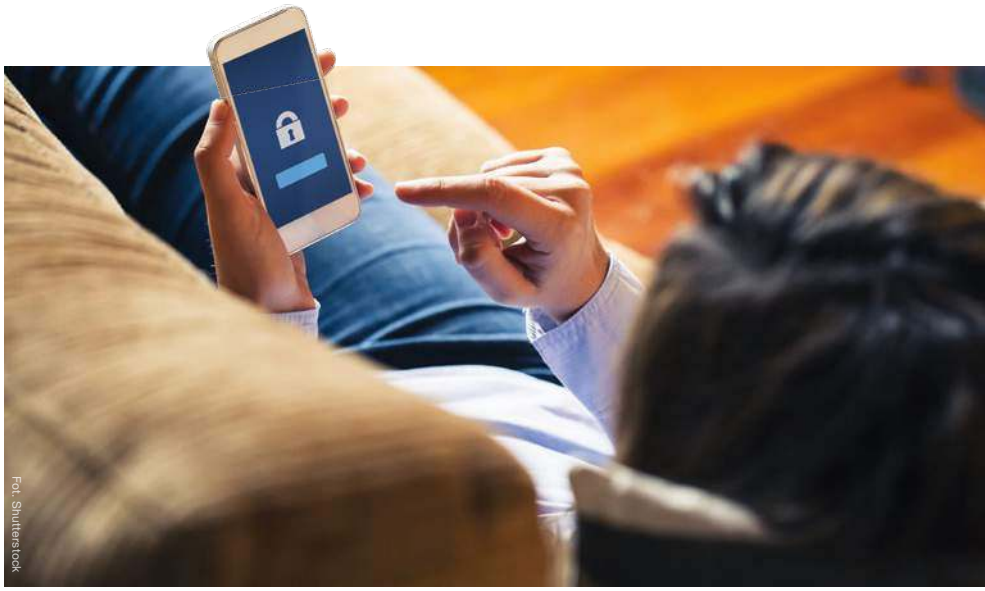
Fot. Shutterstock

BANKNOTY TEŻ MUSZĄ BYĆ BEZPIECZNE

Bezpieczeństwo obrotu finansowego dotyczy nie tylko operacji wykonywanych w internecie. Obejmuje również obrót gotówkowy. Poziom fałszerstw znaków pieniężnych w Polsce pozostaje wprawdzie niski – na milion banknotów znajdujących się w obiegu przypada ok. trzech falsyfikatów (dane za 2017 r.) – jednak postęp technologiczny wymaga modernizacji zabezpieczeń. Banknoty znajdujące się na rynku muszą być odpowiednio chronione przed fałszerstwami.

Banknoty o niższych nominałach z nowymi zabezpieczeniami pojawiły się w naszych portfelach od kwietnia 2014 r.: na przykład na banknocie 10 zł opalizujący pas ma kolor turkusowy, a w 20 zł – liliowy; na banknocie 50 zł na przedniej stronie umieszczona jest stylizowana litera K, która wraz ze zmianą kąta patrzenia płynnie zmienia kolor z zielonego na niebieski. Na przedniej stronie stuzłotówki umieszczona została rozeta, która wraz ze zmianą kąta patrzenia zmienia kolor – ze złotego w zielony.

W lutym 2016 r. Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu banknoty o wartości nominalnej 200 zł ze zmodernizowanymi zabezpieczeniami. Na banknocie umieszczono m.in. nitkę okienkową, która płynnie zmienia kolor ze złotego na zielony, a znajdujący się na niej wzór szachownicy porusza się w obu płaszczyznach. Na przedniej stronie banknotu znalazł się ozdobny element graficzny, zmieniający kolor ze złotego na zielony (tzw. tarcza herbowa), a na odwrotnej – złoty opalizujący ornament. Tak jak w przypadku niższych nominałów wzbogacono znak wodny: podczas oglądania pod światło oprócz wizerunku władcy widoczne jest także oznaczenie nominału. Część banknotu, na której znajduje się znak wodny, jest niezadrukowana, dzięki czemu banknot wydaje się nieco jaśniejszy, a znak wodny jest lepiej widoczny.

Najwyższej klasy elementy zabezpieczające ma wprowadzony w lutym 2017 r. banknot 500-złotowy. Zabezpieczeniem jest m.in. okienkowa nitka, farba zmienna optycznie i farba opalizująca, a także zabezpieczenie widoczne w świetle UV, w tym kwadrat z napisem: 500 zł. Wraz ze zmianą kąta patrzenia na banknot szyszak husarski z prawej strony portretu króla zmienia barwę z zielonej na niebieską, a na stronie odwrotnej banknotu pod nominałem 500 w prawym górnym rogu widoczny jest ornament roślinny wykonany farbą opalizującą w kolorze złotym.

Oprócz banknotu zmodernizowanego o wartości nominalnej 200 zł pozostałe nominały zawierają zabezpieczenie zwane „efektem kątowym", widoczne w prawym dolnym rogu przedniej strony. Aby je zobaczyć, należy umieścić banknot na wysokości wzroku i skierować go równolegle do podłoża (trzymać go w powietrzu płasko), a następnie obrócić nim o 90 stopni w prawo lub w lewo. Zabezpieczeniem banknotów są również mikrodruki, czyli napisy wydrukowane na przedniej i odwrotnej stronie bardzo małą, niemal niewidoczną gołym okiem czcionką. Tak naprawdę można je dostrzec dopiero pod lupą.

Obecnie w obiegu znajdują się banknoty zarówno przed, jak i po modernizacji, jednak liczba tych pierwszych systematycznie maleje. Najwięcej, bo ponad 1,2 mld sztuk, na rynku było na koniec 2017 r. 100-złotówek, a najmniej, bo 7,2 mln sztuk – 500-złotówek. Łącznie na koniec 2017 r. w obiegu było prawie 2 mld sztuk banknotów, a ich wartość wyniosła prawie 194 mld zł.

Łukasz Chłociński

Jakie dane są atrakcyjne dla włamywaczy:

- wszelkie dane osobowe
- hasła
- numery kart płatniczych
- elektroniczne dokumenty zawierające dane bankowe, np. rachunki i wyciągi z kont

Na podst. Bankowość internetowa, Bezpieczeństwo transakcji bankowych w internecie – poradnik Związku Banków Polskich

eprasa.pl 0e6beb08e8

MAŁGORZATA SADOWSKA AKTORKA

Najlepsze, bo wspólne, gotowanie

Dla mieszkańców Podlasia jestem „ich" Halinką Strużikową. Z filmowego i serialowego Królowego Mostu. To dzięki pracy na planie „U Pana Boga za piecem", i kolejnych produkcji z tego cyklu, poznałam region przeuroczy i pełen smaków. Gorzkich, kwaśnych lub bardzo słodkich. Podlaska kuchnia jest niebywała. Może odrobinę tłusta (na co dzień wolę lżejszą), ale bardzo smaczna. Taka nasza, swojska. I nie znam człowieka, któremu by nie smakowała.

Pewnie bierze się to i z tego, że na stół trafiają tam lokalne produkty, zebrane z przydomowych ogródków (nienawożonych chemią), wyhodowane na okolicznych łąkach, przerobione na miejscu. Słowem: „bio" i „eko", na dodatek „slow", bo Podlasie to region, w którym żyje się jeszcze i odpoczywa w spokojnym rytmie oraz w czystych i pięknych „okolicznościach przyrody".

W rejonie, w którym się wychowałam, czyli na ziemi kujawsko-dobrzyńskiej, również bardzo pięknej i smakowitej, nie królowała na stole babka ziemniaczana czy kiszka, ale była za to czernina, w literaturze znana jako czarna polewka. Ta słodko-kwaśna zupa z krwi kaczki u nas była podawana z kładzionymi kluskami ziemniaczanymi. Pyszniejszej, niż gotowała moja mama, nie jadłam. Oczywiście nie każdy będzie się taką potrawą delektował, ale to był rarytas. Szykowany od czasu do czasu, kiedy jeździliśmy na wieś i ciocia z wujkiem przygotowywali potrzebne produkty.

Rodzinny dom kojarzy mi się z zapachem ciasta drożdżowego. Mama świetnie gotowała. I piekła znakomicie. Ja z ciastami jestem trochę na bakier, chociaż podobno robię pyszne czekoladowe, takie na pograniczu brownie, więc od czasu do czasu dom pachnie czekoladą. Częściej domowników przyciąga zapach pieczeni (bo nie jesteśmy wegetarianami), lecz także aromat zup i sałatek.

Uwielbiam gotować. Zresztą to u nas rodzinne. I mąż świetnie gotuje, a 15-letni syn od jakiegoś czasu zastanawia się, czy nie zostać kucharzem.

Trzy lata temu wzięliśmy udział – razem z synem i córką – w zawodach kulinarnych aktorów z dziećmi. I muszę się pochwalić: wygraliśmy w kategorii drugie danie! Nasza najprostsza polędwica okazała się najlepsza. Maja, która pięknie maluje (dziś studiuje grafikę), zajęła się oprawą, Jasiek to zaś specjalista od smaków i pomysłów, a ja... od wykonania [śmiech]. Wspólne gotowanie w tych zabieganych czasach jest supersprawą.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Stek z polędwicy wołowej

Może być daniem na specjalną okazję lub doskonałą propozycją na podjęcie nieoczekiwanego gościa. To szybki i prosty sposób na danie, które rozpływa się w ustach.

Składniki: 2 steki z polędwicy wołowej (4–5 cm grubości), olej, pieprz czarny, najlepiej świeżo mielony, sól morska, masło: 1/4 kostki, czosnek: 2–3 ząbki, natka pietruszki

Wykonanie: Mięso dokładnie oczyszczamy z żyłek, błonek, płuczemy i osuszamy. Przyprawiamy solą, pieprzem i pozostawiamy w temperaturze pokojowej na 30–40 min. W międzyczasie należy przygotować masło czosnkowe. Do masła dodajemy wedle uznania 2–3 ząbki czosnku, sól, pieprz i posiekaną natkę pietruszki. Patelnię rozgrzewamy do bardzo wysokiej temperatury. Układamy na niej wcześniej posmarowane olejem steki i smażymy mięso przez jakieś 5 min po jednej i drugiej stronie. Zdejmujemy steki z patelni i układamy je na desce, pozwalamy mięsu odpocząć przez 5 min. Tajemnica pysznego steka tkwi w wysmażeniu, pamiętajmy, by nie przesadzić z długością smażenia. Następnie układamy „wypoczętego" steka na talerz obiadowy, nakładamy na niego masło czosnkowe. Podajemy z ulubionymi warzywami i rozkoszujemy się soczystą, miękką i delikatną polędwicą (lampka czerwonego wina mile widziana).

Fot. Niemiec/AKPA, Shutterstock

eprasa.pl 0e6beb08e8

SŁODKO-SŁONY

Ryby jak cukierki

ANNA MONICKA

Mięsne hulanki zakończone, a ci, co naprawdę posypują sobie głowę popiołem, zwracają tęskne spojrzenie w stronę ryb. No, może nie do końca tęskne, przecież diety śródziemnomorskiej nie wymyślili Polacy. My lubimy świńskie mięso, a nie leszcze.

Warto jednak pomyśleć o modnym dziś słowie „detoks" i sprawić, by przeszło w czyn. Czyli przejść jednak na ryby, przynajmniej na te kilka tygodni. Taka dieta sprzyja zdrowiu nie tylko fizycznemu, lecz i psychicznemu. Nie od dziś wiadomo, że krwiste czerwone mięso wywołuje agresję.

No dobrze, ale jaką rybę wziąć na ząb? Czy w naszym morzu pływa coś jadalnego? Owszem – łososie bałtyckie, dorsze, śledzie i szproty, węgorze, flądry, makrele. Gdyby komuś było mało, można sięgnąć po bardziej egzotyczną doradę czy tłuściutkiego halibuta (zawsze trzeba sprawdzić przed zakupami, czy ryby złowiono bez szkody dla środowiska). Jest w czym wybierać. Każda ma inny smak, jedne są świetne solone, inne wędzone, jeszcze inne surowe lub pieczone. Oto moje trzy ulubione dania, a przy tym najprostsze do zrobienia, bo ryby w różnych ziołach zawijamy w srebrną folię jak cukierki i pieczemy na grillu lub w piekarniku.

Dorsz z warzywami – ładną sprawioną rybę układamy na folii do pieczenia, faszerujemy pokrojonymi w piórka cebulą, marchewką, pietruszką i zmiażdżonym czosnkiem, posypujemy solą i pieprzem, zawijamy folię i pieczemy 30–40 minut. Dla aromatu możemy dodać kilka listków selera naciowego lub lubczyku. Podajemy z ziemniakami purée albo domowymi frytkami.

Dorada z cytrynami – osuszoną rybę nacieramy solą, skrapiamy oliwą i wkładamy jej do środka cząstki cytryn i limonek, kilka gałązek oregano i pieczemy w folii po kilka minut z każdej strony. Podajemy z sałatą zmieszaną ze kaparami, piórkami cebuli i kolorową papryką pokrojoną w paseczki.

Halibut w ziołach – porcje ryby smarujemy pastą z czosnku, płatków ostrej papryki (z umiarem), oliwy, soli, pieprzu i zawijamy w folię. Pieczemy krótko, delikatnie obracając, żeby nie rozpadło się mięso. Podajemy z ryżem, polane sosem koperkowo-cytrynowym lub śmietanowo-cytrynowym.

Fot. Shutterstock

WINNICA MAZURKA

Chianti patykiem pisane

ROBERT MAZUREK

Ech, gdyby tak smakować etykiety, to włoska oferta Biedronki byłaby nie do pobicia. Tak, włoska, bo choć ledwie tydzień temu pisałem o winach hiszpańskich, tak teraz w dyskoncie wylądowały butelki włoskie. Jedne Biedronka nazwała winami pełnymi temperamentu, drugie pełnymi pasji, ale konia z rzędem temu, kto je odróżni.

Wspomniałem o etykietach, bo dyskonty przyzwyczaiły nas do pozornych okazji cenowych – a to barolo za 50 zł, a to amarone za mniej więcej tyle samo, a to wreszcie chianti za złotych 15. Tak, tak, w Biedronce kupimy **Sensi Chianti** za 15 zł, i to bez grosza. To się, proszę państwa, zapewne da wypić, sanepid nie protestuje, ale pozostaje pytanie: po co? Jest co prawda jeszcze **Forziere Riserva Chianti Classico 2012**, podobno o niebo lepsze. Piszę podobno, bo wina tego w Biedronce nie znalazłem, ale przecena (z 30 na 25 zł) dowodzi, że nie wywoływało ono szturmu na sklepy.

Karnawał minął, a Biedronka proponuje aż cztery, znane z poprzednich edycji, wina musujące. Wytrawne **Porta Leone Prosecco Treviso** jest wodniste, ale akceptowalne, **Biscardo Prosecco** ma ciut więcej cukru, oba po 20 zł, co kto woli. Za 27 zł z kolei można mieć całkiem miłe, rześkie, wytrawne **Martini Prosecco** i słodkie **Martini Asti**, które mnie nie przekonuje, ale ciocie będą zachwycone.

Z szarzyzny wybijają się oba wina z Abruzji po 25 zł, sympatyczne, odświeżające **Marchesi Carbone Trebbiano d'Abruzzo 2017** i **Marchesi Carbone Montepulciano d'Abruzzo 2016** z wyczuwalnym owocem, trochę kompotowym, ale przynajmniej nie zabeczkowanym na amen. Jak kto lubi lukrecję i dżem, może sięgnąć po **Cademusa Appassimento 2016** (20 zł), choć lepsze jest tańsze o 2 zł sycylijskie **Tenute Varvari Nerello Mascalese 2016**.

Martini Prosecco 27 zł

Marchesi Carbone Trebbiano d'Abruzzo 2017 25 zł

Tenute Varvari Nerello Mascalese 2016 18 zł

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 0e6beb08e8

Zmiana algorytmu

PIOTR SKWIECIŃSKI

Czytający ten tekst są szczęściarzami.

Nie, nie dlatego że jest on mojego autorstwa. Dlatego że zbudowali sobie przewidywalny w sensie informacyjno-intelektualnym świat. Bo kupują co tydzień określony tygodnik, w nim znajdują określonych autorów. A więc – tak jak czytelnicy innych tygodników – panują jakoś nad komunikatami i bodźcami, które usiłują się wedrzeć do ich mózgów.

Lub przynajmniej panują w pewnej części. Bo zapewne większość spośród nich jest obecna na Facebooku. A tam ostatnio dzieją się rzeczy... powiedzmy ostrożnie: interesujące.

Dla wielu ludzi Facebook stał się podstawowym źródłem informacji, choć sam jej nie wytwarza. Ale ją agreguje; coraz większa część użytkowników FB coraz rzadziej bezpośrednio sięga po tradycyjne media (czyli również po portale internetowe). Zadowala się linkami dostarczanymi przez Facebooka. Są to często linki do tychże mediów, ale facebookowicz nie dokonuje już ich samodzielnego przeglądu ani wyboru wśród ich oferty. To robi za niego...

No właśnie, kto? Skandale wokół wyborów w USA doprowadziły do powszechnej świadomości to, że na przykład reklamodawca, w tym ten polityczny. Może on zapłacić za to, żeby wyselekcjonowanym pod jakimś kątem użytkownikom podsuwać pod nos treści, za które reklamodawca zapłacił. Ale to wciąż niewielka część zawartości Facebooka. Kto określa resztę?

Dotąd w jakimś stopniu znajomi danego użytkownika, linkujący artykuły ich zdaniem godne polecenia. Ale przede wszystkim algorytm. Stworzony przez człowieka mechanizm. Który oczywiście może być różny.

No i teraz właśnie się zmienia. Pod wpływem krytyki z różnych stron, ale można założyć, że chyba najbardziej tej bliskiej Markowi Zuckerbergowi, twórcy i właścicielowi FB, czyli liberalno-lewicowej. Bo paradoksalnie media społecznościowe będące dziełem – jeśli kogoś konkretnego – to ludzi o mainstreamowo-progresywistycznej wrażliwości, jak dotąd przysługują się bardziej „populistom", „altrightowi" i w ogóle ruchom antyestablishmentowym. Często prawicowym. Bo osłabiły dominację dotychczasowych informacyjno-ideologicznych niemal monopolistów. Irytację tą sytuacją wyraził (już o tym pisałem) George Soros. Mówiąc – formalnie – o tym, że platformy społecznościowe manipulują, w skryty sposób zakłócają autentyczność dokonywanych przez ludzi wyborów, a to wszystko we własnych celach komercyjnych.

Facebook, można uznać, się przejął. Bo wystąpienie Sorosa zeszło się w czasie z ogłoszeniem przez FB nowej polityki, która wygląda tak, jakby postanowił zejść Sorosowi z drogi. Firma Zuckerberga zaczyna bowiem dyskryminować linki – post z linkiem ginie gdzieś na dole strony i ma wszelkie szanse pozostać niezauważony. Promowane ma być to, co oryginalnie powstaje dla Facebooka, czyli dokonywane przez ludzi wpisy. Podobno, żeby ludzie się z sobą bardziej zaprzyjaźniali i kontaktowali. Podobno, żeby mniej było propagandy. Podobno ma to być zmiana całkowicie niepolityczna i sprzyjająca pluralizacji, choć pewien niepokój może budzić to, iż kształt tego pożądanego pluralizmu Chris Cox, szef rozwoju produktów FB, określa słowami „równe szanse mają kobiety motocyklistki i gejowski klub rugby"...

Tak czy owak, bije to oczywiście w media, którym generowany przez FB (dotąd za darmo) ruch na stronach spadnie. W związku z tym wiele z nich, aby się ratować, zacznie wykupywać u Zuckerberga posty sponsorowane. Te, łatwo się domyślić, nie będą ograniczone i nowy strumień kasy popłynie do centrali Facebooka w Menlo Park...

I w zasadzie można by powiedzieć, że to jest problem wyłącznie tradycyjnych mediów. Ich sprawa.

Tylko że problemu nie da się tak łatwo zbyć. Bo niezależnie od tego, czy decyzje Facebooka (który potrafi być dość demoniczny – parę lat temu eksperymentował przecież ze sterowaniem stanem emocjonalnym użytkowników) mogą się podobać, czy nie, to zauważmy, że jeszcze nigdy prywatna i niekontrolowana przez nikogo poza właścicielami firma nie miała tak gigantycznej władzy. I to w skali światowej. No bo przecież bardzo wiele zależy od tego, jakie informacje dostają zwykli ludzie, w dodatku najczęściej niezdający sobie sprawy, że ktoś tą taśmą przesuwającą im się przed oczyma steruje. Dodajmy, że w świecie starych mediów ludzie też miewali takie złudzenia, ale w znacznie mniejszym zakresie.

Trudno udawać, że nie ma problemu. Bo przecież „informacja to krew współczesnego społeczeństwa; jeśli zmienia się jej skład, to zmienia się też w ślad za tym cały organizm". Kto to powiedział? Ach, pewien rosyjski, putinowski propagandysta. Taki ktoś z definicji nie ma racji, wręcz odwrotnie, gdy dowiemy się, że myśli on o czymś w jakiś sposób, trzeba zaraz pomyśleć odwrotnie.

Więc problemu jednak nie ma. Co za ulga.

Pluralizm Zuckerberga, czyli wybór między kobietami motocyklistkami a gejowskim klubem rugby

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0e6beb08e8

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Tu nie płacą za myślenie

Każdy, kto przygląda się polskim dyskusjom politycznym, po pewnym czasie dochodzi do wniosku, że coś tu nie sztymuje (jak powiedzieliby na warszawskiej Pradze). Nikt już w zasadzie nikogo nie słucha, a chodzi jedynie o to, aby jak najkorzystniej sflekować przeciwnika. Całe polskie życie polityczne toczy się w mediach i na ulicy Wiejskiej lub w jej okolicach. Reszcie Polaków przypadła jedynie rola widzów, którzy mają klaskać, kiedy trzeba, „ufać", wspierać i... płacić. Innych praw najlepiej, aby dobrowolnie się wyrzekli, bowiem w praktyce niczego innego, jak tylko utrzymywania i głosowania „polska klasa polityczna" od nas nie potrzebuje ani nie chce.

Witold Gadowski

Ktoś powie, że tak polityka wygląda w większości krajów świata i niczego więcej z tzw. klasy politycznej wycisnąć się nie da. Fakt, ale należymy do krajów, gdzie polityczne dyskusje należą do najbardziej bezprzedmiotowych, jałowych i pozbawionych realnego sensu.

Skąd to się bierze?

Z technologii uprawiania polityki, w której – współcześnie – najważniejszy jest dobry wizerunek i wrażenie, a nie prawda? No, oczywiście jeszcze ważniejsze jest punktowanie w oczach szefa partii, bo to daje przepustkę do fruktów. Z niskiej jakości politycznego środowiska, które w istocie napędzane jest podskórnymi interesami, a nie żadną ideologią? A może, jak chcieliby neomoderniści, nastąpił zmierzch ideologii i wartościami, a nawet prawdą może być wszystko, co ktoś jest skłonny za nie uznać?

U nas niestety nawet takie problemy nie zaprzątają publicznej uwagi. Właściwie przestałem oglądać telewizję, wiem bowiem, co, kto i gdzie powie. Jest to tak nudne i smutne, że nie ma co się narażać na obcowanie z tymi pozorami dziennikarstwa i dyskusji.

Niestety wszystko to wynika nie tylko z miałkości i fasadowości naszego politycznego światka, lecz także z beznadziejnej jakości refleksji nad światem i własnym krajem, jakie uprawiane są nad Wisłą. Trwa tu bowiem spektakl farsy i kameleoniarstwa. Słabość naszego życia publicznego bierze się z beznadziejnego poziomu refleksji, z braku prawdziwych autorytetów – ludzi, którzy potrafią powiedzieć, po co istnieje Polska i komu jest ona potrzebna.

Jak zatem można się dziwić temu, że wraz ze zmianą władzy następuje w Polsce masowy ciąg pieczeniarzy i robactwa do obozu zwycięzców?

Bez wyraźnie narysowanych linii sporu, bez ważnych opinii i świeżych intelektualnie poglądów nie wyjdziemy z tej matni. A jest ona głębsza niż umysłowe szamba z napisami „peowscy złodzieje" i „pisowskie oszołomy".

Wrażliwość

Poprawność polityczna nakazuje nam szanować wrażliwość innych ludzi. Musimy zrozumieć mentalność islamskich uchodźców wychowanych w zupełnie innej, wrogiej nam kulturze. Powinniśmy wszyscy współczuć zranionemu przez Holokaust narodowi żydowskiemu. Każe się nam wybaczyć winy Niemcom, którzy „także ucierpieli podczas ostatniej wojny" i którzy próbują (dość wybiórczo) odkupić swoje grzechy.

Lech Makowiecki

Ale w całym tym oceanie nieszczęść zapomina się zupełnie o cierpieniach narodu polskiego! Najgorsze jest to, że nie chce o nich pamiętać również część naszych rodaków.

Gdy w czasach pokoju (1937/1938) na rozkaz Stalina rozpoczęło się masowe ludobójstwo Polaków (według niektórych szacunków kosztowało to życie 140 tys. osób), nikt tego nawet nie zauważył. Gdy już jesienią 1939 r. zarówno Niemcy, jak i Rosjanie według list, w sposób zorganizowany wywozili i mordowali polskie elity, świat o tym milczał. Zbrodnię katyńską złożono na ołtarzu antyhitlerowskiego sojuszu. Rzeź wołyńską zamilczano przez wdzięczność za „wyzwolenie" nas przez Kraj Rad. Polskich bohaterów – żołnierzy wyklętych (czyli „faszystowskich bandytów") – torturowano i grzebano w bezimiennych dołach, zacierając pamięć o nich. Dziś – co wydaje się zupełnie nieprawdopodobne – niemieckie obozy śmierci, w których masowo ginęli Polacy, bezczelnie nazywa się „polskimi"!

Horror Holokaustu, który dotknął 2,8 mln polskich Żydów, jest powszechnie wiadomy. Męczeńska śmierć porównywalnej liczby etnicznych Polaków zupełnie nie istnieje w światowej narracji! I to jest nasza wielka, niewybaczalna wina. To grzech śmiertelny wobec polskich ofiar wojny z Piaśnicy, Wołynia, warszawskiej Woli, Zamojszczyzny. To naplucie w twarz rodzinom Ulmów i Kowalskich. To policzek dla „Inki", „Roja", „Ognia", rtm. Pileckiego czy gen. Fieldorfa.

PS „Mordowaliśmy!" – uderzył się w piersi były sekretarz KC PZPR, tow. Marcin Święcicki. „Byliśmy mordowani!" – przytaknęli mu Polacy. Przynajmniej w tej kwestii mamy zgodę.

eprasa.pl 0e6beb08e8

PRZEZ ŚWIETLIK

Salonowiec

W starej, jak to się mawia „kultowej", piosence Andrzeja Waligórskiego o cysorzu jedną z atrakcji, które umilały życie wspomnianego władcy, były rozmaite niespodzianki. Należała do nich lektura różnych, nieistniejących już tytułów peerelowskich kolorówek, ale także gra z marszałkami w salonowca. Niestety nie jestem cysorzem, kolorowej prasy nie czytam, ale muszę się pochwalić, że salonowca mam ostatnio na co dzień. Nigdy nie wiadomo, kto skąd przywali. Ludzie stali się nieobliczalni, a do tego rzekomo heglowska zasada, że jeśli fakty się nie zgadzają, tym gorzej dla faktów, stała się wszechobowiązująca.

Dziś w salonowca grają wszyscy ze wszystkimi. Można by rzec, że każdy z nas zaczyna mieć w sobie coś cysarskiego

Kamilowi Stochowi niespodziewanego klapsa wymierzył np. polski sędzia. Gdyby dał mu notę jak koledzy z innych krajów, nasz skoczek miałby szansę na podium. W sumie sędzia powinien być bezstronny i działać według zasad i sumienia, więc trudno mieć jakieś wielkie pretensje, ale jednak – jak to mawiano w dowcipie o zagubionym płaszczu – niesmak pozostał.

Ostatnio w takiego współczesnego salonowca postanowił ze mną, a właściwie kierowaną przeze mnie redakcją, zagrać Jan Pospieszalski. Znam faceta raczej od dość dawna i miałem, staram się wciąż mieć, dość wysokie mniemanie o jego kompetencji nie tylko w muzyce, bo co do tej ostatniej to raczej nikt nie ma wątpliwości. Aż tu nagle dowiaduję się od Janka na swój temat, z łamów tygodnika „Do Rzeczy", że radiowa Trójka promuje muzykę anglosaską, tępi rodzimą, upycha ją po nocy. Generalnie Sodoma, Gomora i zdrada, dziadkowie się w grobie kręcą. Jako koronny przykład trójkowych zbrodni Janek podał audycję, która w jego mniemaniu, wywnioskował to po nazwie, służy do upychania po nocy rodzimych utworów. Tyle że akurat w tej audycji polskie utwory nie są grane. Reszta sensacji też całkowicie wyssana z palca lub wyobraźni. Tak to z tym Jankiem już jest. Artysta.

Na pociechę mogę stwierdzić, że dziś w salonowca grają wszyscy ze wszystkimi. Można by rzec, że każdy z nas zaczyna mieć w sobie coś cysarskiego. Nigdy nie wie, kto, skąd i kiedy mu przyłoży. Polska wprowadziła prawo, dzięki któremu chce bronić swojego dobrego imienia. Wydawałoby się, że może ono przeszkadzać Niemcom, Austriakom, ale dlaczego na Boga, naszego lub ich, Żydom? Okazało się, że przeszkadza, i izraelscy politycy gremialnie rozpętali burzę, która oczywiście nam zaszkodzi bardzo, ale i im nie pomoże. Bo właśnie stracili sympatię społeczeństwa najbardziej zagorzałego europejskiego sojusznika.

Znajomy pracuje w korporacji wypełnionej, jak to w takich miejscach, w większości przez archetypicznego leminga. Jego koledzy i koleżanki z pracy martwią się stanem demokracji w Polsce, uważają, że Komisja Europejska ma rację w sporze z Polską, 500+ jest niedobre i wszystko inne, o czym przeczytają w ulubionej gazecie lub telewizji. Ale gdy oczekiwano, czy prezydent podpisze nową ustawę o IPN, nastąpiło wielkie zaskoczenie. Większość wyczekiwała nie weta, ale podpisu. Nawet leming nie lubi, jak robi się z niego potomka ludobójców. 50 lat temu, kiedy Izrael prowadził wojnę z Egiptem, Gomułkowski aparat popierał Arabów, ale ludzie kibicowali „naszym Żydom". Jeśli teraz wybuchnie konflikt Izraela z Iranem, polskie władze będą popierać to pierwsze państwo, ale wielu ludzi już niekoniecznie. W przedwyborczym szale żydowscy politycy przyłożyli solidnie – przyznajmy – nie tylko nam, lecz i sobie. To taki salonowiec w wersji hard. Zamiast klapsa fanga w nos.

W internecie krąży film z bokserem, który tak niefortunnie wymierza lewy sierpowy, że sam siebie trafia w nos. Tak to bywa ze współczesnym salonowcem.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl 0e6beb08e8

Wiatyk i arka

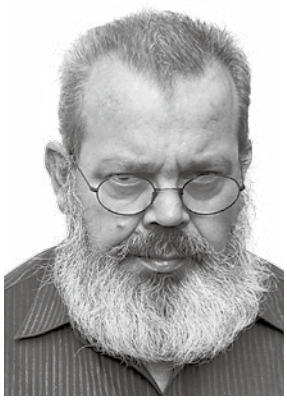

Aleksander Nalaskowski

Zmywanie wszystkiego, co przyniósł nam komunizm, jest długotrwałe i bolesne. Widzimy to gołym okiem. Polskę trzeba budować niemal od nowa. Także mentalnie. Są w nas i wokół nas sprawy oraz wydarzenia nierozliczone, wciąż natykamy się na jakieś tajemnice, a działania rządu i parlamentu nie wszystkim na świecie się podobają. Nie mam wątpliwości, że to jeszcze potrwa. Nie ma bowiem powodu, aby spustoszenie ustrojowe i poustrojowe dało się naprawić w ciągu życia jednego pokolenia. Większość powstańców warszawskich, tych, którzy powstanie przeżyli, nie doczekała właściwego i głośnego „dziękuję". Nie dostała orderów, emerytur kombatanckich ani nie dostąpiła innych zaszczytów. Wielu skończyło w ubeckich katowniach, a potem na symbolicznych „Łączkach" pod trumnami oprawców. Bezpieki nikt nie rozliczył, może poza historykami. Gomułkowców, moczarowców, Ochabów, Minców, Kani też nikt nie rozliczył za cokolwiek. Za trzymanie Polski w siermiężnym uścisku realsocjalizmu, za życie przestane w kolejkach, za cenzurę i niszczenie kultury, za amputację rozwoju młodych ludzi, za obecność wojsk sowieckich, za stan wojenny nikomu włos z głowy nie spadł. Tak nam wszak minęło pół wieku! A my nadal nie wiemy tak do końca, kto zabił ks. Popiełuszkę.

Pół wieku, które nas cofało, wytworzyło – do dzisiaj obecny – kompleks Zachodu, urodziło tlące się cały czas spory i podziały. Mało tego – przyszły resortowe dzieci, a teraz i wnuki bazujące na starych układach oraz zależnościach. Wszystko trwa. Nieco inaczej, jednak trwa. Coraz trudniej cokolwiek rozliczyć, przebić się przez zagmatwaną historię, przez pospolite „tak, ale". Nie tak znowu dawno rozmawiałem z rolnikiem, któremu dzisiaj niczego nie brakuje. Ma piękne, bajecznie kolorowe maszyny, pokaźne zabudowania, odbiorców na produkty i na niedzielę niezwykle przyzwoite auto. Trzy dekady temu nie mógł nawet o tym pomarzyć, a jeszcze 20 lat temu był ofiarą przekształceń i niemal sięgnął dna. On w pewnym momencie, niezadowolony – rzecz jasna – z władzy, powiedział mi, że Gierek to był prawdziwy gospodarz. Mój Boże, spustoszenie mentalne i jakaś zaćma. Wybiliśmy się na niepodległość, ale jeszcze nie na prawdę. Jeszcze nie wiemy, co mamy w rękach, nie potrafimy tego docenić, a już to jakby ignorujemy. A co tam, stać nas na to! Tym sposobem uchowali się rozmaici Boni, Święciccy czy Cimoszewicze. Mogą gadać brednie, mogą obrażać Polskę, mogą na nią skarżyć bez opamiętania, mogą na jej koszt zupełnie odejść od rozumu, jak obaj Stuhrowie, mogą widzieć w Komorowskim męża opatrznościowego i intelektualnego giganta, chociaż to tak, jakby w żabie dostrzec smoka, ale Polska nie poskąpi im pieniędzy z podatków obywateli, chociaż dawno już mówią tylko w imieniu swoich gangów i koterii. Mogą media tworzyć fake newsy, mogą posługiwać się postprawdą, interpretacjami zamiast faktami, ale nam jest to i tak chyba obojętne, bo naszą obywatelskość i świadomość już dawno wyprano ze zbędnych szczegółów. I trzeba, żeby nas jakiś obcy kraj oskarżył o zbrodnię, abyśmy mówili względnie wspólnym głosem. Ale gdy nam z prawa i z lewa będą zarzucać brak demokracji, jak nasi współrodacy będą nasz naród obrażać i oskarżać o głupotę, to nas to nie ruszy. Pozostaniemy bierni, miast wzorem ostatniej kampanii, tej najostatniejszej, ustawić na granicach billboardy: „Odwalcie się od naszej demokracji!". Bo mamy robotę do wykonania. Mamy swoje opus dei do zrobienia.

Odwalcie się od naszej demokracji! Bo mamy robotę do wykonania. Mamy swoje opus dei do zrobienia

Dlatego – mimo że wszelkie próby niepozorowanych zmian nas tak drażnią, tak naruszają naszą wygodę i ustalone „raz na zawsze" poglądy – musimy zacisnąć zęby i wytrzymać. Chociaż taka odbudowa jak kuracja odchudzająca musi boleć. Wystarczająco długo zgadzaliśmy się na ustrojową morfinę, na pozorny komfort i klepanie po plecach. Bo taki fajny był z nas Trzeci Świat w środku Europy. A jeszcze zebraliśmy z Niemiec i Holandii cały złom samochodowy, tanio rozbudowaliśmy Anglię i podłączyliśmy wszystkie zlewozmywaki w Paryżu. Jeśli chcemy cokolwiek zmienić, to już nie możemy się cofnąć, nie możemy burzyć kościołów, pozwalać na cuda nad samorządową urną, na idiotów i zdrajców reprezentujących nasz kraj, na kłamstwa, ale i uprzedzenia do innych narodów, ani na demagogię. Nie wątpię, że tylko tak możemy przetrwać, że tylko w ten sposób możemy stanowić europejski wiatyk, którym kiedyś schrystianizujemy i na powrót ochrzcimy kruszącą się na naszych oczach Europę. To, co najcenniejsze i ile można, zabierzmy do swojej arki i przeczekajmy to, co nieuchronnie musi nastąpić. Już nie możemy się cofnąć. Zresztą nawet nie mamy dokąd. A potem znów do roboty.

eprasa.pl 0e6beb08e8

ROBERT MAZUREK

Jadźwingowie z Marszałkowskiej

Wychodzę z kina po „Czasie mroku", świetnym filmie o tym, jak Churchill zostawał premierem, obiecując rodakom krew, pot i łzy, a później poprowadził kraj do wojny. „Kapitalne" – rzuca napotkany przy wyjściu minister L., luminarz poprzedniej ekipy. „Szkoda, że u nas takich nie robią" – odpowiadam. „Ale o czym?! Jakoś nie bardzo mamy czym się pochwalić" – przekonuje z kwaśnym uśmiechem.

Mnie nie przestaje zdumiewać polskie przeświadczenie, że naszym narodowym sportem jest przegrywanie wszystkiego, co się da

Tak, wiem, już kiedyś ten felieton pisałem. Było to po tym, jak znany reżyser B. proponował mi, bym napisał mu scenariusz filmu, bo on jakoś nie widzi, czym mielibyśmy się szczycić. „Przecież my zawsze przegrywaliśmy" – wyjaśniał zrezygnowany. Ani pisania scenariusza, ani wyjaśnienia mu – naprawdę inteligentnemu i dobremu twórcy – że się myli, nie podjąłem. Ale o tym za chwilę.

Najpierw scena trzecia. Siedzę ze znajomą muzykolożką na kawie. „Że też oni, cholera, nawet filmu o Paderewskim nie zrobili!" – komentuje mizerię polskiej kinematografii. I opowiada z przejęciem, że największe gaże, że o takich pieniądzach w Ameryce nikt nawet marzyć nie mógł, że wielkie sale, że gigantyczna sława, że piękne kobiety. „Był bogiem, a tu patrz, na wezwanie Ojczyzny wszystko rzuca i zostaje premierem!" – mówi z przejęciem M. I kwituje oczywistość: to właśnie gotowy scenariusz na amerykański blockbuster, wielki hollywoodzki, kasowy film o sławie, pieniądzach, kobietach i polityce.

Paderewski to, rzecz jasna, jeden z wielu potencjalnych bohaterów filmów o polskiej historii. Kolejnym mógłby być Merian C. Cooper – legenda Hollywood, zdobywca Oscara, twórca King Konga, który w czasie wojny bolszewickiej założył eskadrę lotniczą pomagającą Polakom, trafił do niewoli, uciekł, został odznaczony Virtuti Militari. Tu skądinąd napomknąć należy, że pomysł na film o Cooperze zarejestrował w Stanach już dawno Paweł Szałamacha, były minister finansów.

Ale problem nie w tym, czy brak nam polskich, tudzież związanych z Polską bohaterów, bo to oczywiste, że nie. Mnie nie przestaje zdumiewać co innego, a mianowicie to polskie przeświadczenie, że naszym narodowym sportem jest przegrywanie wszystkiego, co się da, że sami sobie powinniśmy przyznać raczej zbiorowe Gloria Victis, bo jak świat światem od zawsze bierzemy w d... Co powstanie, to klęska, co wojna, to przegrana, ot, naród pijanych bohaterów, co to ginąć tylko potrafili.

Tak? Też tak myślicie? To taki mały eksperyment. 1000 lat temu chrzest i cywilizację przyjmowaliśmy od Czechów. Gdzie dziś są te rozsądne, mądre, wolne od tromtadracji i pobrzękiwania szabelką Czechy? Czy są małym, bo 10-milionowym, rozleniwionym, ale zamożnym jak Szwajcarzy narodem? Nie wydaje mnie się. To może bratankowie Madziarzy, wszak oni również byli potęgą? Hm, dziś są czterokrotnie mniej od nas liczni i niekoniecznie zamożniejsi. Do niespełna trzymilionowej Litwy porównywać nas też nie wypada.

To nie tak – przekonywał mnie znajomy intelektualista, któremu to wyłuszczałem. – Pamięć narodów nie sięga 1000, ale najwyżej 100–150 lat – klarował. Tak? To się świetnie składa, bo myśmy wtedy właśnie dwukrotnie, w 1919 i w 1989 r. odzyskiwali swoje niezależne państwo, a i w czasie II wojny światowej co do zasady potrafiliśmy się zachować.

Nie mam poczucia, żeśmy są najładniejsi i najbogatsi w całej wsi, że nawet jak w piłkę przegrywaliśmy, to tylko dlatego, że sędzia czy deszcz. Nie, niekoniecznie to Jan z Kolna odkrył Amerykę i to nie Beata Kozidrak jest największą gwiazdą muzyki od czasów Elvisa. Tylko że to wszystko nie znaczy, żeśmy sroce spod ogona wypadli, to nie znaczy, że zawsze dostawaliśmy łupnia i tylko dzięki niebywałej łaskawości sąsiadów nie podzieliliśmy losu Jadźwingów. Nie, krytycy najukochańsi, nikt nas nie rozpieszczał, jak i my nie niańczyliśmy innych. I to, co mamy – 40-milionowy naród, państwo z bogatą w zwycięstwa historią – zawdzięczamy wyłącznie sobie. Więc mnie nie mówcie, że jedyne, co możemy zrobić, to rozbierane sceny w „Koronie królów", a i to z rzadka.

Fot. Andrzej Wiktor

robert.mazurek@hotmail.com

Klinika kręgosłupów

W terapii tego popularnego wśród polityków rodzaju schorzenia kręgosłupa stosujemy najnowocześniejsze osiągnięcia psychologii praktycznej, w tym techniki neurochirurgii mózgowej z użyciem lasera etycznego" – to fragment z ulotki, którą w zeszłym tygodniu znaleźli w swoich skrzynkach polscy parlamentarzyści.

A oto jej pełna treść: „Sejmowe Centrum Medyczne z dniem 1 marca otwiera oddział specjalny zajmujący się leczeniem skrzywienia oraz innych objawów degeneracji kręgosłupa moralnego posłów i senatorów. Przyświecają nam zasady innowacyjności jako podstawowy wyznacznik rządowego programu w każdej podejmowanej inicjatywie.

Jerzy Jachowicz

Pacjentowi na jego osobiste życzenie w całym procesie leczenia zapewniamy warunki pełnej anonimowości. Co zrozumiałe, zarówno seanse psychoterapeutyczne, jak i zabiegi oraz proces rehabilitacyjny odbywać się będą indywidualnie. Nie jesteśmy w stanie określić czasu całego okresu terapii. Zależeć on bowiem będzie od stopnia zniszczenia kręgosłupa oraz cech osobowościowych pacjenta. Z doświadczeń zespołów terapeutycznych wynika, że przeciętny proces leczenia, biorąc też pod uwagę czas potrzebny na utrwalenie jego wyników, wynosi około dwóch lat, czyli połowę kadencji naszego parlamentu. W bieżącej kadencji to ostatnia chwila, aby dla obecnych parlamentarzystów uruchomić program terapii.

Dzięki życzliwości organów ścigania – policji i prokuratury – dysponujemy świetnym materiałem poglądowym. Mamy m.in. rezonanse akustyczne najświeższych kręgosłupów moralnych dwóch znanych parlamentarzystów – Stanisława Koguta i Stanisława Gawłowskiego. Jak wiadomo, obydwaj są z dwu różnych, rywalizujących z sobą od wielu lat ugrupowań politycznych. Obydwa te rezonanse stanowią świetny materiał analityczny, pokazujący, jak rzeki rozpoczynające swój bieg z różnych źródeł w pewnym momencie wpadają do tego samego nurtu. Dysponujemy również pouczającymi wynikami rezonansu Józefa Piniora i Beaty Sawickiej.

Liczba miejsc na terapię ograniczona. O przyjęciu decyduje pierwszeństwo zgłoszenia".

CO MNIE NAPAWA DUMĄ

Jestem dumną Polką

Jestem dumna z kraju, w którym żyję, i z większości moich rodaków, którzy postawili na dobrą zmianę.

Jestem dumna z naszej historii. Tę najnowszą znam z autopsji lub opowiadań. Dumna z Wojska Polskiego, które po obronie ojczyzny walczyło na wszystkich frontach wojny w Europie, prawdziwie realizując hasło: „Za wolność waszą i naszą". Dumna jestem z gen. Andersa i gen. Maczka.

Katarzyna Łaniewska

Jestem dumna z Państwa Podziemnego działającego w czasie okupacji, nieobciążonego żadną kolaboracją. Z partyzantki, z leśnych ludzi, z małego sabotażu z Szarych Szeregów, z żołnierzy Powstania Warszawskiego, z małych harcerzy – poczty powstańczej. Z tego, że teatr podczas okupacji nie grał ani nie kolaborował.

Tylko w Polsce za pomoc Żydom groziła kara śmierci. A jednak pomagaliśmy. A że znajdowały się szubrawe wyjątki – i tak nie można używać sformułowania, że Polacy mordowali Żydów lub że obozy koncentracyjne to były polskie obozy.

A jakże nie być dumnym z tego, który podniósł nas z kolan, dzięki któremu staliśmy się solidarni, który niósł słowa prawdy i mówił, żeby się nie lękać. Ze św. Jana Pawła II – papieża Polaka. Jestem dumna ze zrywu „Solidarności", z walki o prawdę, godność, wolność i lepsze życie, i z jej duchowego przywódcy ks. Jerzego Popiełuszki.

Jestem dumna z młodzieży, która tak ofiarnie pracowała na powązkowskiej „Łączce", przywracając prochom nazwiska bohaterów – Żołnierzy Wyklętych. Z młodzieży działającej w grupach rekonstruujących walczące oddziały powstańcze. I tej młodzieży, która garnie się teraz do obrony Polski, do zasilenia szeregów Obrony Terytorialnej.

Jestem dumna, że z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego otrzymałam Order Komandorski Odrodzenia Polski za tzw. drugi obieg. Jestem też dumna, że dzięki uporowi ludzi przez osiem lat ofiara życia poległych w katastrofie smoleńskiej nie zostanie zapomniana, ale godnie upamiętniona. Zwyciężyliśmy.

eprasa.pl 0e6beb08e8

Przeczytaj wSIECI HISTORII

Przedwojenna Polska obrodziła utalentowanymi lotnikami, o czym w trakcie bitwy o Anglię przekonali się Niemcy. Kamień węgielny w dziele lotnictwa położyli Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura – *pisze Mateusz Kosiński*

W marcu 1968 r. demonstracje studenckie, a właściwie demonstracje obywatelskie zainicjowane przez studentów, objęły wszystkie ośrodki uniwersyteckie i całą polską społeczność akademicką – *wspomina Antoni Macierewicz*

Maria Skłodowska niegdyś lubiła tańczyć i jeździć konno. Miała dość rozległe zainteresowania i wówczas nie było jeszcze przesądzone, że zajmie się naukami ścisłymi – *pisze Marcin K. Schirmer*

Dramatycznym zwieńczeniem narastających działań mających na celu podporządkowanie Kościoła w Polsce władzom komunistycznym było zatrzymanie w 1953 r. prymasa Stefana Wyszyńskiego. Jak wspominają świadkowie, w trakcie zatrzymania kardynał wskazał bp. Baraniaka jako osobę zastępującą go na Miodowej – *o niezłomnym duchownym bp. Antonim Baraniaku piszą Konrad Białecki, Rafał Łatka, Rafał Reczek i Elżbieta Wojcieszyk*

eprasa.pl 0e6beb08e8

Zawistowski prezentuje: ***Pobór***

Wycinki z przeszłości

Tygodnik Narodowy" z 1913 r. zamieszcza obrazek zatytułowany „Dramat przed sądem" i takie daje objaśnienie: „Nie ma zapewne miejsca, gdzieby tyle rozgrywało się nieomal codziennie strasznych dramatów życia, jak to się dzieje przed kratkami sądowemi. Przypomina nam się dramat taki, opisany mistrzowskiem piórem laureatki Nobla Selmy Lagerlöf. Przed kratkami stoi dziewczyna służebna, uwiedziona przez swego chlebodawcę, który chce przysięgać, że z dziewczyną nie miał stosunku. W ostatniej chwili wyrywa mu dzielna dziewczyna biblię, na którą złożyć ma przysięgę. Bo go kocha i nie chce, by stał się krzywoprzysięzcą. Czyni to, świadoma, że sama siebie i swe dziecię skazuje na nędzę życia. Czyni to wszakże z prawdziwej miłości. Czyż to nie straszny dramat życiowy?

Podobny widzimy na naszej rycinie. Główny świadek składa przysięgę na niekorzyść dwóch kobiet po prawej stronie, może z ich krzywdą. Staruszkę straszna ta przysięga złamała, a młodsza, jej córka, wre uczuciem zemsty i zwątpienia we wszystko, co dobre i szlachetne. Przeciwna tymczasem strona triumfuyąco patrzy na zwyciężone, z uśmiechem szyderczym, złośliwym na ustach".

To opis sprzed ponad 100 lat. A dzisiaj? Czyż bardzo różne są współczesne sądy?

(mk)

Z tradycji „tańców polskich"

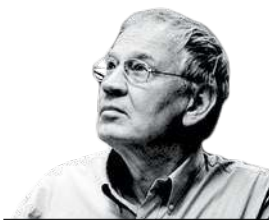

Leszek Długosz

Autor, obrońca „klasyczności", główny adwersarz Mickiewicza, czyli „romantyczności". Oto jego satyra na bale organizowane w Krakowie, po przybyciu uchodźców z Księstwa Warszawskiego. Po klęsce rosyjskiej kampanii Napoleona.

Kajetan Koźmian (1771–1856)

Do tańcującego Krakowa

Kiedy los, sprzysiężony na kraju ruinę
Smutną przeznaczeń Polski dobija godzinę,
Gdy z ostatniego szczątka ojczystej uchrony
Wyparty mężny rodak w obce zmierza strony,
Gdy nie masz, kto by nas mógł, kto by chciał zasłonić,
Było kraj komu niszczyć, nie ma komu bronić.
Co za szczęśliwy powód do uczt i do tańców.

Skaczą żony i córki niebacznych mieszkańców,
Skaczą rycerze, skaczą pierwsi urzędnicy,
Skaczą w domach i ledwie już nie na ulicy.
Dają nam brawo obcy i każą grać dalej,
Zawsze tak Polak skakał, jak mu oni grali.

Od walca i kadryla zaczął się bal w kraju,
A kończy się kozakiem, jak było w zwyczaju,
I choć może niedługo potrwa skok ostatni,
Są tancerze do pierwszych, są do drugich zdatni.

Sama zalotna Egle, by kto był ochoczy,
Przecudnie po kadrylu kozaka wyskoczy.
O, dzięki ci, wyborne Polek wychowanie!
Polska ginie... Tańcujmy, póki czasu stanie
Tańcujmy i nie myślmy, co nastąpi potem,
I skończmy godnie scenę płochych głów zawrotem.

Nie masz, płci piękna, żadnych do smutku powodów,
Taniec ma swoją wziętość u wszystkich narodów.
I czy Moskal, czy Niemiec tę ziemię posiędzie,
Zniszczy język i prawa, lecz walcować będzie;
Ja nie mogę nie westchnąć, że wśród Polek grona
Widzę dzieci skaczące, kiedy matka kona.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 0e6beb08e8

OD A DO ZYBERTOWICZA

Pokonani przez fikcję?

Co się wydarzy, gdy siedząc przy komputerze w Warszawie, załaduję YouTube i wpiszę słowa: „Hillary Clinton"? Na pierwszej pozycji wyświetli się liczący 2 min 59 s filmik zatytułowany „Czy Hillary Clinton jest opętana? Pojawiło się przerażające nagranie!". W tle głosem nastolatka jakiś jutuber po polsku mówi bzdureczki dla swoich rówieśników. Mówi tak, by zasiać niepokój, zasugerować, że chodzi o jakieś poważne tajemnice. A zdjęcia i sceny z udziałem Clinton są tak zmontowane, że sama bohaterka chwilami wydaje się przerażająca, jakby faktycznie ulegała jakimś złowieszczym siłom.

Filmik, pochodzący z sierpnia 2016 r., ma ponad 535 tys. wyświetleń (pewnie tylko w samej Polsce).

Jakiś algorytm wybrał ten film jako pierwszy na liście wielu proponowanych. A gdy śmieciowy filmik już obejrzycie, wtedy algorytm zaprojektowany przez jakichś ludzi (na razie robią to ludzie) automatycznie odtworzy film kolejny. Równie śmieciowy. Ale dla wielu wciągający.

Dlaczego tak się dzieje? By jak najbardziej wydłużyć czas spędzany na YouTube przez użytkowników.

SZTUCZNA, CZYLI LEPSZA!

O tym, że za pomocą wyszukiwarki Google, mediów społecznościowych, Twittera oraz Facebooka udało się zmanipulować jakąś istotną część amerykańskiej opinii publicznej w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej w USA, napisano już sporo.

Śledztwo amerykańskiego Kongresu wykazało, że te firmy technologiczne stały się narzędziem manipulacji przez podmioty zagraniczne oraz amerykańskich ekstremistów. Ale jeszcze do niedawna wydawało się, że nie ma z tym nic wspólnego będąca własnością Google'a pokazywarka filmików pod nazwą YouTube. Na świecie korzysta z niej ok. 1,5 mld użytkowników. To ponoć więcej niż jest telewidzów na naszej planecie.

Niektórzy badacze twierdzą, że ten system po cichu, spokojnie popycha ludzi, by docierali do przekazów, którymi w innej sytuacji w ogóle by się nie zainteresowali

To właśnie dzięki przemyślanym, stale udoskonalanym algorytmom, opierającym się na wielkich bazach danych, udało się uzyskać tę ogromną liczbę użytkowników. Przemyślanym, ale tajnym.

Niedawno jeden z byłych programistów Google'a przeprowadził badania, których wyniki opublikował brytyjski lewicowy dziennik „The Guardian". Oto niektóre.

Okazało się, że w odniesieniu do polityki amerykańskiej algorytmy YouTube skutecznie promują intelektualne śmieci, konspiracyjne i chore, obsesyjne bzdury, perwersyjnie podkręconą niby-rzeczywistość. Pomińmy tu, że prawdopodobnie, podobnie jak wspomniane media społecznościowe, YouTube odegrał też pewną manipulacyjną rolę w wyborach w USA. Nie mniej ważny jest potencjał portalu w kreowaniu pewnego obrazu świata oraz pewnych poznawczych przyzwyczajeń.

Na przykład aplikacja YouTube Kids promowała filmiki pokazujące, jak dzieci wrzeszczą, gdy robione są im zastrzyki, gdy usuwany jest im wosk z uszu, jak rozpaczają nad swoimi zmarłymi zwierzątkami albo wymiotują. Gdy wpisawszy „dzieci wymiotują", obejrzycie pierwszy z listy film, to kolejny ma tytuł „Koleś rzyga krwią". Rzeczywiste? Tak. Prawdziwe? Tak. Niewinne? Nie. Wzorotwórcze? Tak.

Niektórzy badacze twierdzą, że na dłuższą metę ten system po cichu, spokojnie, niekiedy niezauważalnie, popycha ludzi, by docierali do przekazów, którymi w innej sytuacji w ogóle by się nie zainteresowali.

Na YT wrzucono i wypromowano miliony filmów głoszących, że Ziemia jest płaska.

KONFLIKTUJE, ROZDRAŻNIA, UCZY PODEJRZLIWOŚCI

Badania pokazały, że filmy niosące takie właśnie destrukcyjne przesłania były przez algorytmy promowane. Gdy poproszono technologicznego giganta, by się odniósł do wyników badań, nadeszła odpowiedź, że algorytmy (przypominam, iż tajne) tylko pomagają ludziom oglądać to, co przecież ich najbardziej interesuje.

Ale badania wykazały, że bez wspomagania przez systemy sztucznej inteligencji pewne pod każdym niemal względem beznadziejne treści, w tym polityczne, nie uzyskiwałyby wielomilionowej oglądalności.

Wcale nie musimy czekać na sztuczną inteligencję, która jakoś będzie porównywalna z ludzką, byśmy każdego dnia stawali się ofiarami manipulacji ze strony tej sztucznej inteligencji, która już istnieje. I każdego dnia oferuje nam zwyrodniałą rzeczywistość.

Andrzej Zybertowicz

2/2018/F | 8/1217/F

eprasa.pl 0e6beb08e8

Ponad 1000 lat dziejów Polski

Na 100-lecie niepodległości

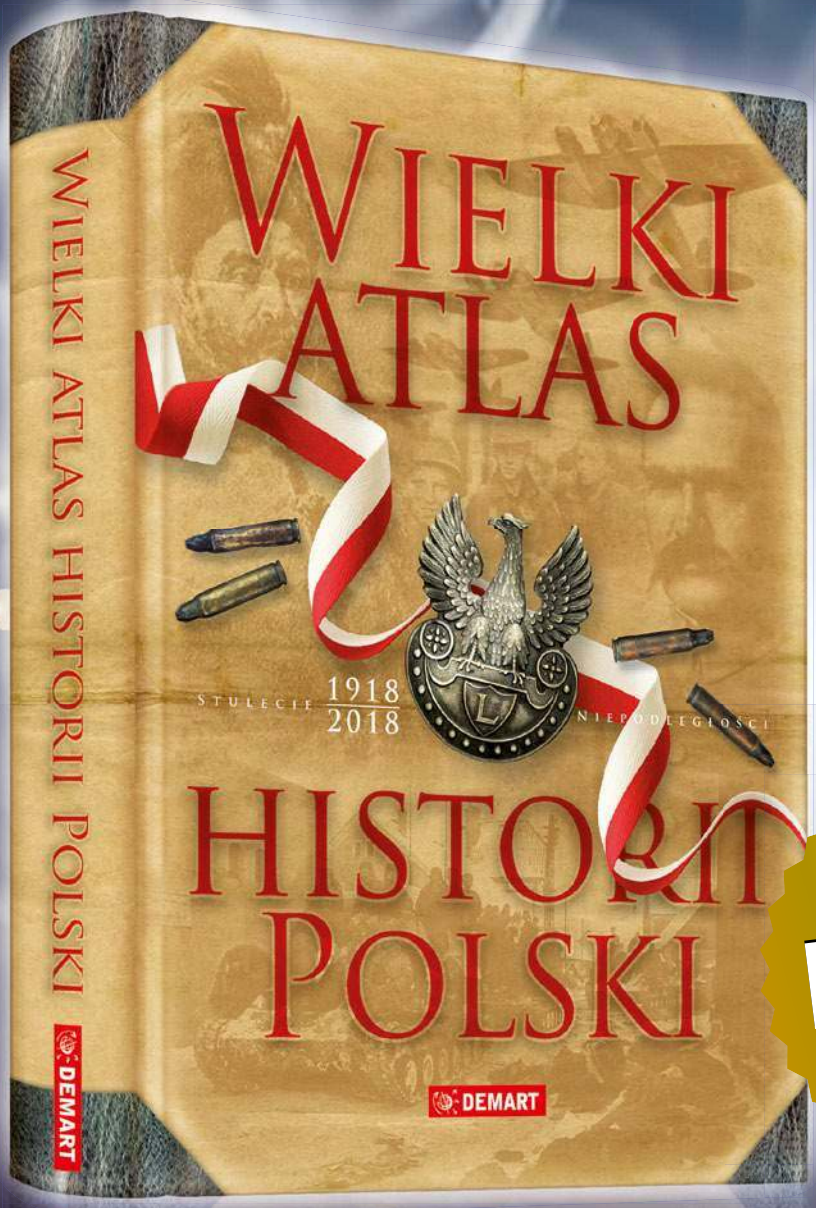

NOWOŚĆ

WYJĄTKOWY ATLAS NA WYJĄTKOWĄ OKAZJĘ

demart.com.pl DEMART

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

ORLEN	LOTTO	TAURON	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. / COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA / onet / PRZEGLĄD SPORTOWY / EUROSPORT
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl 0e6beb08e8